

Roz Denny

Raz na wozie, raz pod
wozem.

Rozdział 1

Większość relacji z podboju Dzikiego Zachodu napisali mężczyźni, wychwalając wyczyny mężczyzn.

Myśl, która zainspirowała wyprawę śladami pionierów.

Profesor historii Nolan Campbell wpatrywał się smętnie w rachityczną, białą choinkę stojącą w kącie świetlicy dla pracowników college'u w Columbii w stanie Missouri. Drzewko ugięło się pod niezliczonymi różowymi ozdobami i celofanowymi kokardami. Sznury lampek migały ostrym, różowym światłem i co kilka sekund spokojny, niebieski krawat profesora mienił się jadowitą zielenią.

Dwaj koledzy siedzieli obok niego zamyśleni. Camp - jak nazywali go rówieśnicy - wskazał drzewko filiżanką, która w jego potężnej dłoni wyglądała na bardzo kruchą.

- Sztuczna choinka, tak jak prawdziwa, powinna być zielona, nie uważasz, Lyle? Co się wyrabia na tym świecie!

- Dużo! - prychnął Lyle Roberts. - Weź choćby organizatorów tego przyjęcia. Widziałeś te maciupkie kanapki w bufecie? Dopiero po czterech czujesz, że wzięłeś coś na ząb.

- Kto planował tę uroczystość? - spytał Jeff Scott, profesor ekonomii. - Przybysze z innej planety?

- Na to wygląda - rzekł kwaśno Lyle. - Inaczej mówiąc, nasz wydział badań nad problematyką kobiecą. To przypomina mi żart, który niedawno słyszałem. Wiecie, jak kobiety w Columbii wołają dzieci na obiad?

Camp i Jeff wzruszyli ramionami.

- „Dzieci, szybko do samochodu!” - zachichotał Lyle. - Kobiety już w ogóle nie gotują.

Tylko Camp się nie roześmiał.

- Ja też często jadłem poza domem - oznajmił, przypominając sobie, ile razy wieczorami wpadał do baru, żeby nie jeść samotnie w domu. - To chyba znak czasów. Dom przestał być ośrodkiem życia rodzinnego. - Jego wzrok spoczął na grupce instruktorek. - Po przeszło ośmiu godzinach pracy nie ma czasu na domowe zajęcia.

- Żartujesz chyba! - wykrzyknął Roberts. - Współczesne kobiety w ogóle przestały używać słowa „domowy”. Twierdzą, że ostatnie prawdziwe niewiasty wywodziły się z pokolenia mojej prababki. W jej czasach kobiety paliły drewnem pod kuchnią i gotowały smaczne posiłki. Nie używały żadnej paczkowanej żywności niewiadomego

pochodzenia. Każda miała swój ogródek, szyła ubrania dla siebie i dzieci. I była szczęśliwa.

- Obudź się, Lyle. - Siostra Campa, Sherry, kierowniczka katedry problematyki kobiecej, zostawiła koleżanki i podeszła do mężczyzn. - Żyjemy w dwudziestym wieku. Kobiety przodują w wielu dziedzinach. Chociażby w polityce, medycynie, zarządzaniu. I jeszcze jedno, Lyle - dodała słodko. - Żyjemy dłużej od twojej prababki.

Lyle pogroził jej palcem.

- Gdyby zasiedlanie Dzikiego Zachodu zależało od takich wydelikacjonnych pieszczoszek jak moja była żona, pochod cywilizacji nigdy nie przekroczyłyby granic Ohio.

Sherry odepchnęła jego rękę.

- Te niby fakty historyczne na temat Zachodu to wymysły i fantazje mężczyzn. Jeżeli myślisz, że życie rozpieszcza dzisiejsze kobiety, przyjdź do Centrum Kobiet i posłuchaj tych sponiewieranych, które dobrze sytuowani byli mężowie zostawili bez grosza.

- Tak? Moja była wydaje alimenty, które jej płacę, na kosmetyki i manikiurzystkę.

Camp wsunął się między dwoje dyskutantów.

- Sherilyn, nie znasz istoty sporu. Lyle mówi o zasadniczych zmianach ewolucyjnych, o tym, że współczesnym kobietom trudno byłoby przetrwać bez pralki i kuchenki gazowej albo elektrycznej.

- No właśnie - wtrącił Jeff. - Z ekonomicznego punktu widzenia kobiety nadal oczekują od mężczyzn, że będą myśliwymi, że zapewnią rodzinie podstawy bytu.

- Och, litości! Wy trzej pewnie potraficie obedrzeć niedźwiedzia ze skóry i wsadzić do kociołka. - Sherry uderzyła pięścią w pierś. - Na pewno umiałabym żyć w prymitywnych warunkach. Na szczęście nie muszę.

- Wyrzuć elektryczną szczoteczkę do zębów, ciepły grzebień i kuchenkę mikrofalową, siostró, a wtedy pogadamy - rzekł Camp, unosząc brwi.

- Bzdury. Wy, historycy, zawsze biadolicie, że stare, dobre czasy już minęły. - Porzuciła drwiący ton i nagle się uśmiechnęła. - Dostałam niedawno folder z Centrum Kobiet reklamujący wyprawę śladami pionierów szlakiem Santa Fe. Notabene poprowadzi ją kobieta. O ile dobrze pamiętam, tabor wyrusza w czerwcu z Boonville

w stanie Missouri. Zostań sponsorem tej wyprawy, drogi bracie. Zobacz, jak kobiety wypadną w porównaniu z twoimi pionierami.

- Nie wyrzucaj ciężko zarobionych pieniędzy, Camp - ostrzegł go Lyle. - Nie dotrą nawet do Independence.

- Jesteś pewien? - Sherry wytrzymała jego spojrzenie.

- Głupi pomysł - rzekł z irytacją Camp. - Pogódź się z faktem, że dzisiejsze kobiety są wydelikaczone.

- To zazdrość przemawia przez Campa! - zawołała siedząca dalej kobieta. - Bo Greta Erickson nie chciała przykuć się na całe życie do tego stuletniego domu, który on będzie do końca życia restaurował.

W brązowych oczach Campa przez mgnienie zaślnił ból.

Sherry spojrzała na koleżankę z wyrzutem. Sama lubiła utrzcęć nosa Nolanowi i nazywała go waźniakiem, ale nie zamierzała pozwolić, by ktoś mu dokuczał. Greta go zraniła.

Lyle stanął w obronie kolegi.

- Dom Campa podobał się Grecie do czasu, gdy spotkała pana Pieniężnego, który przelicytował go nową rezydencją na strzeżonym osiedlu. Mężczyzna przestał się liczyć w związku. Ważne tylko, ile zarabia.

- Nieprawda, Lyle. Kiedyś będziesz musiał to odszczekać. - Sherry wojowniczo podniosła głowę.

Camp uznał, że rozmowa wymyka się spod kontroli.

- Może i wziąłbym udział w twoim eksperymencie, Sherry, jeżeli sama będziesz powozić jednym z zaprzęgów. - Znał upodobanie siostry do luksusu i przypuszczał, że ta propozycja zamknie dyskusję.

- Zgódź się, Sherry. Pokaż mu - namawiały ją koleżanki.

Sherry zrobiła poważną minę. Przemierzanie pylistych bezdroży prerii? Ani jej się śni w ten sposób spędzać wakacje. Z drugiej strony znała co najmniej dwie kobiety, które mogły zmusić tych facetów do odwołania ich słów. Na przykład fotograficzkę Ginę Ames, która w zeszłym roku wędrowała z plecakiem po górach. I Emily Benton, koleżankę zajmującą takie samo jak ona stanowisko w college'u bliżej St. Louis. Em owdowiała młodo i wróciła do pracy, żeby spłacić długi męża flirciarza, gdyż nie chciała wziąć ani grosza od bogatych teściów, którzy za wszelką cenę pragnęli osłabić jej więź z dwójką dzieci.

Postanowiwszy raz na zawsze rozstrzygnąć spór, Sherry wzięła starszego brata pod rękę i doprowadziła do schodów. Był wysoki, nie

nadmiernie umiejętniony - aż się oczy do niego rwały. Szkoda, że panowie z wydziału historii są wszyscy tacy zacofani.

- Wpadnę po ten folder o wyprawie przed wyjazdem na święta. Porozmawiamy u rodziców. Bo chyba przyjdiesz na świąteczny obiad?

- Czterdziestolatek powinien spędzać święta w ciekawszym miejscu niż dom rodziców - odparł smętnie.

- Masz dopiero trzydzieści osiem. - Szturchnęła go przyjaźnie w bok. - Kiedy dodajesz sobie lat, ja czuję się starsza. A przecież mam tylko trzydzieści jeden lat i jestem w kwiecie wieku.

- W kwiecie wieku, he? To dlaczego spędzasz święta z rodzicami, zamiast podawać jakiemuś szczęściarzowi śliwkowy pudding?

Szturchnęła go mocniej.

- Pewnie z tego samego powodu, dla którego ty nie przyrządzasz nadziewanej gęsi dla wybranki swego serca.

Nolan roztarł ramię.

- Więc Lyle miał rację: nie umiesz gotować.

- Jesteś czasem tępy jak neandertalczyk. Kobieta świetnie potrafi dać sobie radę bez mężczyzny. Ja nie potrzebuję żadnego chłopca.

Zachmurzony Nolan patrzył za odchodzącą dziarskim krokiem siostrą. Zupełnie zapomniał, jaki z niej uparty osioł. Czy nigdy nie czuje się samotna? Bo on tak. Wepchnął ręce do kieszeni i zbiegł na dół.

- Chciałbym znaleźć kobietę, której sprawiają przyjemność rzeczy najprostsze - rzekł do siebie i potknął się na ostatnim stopniu. Szarpnął drzwi, wyszedł i wciągnął w płuca niezdrowe wyziewy miasta. - Ech! - westchnął ze wstrętem.

Przez chwilę patrzył na śmigające samochody i doszedł do wniosku, że rzucone przez siostrę wyzwanie ma pewne zalety. Niech kobiety udowodnią, że dadzą sobie radę jak pionierki przed laty. Istotne pytanie brzmi tak: czy w dzisiejszych czasach ktokolwiek potrafi zrezygnować na całe lato z nowoczesnych udogodnień? Z odpowiedzi na nie dałoby się wykroić niezłą naukową rozprawkę.

Od dwóch lat szef wydziału naciskał go, żeby pisał i drukował. Porównanie współczesnych kobiet z pionierkami mogłoby dostarczyć materiału na publikację. Żeby jednak odpowiednio udokumentować to porównanie, należy uzyskać informacje z pierwszej ręki.

W drodze do domu rozważał ten pomysł. A gdyby tak wynająć kilka wozów w zamian za współpracę uczestniczek wyprawy? Dobra myśl. Ale jako bezstronny obserwator musiałby trzymać się z boku - na przykład jechać za taborem konno i spać w namiocie. A przecież nie dosiadał konia od... No właśnie, od kiedy?

Nie da rady. A może zatrzymywałyby się po drodze w motelach? Mógłby wtedy co wieczór wprowadzać do podręcznego komputera wypowiedzi kobiet i do końca wyprawy mieć prawie gotowy artykuł. Irracjonalny kaprys wydał mu się nagle godnym uwagi przedsięwzięciem.

Z wesołym uśmiechem zjechał z autostrady na zwirowaną drogę do wiekowego domu na farmie. Czy znalazłby lepszy początek artykułu niż zdanie, że autor sam nie może się obyć bez najnowocześniejszego udogodnienia - komputera? Skromnie i dowcipnie.

Sherry nawet się nie dowie, jak mu pomogła.

Po świątecznym obiedzie, przy którym brat mówił wyłącznie o swym „projekcie na lato”, Sherry żałowała, że wtrąciła się do irytującej rozmowy mężczyzn. Chciała tylko przywrócić im poczucie rzeczywistości, a skończyło się na tym, że teraz Nolan odczytuje fragmenty głupich historycznych ksiąg o herosach, którzy podbili Dzikie Zachód. Nie ma co, przydałaby się bratu jakaś nowoczesna kobieta, żeby wprowadzić go w dwudziesty pierwszy wiek. Razem z jego koleżkami.

- A jeżeli w taborze są jeszcze wolne miejsca - zaczęła, kiedy stali na ganku i szykowali się, żeby przebiec przez padający śnieg do samochodów - to skąd weźmiesz swoje króliki doświadczalne?

Camp ujął siostrę pod brodę.

- Oglądałaś „Pole marzeń” z Kevinem Costnerem? Ten film, w którym oczyścił pole kukurydzy pod boisko baseballowe? Wynajmę wozy conestoga i spomiędzy rzędów kukurydzy wyjdą kobiety, żeby zgłosić się na ochotnika.

- Śnij dalej. - Sherry pokręciła głową. - Może nawet trochę przypominasz Kevina, ale on musiał wziąć się do roboty, żeby ściągnąć graczy.

Camp postawił kołnierz kurtki.

- Chętnie posłucham pani Organizator, jak powinienem zachęcić żądne przygód podróżniczki.

- Daj ogłoszenie do miejscowej gazety i pism wydawanych w pobliskich college'ach. Będzie też potrzebny formularz dla chętnych, żeby wyeliminować świrów. Nie jestem żoną, więc ci w tym pomogę. Co mi tam, powysłałam formularze.

- Hm. Myślałem, że najprościej będzie puścić w obieg ustną informację po naszym kampusie.

- Zebranie chętnych z jednego środowiska wpłynie na ostateczne wyniki. Nie obawiasz się, że koleżdy podkradną ci pomysł? Wiesz, że wszyscy muszą publikować, i to coraz więcej. A odpowiedzialność zawodowa? Uczestniczki powinny podpisać zgodę na wykorzystanie ich wypowiedzi. Z tym poszłoby łatwiej, gdybyś zaproponował małe stypendia. W końcu prosisz kobiety, żeby zrezygnowały z wakacyjnych planów albo przerwały pracę.

- Nie pomyślałem o odpowiedzialności prawnej. A ty skąd jesteś taka oblatana?

- Bo jestem kobietą - odparła dumnie. - Więc jak, mam ułożyć formularz zgłoszeń?

- Pewnie. Chyba tak - bąknął, - Ale czuję, że będą mnie dręczyły okropne sny o bezbronnych niewiastach wysłanych na wyprawę opisaną przez Maizie Boone.

- Biedaczek.

Zgrzytając zębami, Sherry zerknęła na zacinający śnieg i zeszła z ganku, zostawiając brata samego. Pośpieszyła do domu, by zadzwonić do Giny Ames, która zajmowała się fotografowaniem przyrody. Kazała przyjaciółce przysiąc, że nie piśnie ani słówka o łączącej ich zażyłości, i czekać na formularz zgłoszeń.

Na drugi dzień Sherry wybrała się do Emily Benton.

- Sherry, jaka miła niespodzianka - powiedziała atrakcyjna ruda kobieta, która uchyliła drzwi w połówce małego domu bliźniaka. - Myślałam, że to moje dzieciaki. Biorą udział w sąsiedzkiej bitwie na śnieżki. Wejź i rozgrzej się. Właśnie miałam zrobić herbatę.

Emily zwolniła łańcuch i otworzyła szeroko drzwi. Powiesiła płaszcz Sherry ha stojącym żelaznym wieszaku, wyminęła lśniący nowy rower, dwa pudła z telewizorami, części do co najmniej dwóch komputerów i wprowadziła koleżankę do maleńkiej kuchni.

- Oho! - Sherry gwizdnęła i podała gospodyni pudełko ciastek domowego wypieku. - Trudnisz się paserstwem, Em?

- To prezenty teściów dla dzieci - wyjaśniła Emily posepnie. - Nie obchodzi ich, że w naszym domu nie ma na to wszystko miejsca. Najnowszy podstęp, żebym się do nich wprowadziła. - W jej niebieskich oczach pojawił się chłód. - Rozpuścili Dave'a jak dziadowski bicz i miałabym pozwolić, żeby zrobili to samo z Megan i Markiem?

Sherry wsunęła się do ciasnej wnęki jadalnej.

- Może mają wyrzuty sumienia, że ich syn okazał się takim draniem? Poczucie winy różnie wpływa na ludzi.

- Bentonowie i poczucie winy? Ha! Zawsze dopatrują się cudzej. To ja byłam winna temu, że uganiał się za kobietami. Nie wiesz, że zanadto udzielałam się społecznie w kościele i obu szkołach? - Ręka jej drżała, gdy zalewała wodą torebki z herbatą. - Przepraszam, że się tak przed tobą użalam, Sherry. Ferie to okres ciężkiej próby. Gdyby nie ten ogromny dług u Toby'ego i Mony, wyjechałabym z dziećmi na Alaskę albo do Timbaktu. Rodzina Dave'a praktycznie ma to miasto na własność. Długo szukałam mieszkania do wynajęcia, które nie byłoby własnością którejś z ich spółek. Bardzo mi zależy na pracy w tutejszym college'u, ale...

- Szkoda, że nie ma wolnego miejsca na naszym wydziale. Dziekan może przejdzie na emeryturę z końcem roku akademickiego, a nowy zwykle zatrudnia dodatkowych pracowników...

- A jeżeli nie przejdzie na emeryturę? - Emily wzruszyła lekko ramionami. - Czytam ogłoszenia w „Kronice szkół wyższych”. Ale na razie nic z tego.

- Pozwól, że zaproponuję ci oderwanie się na jakiś czas od kłopotów. - Sherry rzuciła na stół broszurkę i pokrótce objaśniła zamierzenia brata.

Emily pokręciła głową, nim Sherry skończyła mówić.

- Coś się za tym kryje, prawda? Coś, o czym nie powiedziałaś. O nie, mam nadzieję, że nie próbujesz mnie swatać ze swoim bratem! Niewielu znajomych wie, jakim koszmarem było moje małżeństwo. Twój brat jest na pewno miłym człowiekiem, ale mnie to nie interesuje. Co z tego, że mam trzydzieści cztery lata i omija mnie wiele uroków życia? Mnie to nie interesuje. Rozumiemy się?

- Kurczę, wszystko poplątałam. Wcale cię nie swatam, Em. Kocham Nolana, ale żadnej przyjaciółce nie podsunęłabym takiego

męskiego szowinisty. Robię to, ponieważ... Możesz to nazwać rywalizacją płci.

- Jak by ci tu powiedzieć, Sherry... Megan właśnie skończyła czternaście lat i wciąż rządzi Markiem, który ma dopiero dwanaście i właściwie jest jeszcze dzieckiem, więc tabor w szczerym polu jawi mi się niczym oaza spokoju. Całe lato bez dziadków, sklepów i telewizji!

- Emily przekartkowała folder. - Czy twój brat zechce wziąć dzieci na taką wyprawę? Myślisz, że by mnie przyjął? Och, Sherry, nie mogę jechać, muszę uczyć latem w szkole i zarobić trochę pieniędzy. - Poderwała się i zaczęła układać na talerzu ciastka przyniesione przez Sherry. - Doszły mnie słuchy, że rodzice Dave'a chcieliby, żebym nie zwróciła pożyczki. To by im dało podstawę do ubiegania się o opiekę nad dziećmi. Nie uwierzyłybyś, ile razy wykupywali długi Dave'a. Ostatnim razem stracił pieniądze zainwestowane w budowę kasyna.

Sherry wstała, by objąć Emily i pocieszyć.

- Parszywcy. Aha, zapomniałam wspomnieć, że wyprawa z Nolanem wiąże się z małym stypendium. Potrzeba ci chwili oddechu, Em. Wypełnij formularz tak, jak napisałam ołówkiem. Potem wyślij. I tylko nie mów Nolanowi, że się przyjaźnimy.

Boże Narodzenie zatarło się w pamięci Campa i na horyzoncie pojawiła się perspektywa wiosennych ferii, gdy zabrał się do selekcji kandydatek na wyprawę. Właśnie dziś, mimo deszczu, miał rozmawiać z chętnymi. Nie było ich wielu.

Dolał sobie kawy, naostrzył kilka ołówków, zasiadł na powrót za biurkiem i spojrzał chmurnie na podania. Trzy! Po wielu tygodniach ogłaszania się tylko te trzy kobiety wyraziły chęć wędrówki szlakiem Santa Fe.

Nie oczekiwał, że poszukiwaczki przygód będą się pchały drzwiami i oknami, ale spodziewał się więcej niż trzech, skoro zapewniał niemal darmowe wakacje i jeszcze płacił uczestniczkom za poświęcony mu czas.

Wynajął już cztery wozy conestoga z firmy „Przygoda na Szlaku” pani Boone. Nie były tanie, więc całe szczęście, że nakłonił Sherry do wspólnego wyjazdu, bo inaczej płaciłby za nie wykorzystaną rezerwację i dodatkowy wóz. Wczoraj siostra powiedziała, że namówiła też koleżankę z pokoju, Yvette Miller.

Camp uśmiechnął się. Znał Yvette od dziecka. Zawsze podróżowała z ogromnym bagażem, z czego połowę stanowiły

kosmetyki. A teraz pewnie ma go jeszcze więcej, bo pracuje jako przedstawicielka ekskluzywnej firmy krawieckiej. Jak tak dalej pójdzie, myślał, moja praca napisze się sama.

Pociągnął łyk kawy i spojrział przez okno na zasnute chmurami niebo. Założmy, że wszystkie chętne się nadają, ale przecież któraś może się w ostatniej chwili wycofać lub nagle zachorować. Na razie u Sherry byłoby dwóch woźniców. Pozostałe kobiety musiałyby całą drogę powozić same.

- I co z tego? - rzekł na głos. - Sherry twierdzi, że mają tyle samo siły co pionierki.

Niestety, Camp znał jeszcze jedną z kandydatek - studentkę drugiego roku Brittany Powers. Ta romantyczka o maślanych oczach miała większe predyspozycje do zawodu modelki niż dużego wysiłku fizycznego. Była dwa razy na jego zajęciach. Podejrzewał, że się w nim podkochuje. Bardzo dbał o zachowanie dystansu wobec studentek i większość z nich wkrótce znajdowała sympatię w swoim wieku, ale nie Brittany Powers.

Może jednak doszukuje się zbyt wiele w decyzji Brittany? Może naprawdę interesuje się ona historią Ameryki? Pytania, które Sherry pomogła mu przygotować na rozmowy wstępne, powinny ujawnić rzeczywiste motywy kobiet. Postanowił, że spotkanie z Brittany odbędzie się przy otwartych drzwiach. Zanim polecił sekretarce, aby ją wpuściła, włożył okulary w rogowych oprawkach, płaskie jak szyby okienne, w których wyglądał, jak mu się zdawało, na nudnego wykładowcę.

- Dzień dobry. - Brittany przemknęła obok sekretarki, zarzucając na ramię burzę jasnych włosów.

Camp wskazał jej krzesło.

- Jestem taka przejęta tą wyprawą - zatrajkotała. - Lato jest takie nudne!

Trach! trzasnęła guma do zucia.

Camp z drzeniem zasiadł za dębowym biurkiem. Boże, nie cierpiał ludzi żujących gumę i uważających, że pięć listków to minimalna porcja.

- Nie musisz rezygnować z wakacyjnej pracy? - spytał uprzejmie.

Zatrzepotała rzęsami oklejonymi grubą warstwą tuszu.

- Żartuje pan? Dlatego właśnie tak mi to odpowiada. Gdyby nie ta wyprawa, objałabym się po domu.

- Naprawdę? - Sięgnął po podanie Brittany i wziął ołówek, od razu łamiąc grafit. Chwycił drugi i opadł na oparcie fotela. - Co zamierzasz zrobić po skończeniu studiów? - spytał.

- Wyjść za kogoś bogatego - odparła kokieteryjnie.

- Ach tak.

Uspokoił się. Wiadomo, że profesorowie bogaczami nie są. Szybko zadał pozostałe pytania. Odpowiedzi Brittany nie były tak klarowne, jak by sobie tego życzył, ale biorąc pod uwagę jej wiek i roztrzepanie, nie mógł spodziewać się innych. Działo mu trochę na nerwy, że wsłuchuje się tak pilnie w każde jego słowo i śledzi najdrobniejszy gest powiększonymi przez makijaż, błękitnymi oczami. Ale przecież na trasie nie będą nigdy sami. Na wszelki wypadek dodał:

- To nie jest wyjazd wypoczynkowy, Brittany. Trzeba prowadzić drobiazgowy dziennik, który następnie włączę do swojej pracy naukowej.

- Coś w rodzaju pamiętnika, tak? Fajnie. Przyjaciółka powiedziała mi, że moje pamiętniki byłyby bestsellerami.

Wątpliwości Campa co do motywacji studentki raptownie wzrosły. Ale zaraz podkreśliła, że jej rodzice zachęcają ją do wyjazdu, więc wręczył jej formularz umowy. Właściwie nie potrzebowała już zgody rodziców, skończyła przecież dziewiętnaście lat. Poczuli się jednak lepiej, wiedząc, że omówiła z nimi tę sprawę.

Przywołując na twarz wypróbowany uśmiech, jakim obdarzał studentów, odprowadził Brittany do drzwi.

- Dokładniejszych informacji dostarczę później - oznajmił. - Jutro przyniosę ci książkę o historii szlaku Santa Fe. Wyprawa potrwa dziesięć tygodni, i to nie będzie piknik. Chcę, żebyś się dobrze przygotowała.

- Przygotuję się na pewno, zobaczy pan. - Patrzyła na niego z zachwytem. - Będziemy tam na równiejszej stopie, prawda? Chyba wszyscy będą mówić panu po imieniu?

Z ogromną ulgą przyjął pojawienie się sekretarki, która zapowiedziała Ginę Ames. Gina była opalona, krzepka i miała krótko przycięte brązowe włosy. Ledwie usiadła, skierowała rozmowę na sprawy zawodowe.

- Jestem fotografem i „wolnym strzelcem”. Dwa wydawnictwa o zasięgu ogólnokrajowym wyraziły zainteresowanie relacją fotograficzną z takiej wyprawy.

Czyżby uśmiech losu? - pomyślał.

- Gino... jeśli wolno tak się do pani zwracać - zaczął i nie zważając na jej zaciśnięte usta, ciągnął: - Wolałbym, żebyś raczej wsparła moją pracę naukową. Czy wiesz, że szlak Santa Fe był pierwszym szlakiem handlowym? To łącznik z naszą przeszłością. Jest to także ostatni szlak uratowany dzięki ustawie o ochronie historycznych szlaków w Ameryce.

- Niech pan sobie daruje ten wykład. Miałam za męża nadętego historyka, który uważał za głupotę sprzedawanie moich fotografii do tanich pism. Musieliśmy się rozstać.

Camp zdjął okulary i zakaszłał.

- Do...brze. Mój udział w wyprawie, poza zapewnieniem funduszy, polega na odtworzeniu dziewiętnastowiecznych warunków życia na pionierskim szlaku. Przewodniczką taboru jest Maizie Boone. Twierdzi, że pochodzi w prostej linii od słynnego Daniela Boone'a. Nie widziałem jej, ale sądząc po rozmowie przez telefon, to niezwykła osoba. Podobno urodziła we własnym domu ośmioro dzieci i ma dwadzieścioro wnucząt. Większość trudni się tą samą pracą. Może zebrały się z tego materiał na książkę. - Zabębnił palcami w biurko, wyobrażając sobie fotografie Giny zestawione z archiwalnymi ilustracjami.

- Biedaczka. Dziw, że jeszcze żyje. Cieszę się, że nie gromadzi pan haremu. Wydawało mi się podejrzane, że poszukuje pan wyłącznie kobiet. Chętnie pojedę, ale pod warunkiem, że będę miała wóz do własnej dyspozycji. Nie lubię, kiedy ktoś obcy rusza mój sprzęt.

Camp bez zastanowienia podsunął Ginie druczek do podpisu. Dziwna kobieta, ale on potrzebuje wprawnego fotografa. Czuł, że jakiś zasłużony kolega historyk depte mu po piętach, i nie chciał, żeby go ubiegł.

- Będę w kontakcie - obiecał, idąc za Giną do drzwi. Szykuje się bardzo zróżnicowana grupa... Nie mógł się doczekać, kiedy pozna Emily Benton. Takie nazwisko nosił pionierski ród. W zeszłym tygodniu czytał artykuł o podróżach niejakiej Jessie Benton. Jessie, córka senatora, wyszła za mąż za słynnego podróżnika szlakiem

Oregon. Z zachowanych listów Jessie wynikało, że uwielbiała życie w drodze. Z łatwością dawała sobie radę z codziennymi czynnościami, a wieczorem przy ognisku zszywała wzorzyste kołdry z kawałków materiału.

Camp udał się do towarzystwa historycznego z nadzieją odzyskania jej dziennika. Okazało się, że nie ma prawie wcale opisów zanotowanych z perspektywy kobiety na szlaku. Nie przypuszczał, że tak trudno będzie znaleźć dane dla celów porównawczych, i że Sherry ma rację - autorami historycznych opracowań są wyłącznie mężczyźni.

- Hej, Camp! - zawołała sekretarka. - Już nikogo nie ma. Zerknął na zegarek.

- O czwartej miała przyjść pani Benton.

- Nie przyszła. Dam znać przez interkom, kiedy się pokaże. Powrócił do biurka. Miał prace do oceny. Przypuszczał, że

ledwie je wyciągnie, wejdzie Emily Benton, ale z drugiej strony - spojrzawszy na zegar na ścianie - spóźnia się już piętnaście minut. Jeżeli to ma świadczyć o jej punktualności, nie jest dobrą kandydatką. Maizie Boone wyraźnie zapowiedziała, że nikogo nie będzie rozpieszczać. Czuł, że nie chciałby wejść w drogę opryskliwej przewodniczącej wyprawy.

Wiercił się w fotelu jeszcze z dziesięć minut i już był gotów skreślić Emily z listy, nie zważając na jej pionierskie nazwisko, gdy do pokoju wpadła rozczochrana ruda kobieta w pogniecionej niebieskiej garsonce. Gdy niespodziewanie upuściła pękatą teczkę z gatunku tych, które starsze studentki noszą zamiast plecaków, papiery i książki zalały podłogę od drzwi aż po biurko Campa.

Mamrocząc pod nosem, kobieta zaczęła na czworakach sprzątać spowodowany przez siebie bałagan.

Camp poderwał się, by jej pomóc. Z zestawu podręczników domyślił się, że jest studentką. Nie najlepszą, jeżeli sądzić po ocenach, jakie dostrzegł, zbierając z podłogi prace. Widocznie chodzi na oblegany przez studentów pierwszego roku kurs wykładów „Wprowadzenie do historii Ameryki”, inaczej na pewno by ją zapamiętał. A przecież jasno zapowiedział, że tego popołudnia nie przyjmuje studentów. Może następnym razem przyjdzie lepiej zorganizowana.

- Proszę - rzekł chłodno, wpychając do teczki plik papierów. - Dziś nie mogę z panią rozmawiać. Niech Bess umówi panią na jutro. Mam nadzieję, że to nie kłopot.

- Właśnie że kłopot. - Matowy głos przybrał wyższe tony. - Przybiegłam z pracy do domu, zabrałam syna na trening baseballu, a potem wiozłam córkę przez całe miasto do przyjaciółki. Na autostradzie był niemożliwy ruch. - Kobieta przesunęła pękatą teczkę. - Jeżeli nie może się pan doczekać końca pracy, postaram się nie zająć panu wiele czasu. - Odgarnęła dwa niesforne rude loki z bladego czoła, odsłaniając gniewne, błękitne jak glicynia oczy.

Nolan popatrzył na nią z góry, szykując się do surowego upomnienia, że nie radzi studentom tak odszczekiwać profesorowi, gdy słowa utknęły mu w gardle i zabrakło tchu. Poczul, że tonie, oczarowany, w tych zdumiewających oczach. Kilka razy bezradnie otworzył i zamknął usta. Nie znajdując logicznego wytłumaczenia dla spoconych dłoni i nagłej niemoty, wrócił niezdarnie za biurko i padł na fotel jak wyrzucony na brzeg wieloryb.

Dzieje się coś niedobrego. Musi jak najszybciej pozbyć się tej studentki.

- Poświęcę pani krótką chwilę. O co chodzi? - wystękał, ukradkiem sięgając do przegubu dłoni i mierząc puls. Bił nierówno. O Boże! Chyba coś z sercem. Wszedł już w niebezpieczny wiek, nie odżywiał się najlepiej. Trzeba natychmiast odstawić cheeseburgery...

Zamrugął, patrząc na kobietę, która podeszła do biurka, i pot wystąpił mu na czoło. Czy może liczyć na tę panią, że wykręci numer pogotowia, kiedy on spadnie na podłogę? Chyba nie, sądząc po ocenach, jakie ujrzał na jej pracach.

- O co chodzi? - Mrużąc oczy, odstawiła teczkę i torebkę na podłogę i przysiadła na brzeżku krzesła. - Czy trafiłam do właściwego pokoju? Pan Nolan Campbell?

Skinał głową, zatrzymując spojrzenie na drobnych bruzdach nad zgrabnym nosem, żeby przypadkiem nie zderzyć się znów z zabójczymi oczami.

- A więc byliśmy umówieni. Nie sędzę, żeby jakiś drugi Nolan Campbell w tym college'u planował zabrać tabor szlakiem Santa Fe. - Z uroczym dołączkiem od uśmiechu dodała: - Nazywam się Emily Benton. Zdaje się, że robi pan confetti z mojego podania.

Przerażony spojrzął na palce, którymi dał podanie, i wypuścił dokument z rąk, jakby go parzył. Poczuł się jeszcze gorzej, gdy jego wzrok padł na cienki obcas prowokująco przedłużający kształtną nogę. Natychmiast podniósł głowę. Uśmiechnęła się, a Campa zabolął brzuch, jakby go ktoś kopnął. Teraz miał wyraźniejszy obraz objawów. Od tak dawna nie ogarniało go pożądanie, że nie od razu je rozpoznał.

Emily Benton wyglądała inaczej, niż się spodziewał. Miała wielkie, czarujące oczy i sprawiała wrażenie osoby tak delikatnej, że zupełnie nie nadawała się na uczestniczkę wyprawy. Była taka chuda, że myszołów by się na nią nie połakomił.

Camp zamknął oczy i rozmasował skronie.

- No cóż - rzekł, przeciągając dłonią po zapadłych policzkach. - Sądząc po adresie, uczęszcza pani do siostrzanego college'u. Zamiast podróżować przez prerię, radziłbym pani zapisać się na letni kurs dla opornych, żeby poprawić te okropne stopnie.

Zdawał sobie sprawę z surowości swych słów. W podaniu napisała, że jest wdową. Zapewne podwyższa kwalifikacje, by dostać lepszą pracę i zarobić na utrzymanie dzieci, więc właściwie robi jej przysługę, odmawiając zabrania z sobą. Nie chciał też - do tego wolałby się nie przyznawać - patrzeć na nią codziennie i walczyć z rosnącym napięciem. Założył przed sobą ręce, wyprostował się i spojrzął jej w oczy. No, prawie.

- Okropne stopnie? - Emily złapała się za głowę i po chwili zrozumiała. - Ach, sprawdziany. - Trąciła nogą teczkę. - Uczę na kursach dla kobiet. To ich prace. - Skrzywiła się. - Godne pożałowania, prawda? Ale uczestniczki naszego programu i tak mają szczęście, że chodzą do szkoły. Niektóre z trudem zaliczyły testy ogólnorozwojowe. Kilka starszych skończyło szkołę średnią, ale dzięki zręcznym adwokatom od rozwodów są zmuszone pracować w obcym środowisku. Nie mają umiejętności poszukiwanych na rynku pracy i od lat nie brały do ręki podręcznika. - Głos jej się załamał. Dlaczego mu o tym mówi? Jeżeli wierzyć Sherry, ten facet ma bardzo staroświeckie poglądy na temat kobiet. Uniosła głowę z godnością. - Mam stopień magistra psychologii i socjologii. Nie wiedziałam, że wymagany jest dyplom, żeby zabrać się z pańskim taborem.

- Nie... hm... nie jest.

Odetchnął głęboko i zerknął w jej podanie. Cholera, przeklął w duchu, wygląda, jakby silniejszy podmuch wiatru mógł ją porwać.

Emily wiedziała, że Nolan szykuje się do odmowy. Przeczucie było bardzo silne. Przyrzekła sobie kiedyś - po upokorzeniach związanych z Dave'em, po latach starań, aby być doskonałą żoną, która nie myśli o karierze - że nigdy nie poprosi o nic męczyzny. Spuściła wzrok na zaciśnięte ręce, aż zbieleły jej kostki, i wyszeptała:

- Bardzo pana proszę. Moje dzieci myślą, że pieniądze rosną na drzewach. Ta wyprawa pomogłaby mi nauczyć je prawdziwych wartości.

Poczuł skurcz żołądka. Nie mógł znieść widoku jej pochylonej głowy. Do diaska, musi obsadzić wynajętą część taboru, ale ostatnią rzeczą, której pragnie, jest codzienny kontakt z tą kobietą. Chwileczkę... Osadniczki podróżowały razem z dziećmi. Emily Benton ze swą rodziną stwarza wymarzoną okazję do porównania współczesnej samotnej matki z poprzedniczkami z pionierskich czasów. Na miłość boską, przecież chodzi o jego pracę! Zresztą, będzie ją widywał tylko wieczorem, zbierając notatki.

- Proszę tu podpisać. - Zdecydowanym gestem podał jej formularz. - W ciągu tygodnia wyślę pani resztę informacji.

Nie patrząc mu w oczy, Emily drżącą ręką podpisała dokument. Gdyby nie teściowie, którzy zaskarbiali sobie uczucia dzieci, kupując im wszystko, czego dusza zapagnie, wygarnęłaby temu łobuzowi, co może zrobić ze swoją wyprawą.

Aż by mu w pięty poszło.

Rozdział 2

Zasługę podboju Dzikiego Zachodu przypisuje się mężczyznom. Potwierdza to Hollywood.

Camp usłyszał, jak mówi tak do Sherry jakaś kobieta.

Wysławszy pocztą do college'u oceny za wiosenny semestr, Camp wziął do samochodu, oprócz walizki, podręczny komputer i ruszył do Boonville. Było mu dziwnie lekko na duszy - czuł się trochę jak Tomek Sawyer albo Huckelberry Finn. Pewnie dlatego, że pierwszy raz od dziesięciu lat wymigał się od uczenia na letnich kursach. Dopiero pakując się uzmysłowił sobie, jak jednostajne życie prowadzi, jak bardzo potrzebna mu zmiana.

Pięćdziesiąt kilometrów jazdy zleciało migiem. Historycznie rzecz biorąc, „kolebką” szlaku Santa Fe było miasteczko Franklin po drugiej stronie Missouri. Gdy jednak zniszczyła je powódź w 1826 roku, jego rolę przejęło Boonville. Tabor Maizie Boone, który Camp nazywał w myślach swoim taborem, miał wyruszyć z pamiętającego dawne czasy brukowanego placu w Boonville. To było odtwarzanie prawdziwej historii, a nie jakiś hollywoodzki scenariusz.

Dotarł do obrzeży miasta, zwolnił i przemierzał wysadzone drzewami ulice, wypatrując miejsca, gdzie Maizie kazała mu zaparkować. Skreślił za róg i nagle zobaczył szereg conestóg na brzegu rzeki. Wytrzeszczył oczy. Widząc wozy z bliska, poczuł lęk. Białe plandeki wydymały się nad ogromnymi niebieskimi skrzyniami, ekwipunek był pomalowany na czerwono. Wozy wyglądały jak flotylla żaglowców na kołach. Boże święty, pomyślał Camp, zarezerwowałem cztery takie landary, bo podpuściła mnie siostra, i obsadziłem je żółtodziobami. I to kobietami, których wytrzymałość pozostaje pod znakiem zapytania - z wyjątkiem Giny Ames.

Przesunął ręką po brodzie. Umówił się, że przyjedzie tydzień wcześniej, by wyposażyć wozy i wynająć konie, które miały powieźć mieszkanki miasta daleko od domowych wygod. Obraz jednej z tych mieszczek, Emily Benton, stawał mu przed oczami jak żywy. Camp widział ją z lejcami w dłoni, w zwiewnej, kwiecistej sukience; pasujący do sukni czepek opadł jej na plecy i rude włosy płonęły w popołudniowym słońcu.

Zamrugnął, pragnąc, by wizja się rozplynęła i czując, że chłodny powiew wywołuje w nim dreszcze. Odniósł wrażenie, że duchy z

prawdziwych wozów Becknella szydzą z niego, że tak nierozważnie przyjął podanie Emily.

Żadna uczestniczka wyprawy się nie wycofała, choć trochę się tego obawiał, gdy sekretarka rozesała sześćostronicowy regulamin Maizie.

Zdjął sportową marynarkę i rzucił ją na tylne siedzenie. Podwijając rękawy koszuli, ruszył niespiesznie w stronę chałupy, w której mieściła się firma „Przygody na Szlaku”.

Za biurkiem siedziała piegowata dziewczyna z telefonem przy uchu. „Karen Boone” głosiła plakietka. Wnuczka Maizie, domyślił się Camp, omiatając spojrzeniem ciasne pomieszczenie. Dwa krzesła stały przy stoliku ze szklanym blatem, na którym piętrzyły się foldery - jednym z nich Sherry wymachiwała jak czerwoną flagą, żeby namówić go na to szaleństwo. Camp nie usiadł, tylko zaczął się przyglądać ściennej mapie z laminowanego pergaminu, z wyraźnie zaznaczonym szlakiem Santa Fe. Trasę znał na pamięć, ale stara mapa i namalowane na niej forty przypomniały mu o niebezpieczeństwach czyhających niegdyś na wędrujące tabory. Poczł dziwną wspólnotę ducha z pionierami.

- Czym mogę służyć?

Odwrócił się raptownie. Tak pochłoneły go rozmyślenia, że nie usłyszał, jak dziewczyna odkłada słuchawkę.

- Jestem Nolan Campbell - rzekł, podchodząc do biurka. - Pani Boone mnie oczekuje.

Zielone oczy dziewczyny zamigotały.

- Mogłabym spytać, która pani Boone? Jest ich tu pięćdziesiąt, a jeszcze więcej na trasie do Boone's Lick. Pisałam pana nazwisko niezliczoną ilość razy w ciągu ostatnich tygodni, więc domyślam się, że chodzi o Maizie. Radzę panu uważać. Moja babka nie daje sobie w kaszę dmuchać.

- Odniosłem takie wrażenie. Sądząc jednak po pani uśmiechu, nie taka babka straszna, jak ją malują.

- To prawda, ale niech to pozostanie między nami. Wizerunek firmy, rozumie pan. Maizie jest teraz dwie mile za miastem, na ranczu syna. Trzymamy tam konie. Narysuję panu mapkę. Pojedzie pan tam i wybierze konie do swoich wozów.

- Ja mam wybrać? Myślałem, że tylko płacę za wynajęcie. Karen podniosła wzrok znad mapki, którą rysowała.

- Jeszcze jedno: niech się pan postara, żeby Maizie nie usłyszała lęku w pana głosie. Proszę śmiało wejść na pastwisko i obejrzyć wszystkie konie, przesuwając dłonią po ich nogach i mamrocząc pod nosem. Potem jak gdyby nigdy nic niech się pan zwróci do babki o fachową poradę.

Bez cienia uśmiechu Karen podała mu mapkę.

- Dzięki... za wszystko - rzekł, złożył kilka razy kartkę i wycofał się do drzwi.

Gdy znów znalazł się na chodniku, zaczerpnął tchu. To, co wiedział o komach pociągowych, dałoby się zapisać drukowanymi literami na łebku szpilki. Owszem, kiedy był mały, jeździł konno u wujka, oporządzał jego wierzchowce, kiedy wujostwo wyjeżdżali na wakacje, ale...

- No cóż... Koń to koń i tyle - bąknął pod nosem i pośpieszył do samochodu.

Przejechał malownicze miasteczko i znalazł się wśród pól bujnie porośniętych sorgo. Droga rozwidlała się pod wielkim sękatym dębem - zaznaczonym na mapce - więc zwolnił i zaczął szukać wzrokiem skrzynki pocztowej Boone'a. Nietrudno było ją znaleźć. Skręcił w lewo, w zieloną dolinę, a tam jak spod ziemi wyrosły ogromne konie, spokojnie pasące się na trawie. Camp musiał sam przed sobą przyznać się do błędu. Koń koniowi nierówny. Z każdego z tych olbrzymów dałoby się wykroić dwa konie pod siodło.

Posuwając się ślimaczym tempem, świsnął przez zęby. Niektóre z tych bestii mają kopyta jak talerze... Nieco dalej, za ogrodzeniem, ktoś napełniał żłoby wodą z węża. Camp domysłu się, że to Maizie. Pasowała do jego wyobrażeń, a nawet je przerastała. Wyglądała jak Calamity Jane bez cygara. Proste szpakowate włosy opadały jej do ramion, na czubku głowy sterczał wyświechtany kapelusz z szerokim rondem. Skórzana koszula z frędzlami tworzyła komplet z dżinsową spódnicą podzieloną na nogawki. Wyłużone kalosze były oblepione błotem.

Gdy wysiadł z samochodu, kobieta powitała go uśmiechem, który pomarszczył jej ogorzałe policzki.

- Ty jesteś pewnie Campbell - rzekła chrapliwym głosem.

- Mów mi Maizie. - Zgniotła mu palce powitalnym uściskiem i strzyknęła tytoniową śliną tuż koło jego nowiusieńkich czarnych butów. - Zmień te lalusiowate pantofle, chłopcze, jeżeli masz w

samochodzie buty z cholewami. Clyde'y, perszerony i belgi zostawiają wizytówki, w których można się zapaść po kostki.

Oparła nogę o szczebel ogrodzenia i, jakby dla podkreślenia swych słów, oczyściła kalosz z warstwy ciemnego brudu. Ostra woń uprzytomniła Campowi, że ten zaschnięty brud to nie błoto. Przyszło mu też na myśl, że wolałby cygaro Calamity Jane od tytoniu, który żuła Maizie.

- Mam buty z cholewami - rzekł, wskazując samochód.

- Chwileczkę, zaraz je włożę.

Na szczęście wziął z sobą najstarsze dżinsy. Nowe pewnie nie spotkałyby się z aprobatą Maizie. Wsuwając nogawki najlepszych wełnianych spodni do cholew butów, pluł sobie w brodę, że nie przebrał się przed wyjazdem.

- Gotów - rzekł wracając. - Ile koni mam wziąć? Pamiętając radę Karen, przykleknął i przesunął dłonią po twardej jak stal nodze konia o łagodnych oczach.

- Cztery do zaprzęgu, dwa luzem do każdego wozu. Zawsze pilnuję zmian koni. W forcie Larned i na przeprawie McNeesa będą weterynarze. Mój syn Terrill dostarczy paszę i świeżą wodę. Nie będziemy jak osadnicy zajeżdzać koni, aż padną. To tylko próba odtworzenia historii, a nie prawdziwa pionierska wyprawa. Dlatego prosiłam, żeby woźnice przyjechali dzień wcześniej. Nauczycie się wszyscy obchodzić z moimi dziecinkami.

Ładne mi dziecinki, pomyślał Camp i wstał.

- Hm, Maizie... Moi woźnice to same kobiety. Nie mówiłem o tym, bo uważałem, że moja rola nie ma znaczenia. Jestem profesorem college'u i przeprowadzam naukowe porównanie pionierek i kobiet współczesnych. Moje ochotniczki nie ćwiczą na siłowni. - Znów przypomniała mu się Emily Benton, jej cera bez skazy i szczupła talia. Ta kobieta nie sięga mu chyba do ramienia. Spozierając na masy mięśni, ponownie poczuł wyrzuty sumienia. - Wybór pozostawiam tobie - rzekł gładko, posłuszny do końca radom Karen.

- Mmm. - Ręką, całą w odciskach, Maizie pogłaskała masywnego, brązowo - białego konia. - Dla pań będą clydesdale'e. Są trochę wyższe od perszeronów, ale za to bardziej zrównoważone. Perszerony krzyżuje się z arabami, więc mają więcej ognia. Największe i najsilniejsze są belgi. To dla was, mężczyzn.

- Ale ja... nie jadę z taborem.

- Hm. Więc jak to z tobą jest, synu? Wykładasz kupę forsy dla kogoś, kto nie będzie miał z tego frajdy?

Pokrótkę przedstawił swoje plany i na koniec rzekł:

- Wolałbym, żeby inni nie wiedzieli o mojej pracy. Nie chcę, żeby pomagali kobietom. To psuje wyniki badań.

- Wiem z doświadczenia, że uczestnicy tych wypraw albo z początku się przyjaźnią, a potem nienawidzą, albo najpierw trzymają się osobno, a na koniec się wspierają. Jedno mnie zastanawia. .. Czy prawdziwe kobiety pozwolą, żebyś je traktował jak doświadczalne szczury i nie wszedł do labiryntu? - Posłała mu koło ucha strumień śliny i utkwiała w nim mądre spojrzenie wyblakłych oczu.

- Na pewno pozwolą. Moja praca nie dotyczy tego, jak ja się sprawdzę w trudnych warunkach. Mężczyźni nie są tacy wydelikaceni. Nadal pracujemy fizycznie.

- Mmm. - Maizie poklepała konia na pożegnanie. - Dobrze znasz się na kobietach, chłopcze? - spytała, wyprowadzając go z pastwiska. - Uważasz się za eksperta?

Camp roześmiał się nerwowo.

- Mężczyzna, który twierdzi, że zna się na kobietach, kłamie w żywe oczy. Ale ja wiem, że niektóre uczestniczki wyprawy będą wypruwać żyły, żeby udowodnić, że dają sobie radę nie gorzej od pionierek.

- Hm! - Maizie wyciągnęła z kieszeni spódnicy krótki ołówek oraz pognieciony plik blankietów i wypisała rachunek. - Wpadnij do biura i zapłać Karen. Spotkamy się jutro o dziesiątej przed dużym sklepem na Market Street i zrobimy zakupy. Mam nadzieję, że starczy ci sił, żeby zaopatrzyć cztery wozy. Ładowanie worków mąki, fasoli, kawy, cukru, soli, sucharów i połci wędzonego boczku to ciężka praca.

Camp wziął kwit i wszedł do samochodu. Czy popełnił błąd, niczego nie kryjąc? Można by sądzić po pomruku Maizie, że ma doktorat z psychologii. Uśmiechając się do siebie, zapalił silnik. Uwagi Maizie były pewnie warte tyle, ile rady Lucy z „Fistaszków” - jakieś pięć centów.

Nadeszła sobota, dzień wyznaczony przez Maizie na naukę zaprzęgnięcia i wyprzęgnięcia koni. Camp spodziewał się, że uczestniczki programu będą się zjeżdżały pojedynczo. Ku jego zaskoczeniu

pojawiły się całą grupą, razem z ekipą telewizyjną z uniwersytetu Columbia i dziennikarką z uczelnianej gazety.

- Czyj jest ten wyśmienity pomysł? - spytał niezadowolony, podchodząc ukradkiem do siostry.

- Yvette. Boisz się, Nolan, że ukradną ci temat?

- Nie, ale nie chcę, żeby zrobili z tego farsę. Wyglądacie, jakbyście zeszły z kart jakiegoś żurnala!

Z wyjątkiem koleżanki z pokoju Sherry, wszystkie miały nowiutkie wysokie buty, džinsy i stetsony. Jasnowłosa Yvette prezentowała styl hollywoodzki - wystroiła się w białe džinsy i fioletowy zamszowy gorsecik z frędzlami, piórami i koralikami, a na nogi włożyła fioletowe mokasyny. Camp nie był zawiedziony.

- Co tak śmierdzi? - Yvette podbiegła, trzymając się za nos, wdepnęła w świeże łajno, poślizgnęła się i klapnęła na pupę. - Fuj! - pisnęła, a Camp, skrywając uśmiech, wyciągnął do niej rękę. - Śmiejesz się, Nolan. - Odtrąciła jego dłoń. - Nie dotykaj mnie. - Przyjęła pomocną dłoń reporterki. Kiedy wstała, zwróciła się do Sherry: - Spodziewałam się bardziej cywilizowanego transportu, czy ja wiem, doczepionych do wozów ciągników. - Zmarszczyła nosek, wciągając powietrze. - Okropność. Nie będę przez dziesięć tygodni wachała końskich odchodów. - Zakryła dłonią oko najbliższej kamery. - Te ujęcia mają wylądować na podłodze montażowni, przyjacielu. Znam dyrektora stacji. Sherry, zabieraj swoje rzeczy. Ja stąd pryskam.

Sherry wybałuszyła oczy na odchodzącą koleżankę.

- Yvette, zaczekaj! Obiecałaś. Niech to szlag! Opłaciłam za całe lato twoją połowę czynszu.

Yvette nie słuchała. Po drodze do samochodu zdjęła mokasyny i cisnęła je do beczki na śmieci. Podskakując na bosaka, dopadła drzwiczek auta, otworzyła je i wgramoliła się do środka. Sherry zerknęła na szyderczą minę Campa i pobiegła za koleżanką.

- Na litość boską, Yvette. Wykupię twoją Visę - kusila. - Robisz to, czego Nolan się spodziewał. Miałyśmy pokazać się współczesnych kobiet, nie pamiętasz?

- Ty pokażesz. - Klęcząc na przednim siedzeniu, Yvette sięgnęła do tyłu i zaczęła zrzucać na ziemię bagaże Sherry.

- Świetnie! Jedź, zdradź nas - mamrotała Sherry, zbierając swoje rzeczy. - Spodziewam się zwrotu pieniędzy!

Yvette trzasnęła drzwiami i śmignęła, aż się zakurzyło.

- Aha! Nie mówiłam? - Maizie Boone szturchnęła Campa.

- Może przejdziemy do lekcji? - zaproponował nachmurzony. - Moja siostra sama da sobie radę z wozem. Nadal widzę tu czterech woźniców.

Maizie skinęła głową w stronę pomniejszonej grupy.

- Chyba nie słyszysz, jak te dzieciaki marudzą, że chcą stąd wybyć. Ich mama ślania się ze zmęczenia, więc założę się o piwo u Sammy'ego, że teraz ona da nogę.

Camp poprzedniego wieczoru spróbował cheeseburgera i piwa u Sammy'ego. Smakowało mu, ale nie miał ochoty iść tam z Maizie po przegraniu zakładu. Kiedy wspomniała o dzieciach, usłyszał ich kłótnię. Skierował na nie wzrok. Ani jedno, ani drugie nie było podobne do Emily. Chłopak, wyższy i mocniej zbudowany od matki, włosy miał kasztanowe, nie rade. Dziewczynka była o głowę niższa i chuda jak patyk. Miała czerwone paznokcie i tyle pierścionków, ile palców. Gdyby nie burza mahoniowych włosów, mogłaby uchodzić za młodszą wersję Yvette. Ta sama impulsywność w ruchach. Niesamowite!

Emily zacisnęła zęby. Nie zamierzała rezygnować.

- Przyjmuję zakład - zdecydował nagle Camp. Wiedział coś, czego nie wiedziała Maizie - że Emily zgłosiła się na wyprawę głównie z powodu dzieci.

Odwrócił się, żeby zawrzeć znajomość z potomstwem Emily, i omal nie skosiła go z nóg Brittany Powers. Wytrzeszczył oczy. Ta nie miała czerwonych paznokci, tylko srebrno - czarne, przynajmniej na ręce, którą wczepiła w jego rękaw.

- Nolan - szepnęła mdlejącym głosem, którym zwracała się do niego w ciągu ostatnich tygodni semestru. - Panicznie boję się koni. Zajmiesz się moimi, prawda? - Muskając palcami gors jego koszuli, dotarła do srebrnego medalika na szyi i zaczęła się nim bawić.

Spojrzał w oczy obwiedzione czarną kredką i podkreślone połyskliwym srebrzystym cieniem - ten makijaż pasował do paznokci, ale dziwnie upodobniał ją do szopa pracza. Zastanawiając się, jak ją zbesztać przy ludziach, spostrzegł obrzydzenie na twarzy Emily. Chyba nie wzięła go za podrywacza młodych pańienek.

- Nie jadę z taborem - rzucił ostro i odsunął Brittany od siebie. - Idźcie z Maizie. Pokaże wam, jak się zaprzęga konie. Możecie jej

wierzyć, że clydesdale'e są łagodne jak baranki. Świetnie dasz sobie radę, Brittany.

- Jak to, nie jedziesz z taborem?

Oburzone głosy omal nie ścięły Campa z nóg. Sherry, Gina i Emily obskoczyły go podparte pod boki, z gniewnym błyskiem w oku. Ostrożnie wyminął kamerzystę i stanął obok Maizie. Splunęła, aż dwie tytoniowe krople prysnęły mu na but.

- Hm - mruknęła charakterystycznie, co Campa coraz bardziej irytowało. - To one będą wypruwać sobie żyły, żeby pokazać, że nie masz racji? - szepnęła.

Z wymuszonym uśmiechem na ustach Camp uniósł dłoń.

- Posłuchajcie, drogie panie! Uznałem, że moja obecność może działać deprymująco. Maizie dała mi spis planowanych postojów. Będę regularnie do was zaglądał i zbierał wasze notatki.

- Jeżeli ty nie jedziesz, to ja też nie - oznajmiła naburmuszona Brittany.

Po krótkiej naradzie kobiet wystąpiła naprzód Gina.

- Tak właśnie postanowiłyśmy - rzekła. - Jeżeli ty nie jedziesz, Campbell, wszystkie się wycofujemy.

- Hura! - wykrzyknęli unisono mali Bentonowie. - Jedziemy do domu, mamó.

- Wiedz, że zrezygnowałam ze szkoły - rzekła Emily, podchodząc do Campa. - Potrzebuję tego stypendium. Co ty na to?

Przeczesał palcami włosy i podliczył w myślach, ile wyłożył do tej pory. Pieniądze są zresztą nieważne wobec obietnicy danej szefowi wydziału, że dostarczy gotowe opracowanie przed rozpoczęciem roku akademickiego.

- Zgodziłyście się wziąć udział w moim programie. Nie było mowy o tym, że muszę jechać z taborem.

- Dla mnie to było oczywiste - oznajmiła Sherry. Gina skrzyżowała ręce.

- Mogłybyśmy wszystko przeinaczyć w tych jego formularzach. I tak by się nie poznał.

- Ale tak nie można! - wykrzyknęła Emily. Oczywiście miała zatroskane, gdy reszta kobiet uciszyła ją spojrzeniami.

Wyglądało na to, że diabli wezmą całe przedsięwzięcie, a jakby tego było mało, przyjechali koledzy Campa. Potrząsnął głową i jęknął,

gdy usłyszał reportera wyjaśniającego przybyłym powody zgromadzenia.

- Wymyśliłem świetny tytuł - puszył się dziennikarz. - „Profesor zawała sprawdzian”.

Sherry strzeliła palcami.

- A mógłby pan dodać: „Pokonany przez kobiety”?

Nogi omal się pod nim nie ugięły, gdy Lyle Roberts klepnął go w plecy.

- Camp tylko tak udaje. Zapewniam, że bardzo zależy mi na realizacji tego projektu. Oczywiście, że pojedzie wozem. Nie wycofa się, póki wszystkie kobiety nie padną na szlaku.

- Lyle! - zaprotestował z wyrzutem Camp, rozważając możliwości wygrzebania się z tego, w co się wkopał.

- Oho! - mruknęła Maizie. - To będzie najkrótsza wyprawa w historii.

- Chwileczkę! - zawołał Camp. - Nie widzę problemu. Brittany dołączy do Sherry. Gina życzyła sobie jechać sama. Emily z dziećmi weźmie trzeci wóz, a ja pojedę czwartym. Czy możemy zacząć przedstawienie? Muszę jeszcze kupić pościel i koce przed zamknięciem sklepów.

Nie wiadomo, kto był bardziej niezadowolony z jego kapitulacji: dzieci Emily Benton czy on sam. Megan Benton tupnęła nóżką i oznajmiła, że matka nie może jej zmusić do wyjazdu, po czym demonstracyjnie klapnęła na ławce. Mark chwycił radiomagnetofon, nastawił na pełny regulator i nie chciał ściszyć mimo polecenia matki. Spojrzał wyzywająco, gdy Camp podszedł i wyłączył hałaśliwy sprzęt. Nadaşany chłopak usiadł obok siostry.

- Parszywe wakacje - powiedział.

Camp ucieszył się, gdy Lyle i Jeff powędrowali do baru Sammy'ego wraz ze wścibskimi reporterami. Tym bardziej że po ich odejściu Maizie przekazała zaprzęg jego łagodnych clydesdale'ów dwóm nauczycielkom ze szkoły podstawowej w St. Louis - Boris i Vi, które dołączyły do wyprawy, jemu zaś przekazała cztery humorzaste belgi. Jeden stąpnął mu na nogę. A jeśli zostanę kaleką do końca życia? - pomyślał i w tej samej chwili dragi chwycił go zębami za włosy i chuchnął cuchnącym oddechem prosto w twarz.

- Przestań - syknął do konia.

W godzinę po tym, gdy kobiety opanowały umiejętność zaprzęgania i wyprzęgania koni, Camp nadal plątał się w uprzężach i orczykach. Pociuszające było to, że nie lepiej radził sobie krzykliwy filadelfijczyk. „Fil”, jak nazwał go w duchu Camp, przechwalał się, że łowił ryby na Alasce, spływał bystrzami rzeki Rouge w Oregonie i samotnie opłynął żaglówką greckie wyspy. W tym momencie Camp przestał go słuchać i zabrał się do roboty. Cholera, myślał, nie pozwolę, żeby kilka chudych bab i cztery tłuste konie zrobiły ze mnie osła.

Kiedy wreszcie wykonał wszystko jak należy, miał wielką chęć przepłukać gardło piwem, które powinna mu postawić Maizie. Ale było już wpół do piątej. Miał niecałe trzydzieści minut na zakup posłania. Nie zamierzał spać na gołych dechach, żeby pokazać, jaki to z niego chwyt.

Niech sobie baby z niego szydzą. Wypytywał też o baterie do komputera, ale w miasteczku nie było takich, jakich potrzebował. Popędził więc do sklepu papierniczego i w ostatniej chwili wykupił cały zapas notatników. W tym momencie nie dbał już nawet o to, że papier był różowy i lila. Ale ołówków z gumkami o zapachu winogron i truskawek nie dał sobie wcisnąć.

Kiedy o wpół do siódmej wetknął głowę przez wahadłowe drzwi, w barze Sammy'ego tłoczyli się sobotni bywalcy. Cóż, ostatecznie mógł się obejść bez drinka. Maizie zapowiedziała, że da znak „wozy naprzód” o piątej rano. Ton jej głosu zdradzał, że na spóźnialskich nie czeka. Zresztą szafa grająca zawodziła tak, że jeszcze bardziej rozboleła go głowa, a w gęstym od dymu powietrzu można by siekierę zawiesić. Jakkolwiek by na to spojrzeć, miał za sobą ciężki dzień. Przypomnił sobie, że gdzieś między barem Sammy'ego a biurem Maizie mijał kafejkę. Wolał w spokoju coś zjeść niż napić się zimnego piwa.

Bez trudu znalazł lokal. Już miał otworzyć drzwi, gdy zobaczył przy stoliku od frontu Emily Benton z dziećmi. Megan i Mark wciąż się dąsali, a Emily miała zdecydowanie ponurą minę. Tego tylko mu brakowało, żeby na zakończenie ciężkiego dnia wkroczyć w sam środek rodzinnej kłótni.

- A niech to - rzekł, ziewając. - Daruję sobie kolację, za to dłużej pośpię.

Wracając, oparł się kuszącemu zapachowi cebuli z baru. Na rogu przeszedł na drugą stronę ulicy i nie zatrzymywał się, aż dotarł do swojego pokoju w motelu. Był tak zmęczony, że nie mył się, tylko zrzucił ubranie i padł na łóżko - ostatnie prawdziwe łóżko na wiele tygodni. Tuż przed zaśnięciem usiadł, zapalił światło i nastawił budzik w zegarku z takim zapasem czasu, żeby spokojnie wziąć prysznic i zjeść duże śniadanie.

Wydawało mu się, że ułamek sekundy później wyrwało go z przyjemnego snu trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Tam, gdzie mieszkał - na przedmieściu, niemal poza miastem - noce były tak ciche, że spał mocno, aż zaterkotał budzik. Teraz odwrócił się do ściany i naciągnął na głowę poduszkę. Wtem ktoś zaczął się dobijać do jego drzwi.

- To nie ten pokój! - krzyknął. Jakiś głupiec zasiedział się w barze i teraz pomylił drzwi, pomyślał.

- Campbell? Otwieraj!

Słyszając głos Emily, raptownie usiadł i wyskoczył z łóżka. Serce mu waliło, gdy szarpnął drzwi. Uchyliły się na długość łańcucha, zadrżały mu w rękę i na powrót zatrzasnęły. Ostrożnie znów je otworzył.

- Co się stało? Więc Maizie słusznie przewidywała, że się wycofasz? - spytał zaspany, nie dostrzegając jasności dnia.

- Ja miałabym się wycofać? Wszyscy mówią, że dałeś nogę w nocy. Maizie mnie przysłała, żebym sprawdziła. Wścieka się. Jest wpół do szóstej.

- Co?! Wejdz. - Łańcuch zabrzączał i uderzył o drzwi. - Chwileczkę - rzekł zduszonym głosem. - Nie jestem ubrany. - Złapał leżący na stole zegarek, potrząsnął nim i zobaczył, że stanął tuż po północy. - A niech to wszyscy diabli! - przeklął. Wyciągnął z torby czyste dżinsy i szybko je włożył. Potem skarpetki, buty i koszulę. Wepchnął brudne ubranie do torby i otworzył drzwi. - Stanął mi zegarek. Widocznie bateria się wyczerpała. Więc wszyscy już zaprzęgli konie?

- Wszyscy prócz ciebie. Maizie jest... zdenerwowana. Wozy już pewnie ciągną główną ulicą.

Camp zaklął, ale zaburczało mu w brzuchu.

- Jestem piekielnie głodny - przyznał. - Nie jadłem wczoraj lunchu ani kolacji. - Potarł brodę. - Nie ogoliłem się i nie umyłem zębów.

- Teraz na to za późno. Sięgniesz do swoich zapasów.

- Żartujesz? - Zwolnił kroku. - Fasola, ryż, mąka, kawa, takie nam Maizie sprawiła zapasy.

Emily spojrzała na niego ze współczuciem.

- Dobra pionierska dieta. A czy nie staramy się przenieść do roku 1821, wszyscy?

Na takie dictum umilkł zrezygnowany. Emily ma rację, choć myli się pod innym względem. Maizie nie ruszyła naprzód. Czekala, by zmyć mu głowę.

Ściskając dwoma palcami nasadę nosa, wysłuchał całkiem zbędnych wyrzutów przewodniczki. Gdy mieszkańcy miasta zgotowali im głośnie pożegnanie i zagrała orkiestra ze szkoły średniej o nazwie Szlak Santa Fe z Overbrook w Kansas, konie Campa zaczęły wierzgać.

Syn Maizie Robert i jego syn Jared, jadący ostatnim wozem, pomogli opanować niespokojny zaprzęg. Gdyby Robert Boone był mniej podobny do matki albo chociaż nie przypominał posturą bocznego obrońcy w drużynie futbolowej, Camp próbowałby go namówić, żeby przyniósł mu kawę i parę bułeczek. I jeszcze ten Mark Benton, który wychylał się zza okrytego plandeką pałaka na przedzie wozu Emily i złośliwie na niego łypał.

Kiedy wreszcie z godzinnym opóźnieniem wyruszyli, Camp miał ochotę udusić wrednego dzieciaka. Co porabia w tym czasie matka? Ta bezceremonialna baba, która wyrwała go z łóżka o nieludzkiej porze, dając do zrozumienia, co o nim myśla!

Emily zupełnie nie panowała nad dziećmi. Przypomniawszy sobie jej wyznanie, że chce naprawić krzywdę, jaką wyrządzili dziadkowie, nadmiernie rozpieszczając wnuki. Współczuł jej wtedy i w duchu przyklasnął temu zamiarowi. Teraz jednak przekonał się, że patrzy przez palce na małpie figle swych pociech.

Gdyby on miał dzieci... Ale po co właściwie o tym myśleć? Bez żony nie można założyć rodziny. Jedyna kobieta, którą poprosił o rękę, zostawiła go na lodzie. Przyjęła pierścioneńkę zaręczynową, a potem stwierdziła, że nie chce przez całe wakacje odnawiać zapuszczonego starego domu ani łązić po muzeach. Wcale jej tam nie

ciągnął, ale jego zainteresowania składały się na to, kim był. Nadal odczuwał ból po odejściu Greta. Udawał co prawda, że się tym nie przejął, nawet zaczął się umawiać z kim popadło, ale to tylko pogłębiło rozterkę.

Sznur wozów rozciągnął się, słońce sięgało różowymi i złotymi palcami w bezkresny błękit i Camp uznał, że nie powinien marnować czasu na bezpłodne rozważania. Koledzy widzieli w nim człowieka, który wie, czego chce, jest szczęśliwy i ma dość rozsądku, by się nie żenić. Koleżanki Sherry widziały w nim samoluba. Wszyscy się mylili. Gdy nie był pochłonięty pracą, dokuczała mu samotność. Im był starszy, tym bardziej pragnął doświadczyć takiej bliskości, jaka łączyła rodziców. Pragnął mieć dzieci. Miłe i posłuszne.

Poprawił się na twardym koźle, wpatrzony nie widzącym wzrokiem w końskie zady. Nie ma co, pomyślał, obrzydnie mi własne towarzystwo, nim dotrzemy do Kansas, nie mówiąc o Santa Fe w Nowym Meksyku.

Emily Benton chwyciła syna, który znów niebezpiecznie się wychylił.

- Mark, czy to takie ciekawe patrzeć tam, skąd przyjechaliśmy? Może byś wgramolił się na posłanie i zagrał z siostrą w jakąś grę?

- Coś ty, mamó. Megan się do tego nie zniży. Pewnie wetknęła nos w jakiś horror, który przemyciła w kurtce. A ja drażnię tego dup... chciałem powiedzieć faceta. Tego, co zgasił mi magnet. Wie, że go olewam, więc się spienia.

- Jakiego faceta? Co to znaczy olewam? - spytała odruchowo Emily, puszczając mimo uszu brzydkie słowo, które wymknęło się synowi. Zastanawiała się, czy odrywać Megan od lektury. Od śmierci Dave'a nie mogła się dogadać z córką. Bardzo liczyła na to, że porozumie się z nią podczas wakacyjnej wyprawy. Megan zbyt szybko dorasta. Mark wskazał kciukiem przez ramię.

- Olewam, czyli mam w nosie, faceta, którego zmusiłyście do jazdy wozem. Stary oszust.

- Mark, nie przezywaj profesora Campbella. Chłopiec wykrzywił się.

- A co tam. Przypomina mi tatę. Wciąż się uśmiecha, stroi ważniaka, a całą robotę zwała na ciebie.

Emily spojrzała na syna z ukosa.

- Jeżeli to dostrzegłeś, dlaczego tak trudno jest ci zauważyć, że dziadek wami manipuluje?

- Toby ma forszę i może nam robić przyjemności. Jesteśmy biedni.

- Nie nazywaj dziadka po imieniu. To brak szacunku, niezależnie od tego, co mówią dziadek i babcia. A my wcale nie jesteśmy biedni. Nie jesteśmy bogaci, ale masz zawsze jedzenie na stole, dach nad głową i ubranie na grzbiecie.

- Megan mówi, że Toby jest jak król Midas. On miał komnaty pełne pieniędzy. Zupełnie jak dziadek. Dlaczego Toby i Mona nie mieliby trochę na nas wydać?

- Trudno to wytłumaczyć, kochanie. Prezenty nie zawsze są bezinteresowne. Ten, kto daje, może uważać, że jesteś mu w zamian coś winien. I może mieć inne od twojego wyobrażenie o tym, jak masz się odwdzięczyć.

Na czole dziecka zarysowały się płytkie bruzdy.

- Nie rozumiem. Toby i Mona mają przecież wszystko. Czego mogliby chcieć od nas?

- Niczego, ptasi mózdzku. - Megan wygramoliła się z wozu i wetknęła głowę między brata i matkę. - Mama jest zazdrosna, bo oni mogą więcej dla nas zrobić. Tak powiedziała Mona.

- To nieprawda! - Emily ledwie opanowała wzburzenie.

- Ależ prawda, bo inaczej nie ciągnęłabyś nas na wycieczkę śmierdzącym wozem. Nie chciałaś, żebyśmy pływali w ich basenie i poszli z nimi kupić ubrania do szkoły. Wolisz, żebyśmy pomarli na jakimś głupim szlaku.

Emily ściągnęła cugle tak mocno, że konie stanęły.

- Nie dramatyzuj, Megan. Nikt nie umrze.

Przerwało jej głośnie parskanie. Odwróciła się i zobaczyła, że zaprzęg Campa zrównuje się z jej zaprzęgiem.

- Co się z tobą dzieje? - krzyknął. - Nie mogłaś dać znać? Omal na was nie wjechałem. Co za brak odpowiedzialności!

- Mogłeś zwolnić - odparła przez zaciśnięte zęby.

W duchu przyznała rację Markowi. Nolan Campbell objawia takie same dyktatorskie zapędy jak Dave.

- Kurczę! - Mark wywrócił oczami z obrzydzeniem. - Trzaśnij z bata, mamó. Mówiłem ci, że to szajbus.

Emily patrzyła na przejeżdżający tuż - tuż ogromny wóz. Wtem szarpnęła lejce i wyprzedziła Campa.

- Trzymaj się ode mnie... od nas... z daleką! - zawołała. Mark bezczelnie się uśmiechnął.

Camp odkaszlnął i splunął, czując w ustach piasek, który poderwał się spod kół wozu Bentonów. Doznał olśnienia. Jak mógł żałować, że nie ma żony i dzieci. Zwłaszcza żony!

Rozdział 3

Dawna rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej, niż przedstawiają to mężczyźni.

Uwaga Giny Ames w pierwszej notatce.

Jakieś pięć mil za osadą Arrow Rock, gdy zachodzące słońce rzucało długie cienie za wozami, Maizie dała znak, że pora zatrzymać się na nocleg.

Camp tak długo obijał się o drewnianą ławkę, że stracił czucie w siedzeniu. Dorobił się chyba pęcherzy. Marzył o tym, by zejść z kozła, a jednocześnie obawiał się, że nie da rady iść. Jakie to upokarzające, pomyślał. Musisz coś zrobić, bałwanie.

Patrzył, jak inni wyprzegają konie i zostawiają je spętane na trawiastym kobiercu przy zagajniku berberysu i hikory. Najlepiej widział wóz Emily, bo zatrzymał się obok. Zeskoczyła radosna jak skowronek i nachyliła się, by poluzować orczyki. Campa ogarnęła nagle chęć, aby dotknąć niesfornych kosmyków, które wymknęły jej się spod kapelusza. Loki błyszczały jak nowiuteńkie miedziaki w ciepłej słonecznej zorzy.

Jego wzrok zsunął się z włosów Emily na ładnie zaokrągloną tylną część ciała. Było dla niego jasne, dlaczego pionierzy szli pieszo bądź jechali konno, powierzając żonom rolę woźnicy. Po prostu kobiety miały większe naturalne poduszki.

Patrzcie państwo! - pomyślał. Emily Benton ma na twardym drewnianym kozle grubą podkładkę, używaną do wyściełania ław. Ciekawe, jak Sherry by usprawiedliwiła takie udogodnienie? Krzywiąc się i pojękując przy każdym ruchu, Camp rozejrzał się, by sprawdzić, czy inne kobiety też tak oszukują. A jakże! Co za bezczelność... Z drugiej strony - tej obolałej - żałował, że sam na to nie wpadł.

- Nic ci nie jest?

Ciche pytanie Emily wyrwało go z odrętwienia. Wyprostował się, nie zwracając uwagi na gorący dreszcz w nodze, do której wracało czucie.

- Nic. Zastanawiałem się tylko, dlaczego nie ustawiamy wozów w koło.

Jej dźwięczny śmiech wywołał następny dreszcz, który przebiegł po pobudzonych koniuszkach nerwów Campa.

- I pomyśleć, że uważasz się za historyka. Wstyd. Pionierzy ustawiali wozy w koło, żeby odeprzeć ataki Indian, a to wcale nie zdarzało się tak często, jak pokazuje nam Hollywood.

- Wozy w kręgu są dobrze opisane w dziennikach, które czytałem. Takie ustawienie chroniło nie tylko przed atakami Indian i zbirów; zniechęcały także szukające pożywienia kojoty, pumy i niedźwiedzie.

Mark i Megan zeskoczyli na ziemię w samą porę, by usłyszeć koniec rozmowy.

- Ma - a - mo! - jęknęła Megan. - Zjedzą nas we śnie.

- Niedźwiedzie. Fajnie!

Na twarzy Marka zamiast ponurej miny pojawił się zachwyty - po raz pierwszy, odkąd Camp go obserwował.

- Założę się, że grzechotniki też będą - oznajmił chłopak drżącym głosem prosto do ucha siostry.

Wrzasnęła i natychmiast wdrapała się z powrotem na wóz. Campa ogarnęło współczucie dla Emily. Przy tej dwójce nie ma chwili spokoju.

- Megan, wysiadaj! - zawołała Emily. - Pora zgłosić się do Maizie po przydział wieczornych prac. Zaraz zrobi się ciemno.

- Wieczornych prac? - powtórzył Camp tępo. Miał uczucie, że żołądek przykleił mu się do kręgosłupa. Jabłka, które Maizie rozdała na południowym postoju nad wodą, tylko zaostrzyły mu apetyt. Był bardzo głodny, ale chciał na świeżo zanotować wrażenia z minionego dnia. Wszystko, co zapamiętał, objając się na koźle.

- Nie czytałeś regulaminu, który sam rozesłałeś? - spytała Emily.
- Punkt czwarty. Maizie co wieczór rozdziela prace do wykonania. Stosuje zasadę rotacji, żeby jednej osobie nie przypadały wciąż najłżejsze obowiązki i na odwrót.

- Nauczyłaś się tych zasad na pamięć? - Camp urwał, okupując bólem zejście z wysokiego siedziska. - Zerknąłem tylko na broszurę. Sekretarka porobiła odbitki i rozesłała pocztą. Po co miałem studiować regulamin? Nie miałem zamiaru jechać z taborem - wyjaśnił, jakby oskarżał Emily, że wymusiła na nim zmianę planów.

- To było widać. Radzę jednak pożyczyć od kogoś regulamin, chyba że oczekujesz specjalnego traktowania.

- Wcale nie - zaprzeczył, reagując na przytyk.

- Wobec tego wyprzęgaj konie. Wszyscy już idą do Maizie.

- A niech sobie idą - odciął się, nie dbając o to, że przypomina w tym momencie krnąbrną Megan.

Emily ściągnęła usta.

- Chodźcie, dzieci - rzekła i nim odeszła, sprawdziła jeszcze raz, czy konie są dobrze spętane.

Megan ani drgnęła. Mark podszedł chyłkiem do Campa.

- Nigdy nie widziałem niedźwiedzia. Naprawdę tu są? Camp rozważył różne odpowiedzi, ale w końcu postanowił mówić prawdę.

- Podróżnicy przecierający szlak Santa Fe rzeczywiście mieli kłopoty z niedźwiedziami. Ale my prędzej natkniemy się na grzechotnika. Uważajcie przy zbieraniu drewna. Zanim podniesiecie gałąź, trąćcie ją nogą. Pod kawałkami drewna znajdują schronienie oprócz węży także pająki.

- Kurza twarz! - wykrzyknął Mark i wywrócił oczy, gdy siostra pisnęła wystraszona i uklękła na siedzeniu w wozie. - Mona mówi, że mama zdziwaczała, a najlepiej świadczy o tym ta wycieczka, na którą nas ciągnie. Toby błagał mnie, żebym powiedział jego przyjacielowi sędziemu o tych wariackich wakacjach. Żałuję, że tego nie zrobiłem. Mogliśmy zostać w domu. Mam w nosie jakieś głupie prace.

- Kto to są Mona i Toby? - spytał Camp Marka, który zaczął mu pomagać, mimo że nikt go nie prosił, przy pętaniu ostatniego belga, Renegata.

Camp przez cały dzień po cichu obrzucał konia wyzwiskami dosadniejszymi od imienia.

- Moi dziadkowie - odparł Mark, gdy uporali się z koniem. - Od śmierci taty chcą, żebyśmy u nich mieszkali. Mama się nie zgadza. Ciągłe się o to kłóć. Megan i ja wszystko słyszymy, ale oni chyba o tym nie wiedzą.

Camp z reguły nie angażował się w sprawy, które nie dotyczyły go bezpośrednio, ale chciał wesprzeć Emily.

- Porozmawiajcie z matką. Na pewno ma ważne powody, żeby postępować tak, a nie inaczej.

- Okłamię nas - rzekła gorzko Megan. - Mona mówi, że to przez mamę tata tyle pił. Nie starała się go zrozumieć.

Camp pomyślał, że dowiaduje się więcej o prywatnym życiu Bentonów, niż życzyłaby sobie Emily. Rozejrzał się, szukając sposobu wykręcenia się od tej rozmowy. Niestety, ratunek nadszedł w postaci

Brittany Powers. Biegła do niego, wymachując dwiema kartkami papieru.

- Nolan, Nolan! - zawołała, zapominając o uwodzicielskim szepcie. - Mam twój przydział. Dostaliśmy taki sam. Czy to nie cudowne?

Wziął kartkę od Brittany, choć wcale się nie kwapił do wspólnej z nią pracy.

- Dziś możesz się nie bać węży, Mark - powiedział, marszcząc brwi po przeczytaniu kartki. - To my będziemy zbierać drewno - dodał, wskazując siebie i Brittany.

- Węży? - Brittany zadrżała i przywarła do Campa. - Nie cierpię wszystkiego, co pełza. Ach, jaki ty jesteś dzielny.

Camp usiłował odczepić dziewczynę od ramienia.

- Muszę wziąć rękawice. Tobie radzę zrobić to samo.

- Nie mam rękawic, Nolan - jego imię wypowiedziała przeciągle - ale pójdę z tobą i dotrzymam ci towarzystwa. - Objęła go obiema rękoma za ramię.

Cholera, przeklął w duchu, oplata się jak boa dusiciel.

- Na pewno i tutaj znajdzie się dla ciebie coś do zrobienia. Mark mi pomoże. - Camp wolną ręką pociągnął chłopca za rękaw. - Zgoda, mały? - Miał nadzieję, że Mark nie zorientował się, jak bardzo chce uniknąć wyprawy do lasu razem z Brittany. Ale Mark był bystry.

- Ile to dla ciebie warte? Pięć dolców?

Mały szantażysta. Na szczęście wróciła Emily. Zanim przydzieliła dzieciom zadania, Camp rzekł z uśmiechem:

- Czy mogłabyś oddać Brittany pracę Marka i pozwolić mu pójść ze mną? - Widząc zdziwienie na twarzy Emily, wyjaśnił, że Brittany nie ma rękawic.

Emily zobaczyła, że Camp robi krok w przód, a Brittany idzie z nim biodro w biodro jak przyklejona. Do jej męża też lgnęły młode kobiety jak pszczoły do miodu. Dave był tym zachwycony.

- Wolałbyś pewnie, żeby Mark pożyczył Brittany rękawice, prawda?

Zgryźliwy głos matki zaskoczył Marka. Camp był zły. Na litość boską, chętnie rzuciłaby go na pożarcie lwom.

- Co musiałbym robić, gdybym nie pomagał przy drewnie? - przystąpił do negocjacji Mark.

- Szukać kamieni i układać z nich krąg na ognisko przy każdym wozie - odparła Emily.

- Pójdę z nim - rzekł chłopiec, wskazując Campa. - Bo ona - wskazał Brittany - wywierciłaby pazurami dziury w rękawicach. Takie szpony czarownicy widziałem tylko w czasie Halloween.

- Głupi smarkacz. Gdybym była czarownicą, zamieniłabym cię w ropuchę. - Brittany obrzuciła go złym spojrzeniem.

Dopiero po chwili niechętnie puściła Campa. - Nie chcę połamać sobie paznokci o kamienie. Może zobaczę, co robi Sherry. Spotkamy się później, Nolan. Bo chyba będziesz zbierał nasze notatki, prawda?

Camp aż się wzdrygnął, słysząc jej afektowany szept. Unikając odpowiedzi na pytanie, rzekł:

- Wszystkie prace będą niszczyły ręce. Nie chciałbym, żebyś zadarła sobie paznokcie i naraziła się na infekcję.

Brittany zamachała rękami.

- Jaki ty jesteś troskliwy, Nolan. Nikt inny nie dba, czy urwie mi paznokcie, czy nawet rękę albo nogę.

- Twoi rodzice oczekują zapewne, że zaopiekuję się tobą w ich zastępstwie.

- Moich starych nie obchodzi, co robię, bylebym się im nie plątała pod nogami. Jestem ciężarem, od którego chcieliby się uwolnić, i to na dobre.

Camp zaniemówił.

- Idź z Markiem - rzekła cicho Emily, przychodząc jednak na ratunek Campowi. - Ja zniosę kamienie, a Megan i Brittany ułożą je w krąg, popychając nogami, jeżeli nie chcą uszkodzić sobie paznokci.

- Dzięki - powiedział z nieopisaną ulgą Camp.

Nie tracąc czasu i nie oglądając się na Marka, chwycił rękawice i ruszył do lasku. Źle ocenił Brittany. Od dnia, kiedy weszła do jego sali, uważał ją za rozpieszczoną dziewczynę, która ma wszystko: drogie ciuchy, samochód, kieszonkowe tak wysokie, że można by nakarmić cały naród w trzecim świecie. Wszystko prócz - jak się okazało - rodzicielskiej miłości.

- Te, facet - zawołał zdyszany Mark, doganiając Campa. - Ta laska leci na ciebie.

Camp spojrzął z góry na chłopca.

- Nie gadaj głupstw. I nie nazywaj kobiet "laskami". Jestem profesorem Brittany i mógłbym być jej ojcem.

Mark stanął i zadął głowę.

- Uhm - mruknął. - Pewnie woli starszych facetów. Camp podniósł długi kij i rozgarnął zarośla. Aż dziwnie było słuchać dzieciaka, który mówił zupełnie jak Maizie.

- Patrz, tu są trzy suche sosnowe gałęzie. Zanieś je do któregoś wozu, a ja będę szukał dalej. I nie mów do mnie „facet”. Rozumiesz?

- W porządku, jeśli nie chcesz rozmawiać o swoich sercowych sprawach. Mama też każe mi coś robić, kiedy czuje się zakłopotana.

- Nie mam sercowych... nie jesteśmy... Do diabła!

Gdyby nie doskwierający głód, zostawiłby chłopaka samego i poszedł zapisać dzisiejsze obserwacje. Trafiło się kilka niezłych spostrzeżeń. Powinien mieć trochę czasu, kiedy kobiety zajmą się przygotowaniem kolacji. A kolację może przyspieszyć szybkie dostarczenie drewna na ogniska. Jakby na zawołanie zaburczało mu w brzuchu. Modlił się, by wyznaczeni przez Maizie kucharze przewidzieli porządne porcje jedzenia dla mężczyzn.

Kiedy skończyli zbierać drewno, słońce już zaszło. Wieczorny wiatr niósł woń dymu i jakże apetyczne aromaty cebuli i czosnku. Mark puścił się pędem naprzód, a Campowi ślinka pociekła z ust. Wesóły ogień płonął z trzaskiem przed wszystkimi wozami. Zaraz, zaraz - przed jego wozem nie.

W migotliwym świetle płomieni tańczących na ognisku Emily zobaczył krąg kamieni przed swym wozem. Gdyby nie to, że zrobiło się chłodno i wolał jeść w cieple, w ogóle nie rozniecałby ognia. Zamierzał zjeść, zaraz potem zebrać zapiski i zapaść w głęboki sen.

Gdy przechodził niedbałym krokiem obok wozu Bentonów, zatrzymała go Emily.

- Maizie prosiła, żeby ci przekazać, że twój wóz przechyla się na lewo. Powinieneś od nowa rozłożyć ładunek. Wyrównać obciążenie.

- Nie mam tylu ciężkich rzeczy, ale zaraz się tym zajmę.

- Jeszcze jedno. Robert Boone ma puszkę z olejem. Każdy z nas brał swój przydział i oliwił uprzęż. Ty też musisz to zrobić.

Camp chciał zobaczyć twarz Emily, ale stała w cieniu, mieszając coś w metalowej misce.

- Coś jeszcze? - Stanął w rozkroku i zatknął kciuki za pas.

- Nie. Rozpal ogień i przygotuj posiłek. Robert i Jared nabrali ze strumienia wody do zmywania. Robert powiedział, żeby wody z beczek w wozach używać tylko do gotowania i parzenia kawy.

- Chwileczkę! To nie będzie wspólnego stołu?

Emily uniosła lepką rękę i przedramieniem odgarnęła zakręcony kosmyk.

- Wszyscy coś przynoszą i jemy razem? Nie. Zgodnie z regulaminem każdy przygotowuje posiłki sam.

- Ale...

Opiekał nad ogniskiem kiełbaski, lecz nic więcej, a i to jakieś trzydzieści lat temu. W tygodniu jadał poza domem. W dni wolne od pracy pakował do kuchenki mikrofalowej gotowe, mrożone obiady. Teraz żałował, że nie wczytał się w ten przeklęty regulamin. Załączono tam pewnie przepisy kulinarne. Gdyby wiedział... W sklepie w Boonville, gdzie kupował ekwipunek, były dania dla turystów typu „wsyp zawartość do wrzátku”.

Trudno, musi coś szybko zrobić. Kuchenna boginka znów patrzy na niego z góry. Jedno wiedział na pewno - prędzej umrze, niż pozwoli, by wieść o jego nieudolności kulinarnej rozeszła się wśród uczestniczek. Odchrząknął i powiedział:

- Przejdę się po obozie. Może znajdzie się u Maizie dodatkowy egzemplarz regulaminu.

- Nie chciałabym cię zatrzymywać - Emily uśmiechnęła się słodko - ale jeżeli najpierw rozpalisz ogień, to po powrocie będzie w sam raz do gotowania. Zobacz, nastawiłam wodę na herbatę. Kiedy ogień się zmniejszy, postawię piecyk. - Wskazała komplet żeliwnych rondli, stojących jeden na drugim. - Nim ugotuje się posiłek, kawa już będzie gotowa, jeżeli pijesz kawę...

- Piję. Rzadko o tak późnej porze, ale dzisiaj mam ochotę.

- Świeże powietrze zaostrza apetyt - dodała ze śmiechem. Soczysty, gardłowy śmiech Emily zaostrzył jego apetyt, lecz wcale nie na jedzenie. Pokręcił zirytowany głową. Pożądanie nieszczęśliwej wdowy - w dodatku nie radzącej sobie z dziećmi - było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Wymamrotał podziękowanie i ułożył gałęzie na ognisko, nie oglądając się ani razu na Emily. Zużył pięć zapalek, nim rozpałił ogień.

Postanowił przy okazji poprosić Maizie o przydzielenie innego miejsca w szyku - żeby nazajutrz nocować obok kogoś innego. Pogrzebał w zapasach, wydobył kratę na ogień, czajnik i urządzenie, które Emily nazwała piecykiem. Czajnik z cynkowanej blachy nie

miał pojemnika na filtr jak maszynka do kawy, którą miał w domu. Domyślił się, że trzeba wrzucić ziarna kawy od razu do wody.

Tylko ile wrzucić tej kawy? Na przygotowanej przez Maizie liście zakupów widniała tania kawa w puszkach. Nie był wybredny, ale kawę lubił dobrą. Gdy więc okazało się, że pojedzie wozem, zamienił puszkę na woreczek kawy wysokiego gatunku. Uznał, że trzeba wrzucić garść, położył na ogniu kratę, postawił czajnik i ruszył na poszukiwanie Maizie. Gotowanie nie jest trudne, pomyślał zadowolony z siebie.

Przy każdym wozie zatrzymywał się i wciągał nosem powietrze. Nauczycielki z podstawówki piekły ziemniaki w folii i smażyły gruby plaster szynki. Vi, ta wyższa, wyjaśniła, że apetyczny deser studzący się na płaskim kamieniu to zapiekanka z jabłek z cynamonem.

Powstrzymując się od oblizania warg, Camp ruszył dalej. Na talerzach Roberta i Jareda piętrzyła się fasola i parówki. Ominął szerokim łukiem parę z Filadelfii. Ten nieznośny gość kazał pewnie żonie upiec naprędce placki i jagnięcinę w liściach winorośli, żeby się potem przechwalać wycieczką do Grecji.

Camp stanął jak wryty przy ognisku Sherry i Brittany.

- Kto to zrobił? - spytał, wskazując coś, co wyglądało na kruche ciasto z truskawkami.

- Ja. - Sherry dmuchnęła na palce i potarła nimi bluzkę. - Emily odkryła półko zdziczałych truskawek przy płocie. Zrobiłam też sos z pomidorów, papryki i cebuli do brązowego ryżu. Jutro gotuje Brittany. Będziemy się zmieniać.

- Kiedy nauczyłaś się gotować? - spytał, odganiając smugę dymu. - O ile pamiętam, miałaś słabą tróję z gospodarstwa domowego.

- Z szycia w pierwszej klasie, bo nie mieliśmy w domu maszyny. A odkąd mieszkam z Yvette, często gotuję, bo jej nie ma. Masz tu notatki. Brittany, a twoje?

Dziewczyna błysnęła zębami w uśmiechu.

- Przyniosę później. Teraz maluję paznokcie. - Skinęła na Campa. - Już nie będą czarne, tylko czarująco czerwone. Powiedz temu łepkowi.

Czarująco czerwone? Camp odsunął się, przypominając sobie słowa Marka o „leżącej” na niego Brittany.

- Nie zauważyłyby nawet, gdyby nie były pomalowane.

- Nie pomalowane? Paznokcie bez lakieru, to jakby chodzić bez ubrania. Ale jeżeli to ci się podoba...

Sunęła zachwyconym spojrzeniem po torsie Campa. Odruchowo zapiął koszulę pod szyją. Nie zamierzał ustosunkowywać się do tej wypowiedzi.

- Życzę paniom smacznego. Idę pogadać z Maizie.

Popędził do wozu przewodniczki. Maizie siedziała okrakiem na balu drewna i reperowała popręg. Obok stał kubek z kawą, a w czarnym rondlu bulgotała potrawka.

- Sie masz, synu. Przekazano ci, że masz rozłożyć bagaż i naoliwić uprząż?

- Emily mi powiedziała. Przyszedłem spytać, czy masz zapasowy regulamin, no i czy mógłbym ustawić wóz dalej, powiedzmy między wozem siostry a wozem Doris i Vi.

Maizie łyknęła parującej kawy, mrużąc oczy.

- Zapasowy regulamin jest w torbie przy siodle. Kiepski pomysł z tą zmianą szyku. Tej małej, co jedzie z Sherry, nie interesuje wcale pionierski szlak. Ma co innego w głowie.

- Cholera! - zdenerwował się. - To moja studentka.

- Uhm.

- Do tanga trzeba dwojga, Maizie. A ja nie tańczę.

- Miło mi to słyszeć, chłopcze. Weź sobie regulamin. Pewnie zechcesz wcześniej uderzyć w kimono. Dzisiaj dałam ulgową taryfę. Jutro wydusimy piętnaście mil.

Camp przyłożył rękę do obolałego siedzenia.

- Aż tyle? Zapominasz, że jadą prawie same kobiety. Maizie klepnęła się w udo i zaśmiała.

- Widziałam, jak sobie babki rozcierają plecy.

- Możesz sobie pożartować, ale to dopiero początek wyprawy - przypomniał i sztywnym krokiem podszedł do siodła. Przekartkował regulamin, lecz niestety, nie znalazł dodatku z przepisami. - Nikomu nie pomagałaś? - spytał podejrzliwie.

- Niby w jaki sposób?

- Na przykład wtedy, kiedy kazałaś mi zaprzęgać... Może ktoś przeprowadził przyśpieszony kurs gotowania?

- Nigdy nie wyróżniam klientów. Siódmy punkt regulaminu mówi, że każda załoga sama przygotowuje posiłki. Punkt dziewiąty ustala taką samą zasadę co do prania. W najbliższym mieście radzę ci,

chłopcze, zrobić zapas zup w puszkach. Nie to co świeża, ale łatwo otworzyć i podgrzać. Jeden mój klient przez całą drogę do Oregonu jadł zupę trzy razy dziennie. Też nie umiał gotować.

- Umiem gotować - skłamał Camp.

- Uhm! Naucz się regulaminu. Nikomu nie popuszczam. W drodze powrotnej nie miał dość światła, by przestudiować

listę wymagań. Większość wędrowców już zmywała po jedzeniu, a jego kolacja była w lesie. Dzisiaj raczej musi dać sobie spokój z pisaniem, zwłaszcza jeżeli jutrzejszy dzień ma być jeszcze dłuższy. Już teraz bolały go wszystkie kości.

Bentonowie nakładali sobie jedzenie, gdy mijali ich wóz. Bekon, jajecznicę i bułki. Złociste, puszyste, gorące bułki. Campowi aż ślina kapnęła na pierwszą stronę regulaminu. Ojciec zawsze w weekendy piekł takie bułki. Powinien przypomnieć sobie składniki. Mąka, woda, sól. Soda? Nie, proszek do pieczenia. Zerkając w stronę sąsiadki, zobaczył, jak Emily nakłada bekon z najniższego z trzech ustawionych jeden na drugim garnków. Bułki były w środkowym, jajka w najwyższym. Niemal usłyszał, jak Mark drwi z niego, że wszystko małpuje. Ale co tam.

Rzucił plaster bekonu do rondla, który postawił nad żarem ogniska. Do miski wsypał na oko dwie filiżanki mąki, dodał szczyptę soli... ach, zapomniał o oleju. Ile? Wszystkiego po równo? Czemu nie?

Według etykiety, proszek do pieczenia miał podwójną moc. Camp wytrząsnął go trochę, bez odmierzania. Ależ gęsta ta mikstura! Dodał wody. Nie miał pojęcia, jak udało się Emily zrobić foremne bułki, ale na wyglądzie najmniej mu zależało. Położył łyżką porcję ciasta na drugim poziomie piecyka - naśladując Emily - i zanim wsunął rynkę na miejsce, przewrócił bekon. No proszę, gotowanie wcale nie jest takie trudne. Tylko jak długo będą się piekły bułki? Dwadzieścia minut? Pół godziny? Chyba wystarczy. Napije się w tym czasie kawy, a potem wymiesza jajka w proszku.

Fuj! Kawa była zaledwie brązowawa. I słaba. Bardzo słaba. Garść ziarna to stanowczo za mało.

Nagle jego uwagę przyciągnęła kłótnia Marka i Megan. Żadne nie chciało zmywać. On sam jako dziecko nie odbębniał dyżurów w kuchni, no i teraz są skutki. Może Emily Benton ma rację, że zmusiła

tych dwoje do udziału w wyprawie. Każdy powinien dawać sobie radę w trudnych warunkach, zwłaszcza mężczyzna.

Popijał zabarwioną wodę i patrzył, jak Emily zawija pozostałe bułki w folię. Nie śpieszyła się. Z przyjemnością patrzył na jej oszczędne ruchy. Tak robiła wszystko. No, prawie wszystko. Potrafiła też się miotać - jak wtedy, kiedy rozrzuciła papiery po całej podłodze. W tym niebieskim kostiumie wyglądała jak niebieski, trzepoczący się ptak. Niebieski ptak z rudą głową...

- Coś się przypala - usłyszał jej głos i spojrzał na garnek na palenisku.

- O chole... - Poderwał się i poruszył bekon. - Przepraszam - wymamrotał. - Chyba pora na jajka.

Emily powstrzymała się od uśmiechu, patrząc, jak unosi aluminiową miseczkę nad górny garnek.

- Zaczekaj! - zawołała. - Nalałeś oleju do garnka? Boże, czy trzeba było nalać oleju do wszystkich garnków?

Nie chcąc wyjść na kompletnego ignoranta, otworzył butelkę i nalał go tyle, by pokryć całe dno, zaraz potem wylał wymieszane jajka, które zaskwierczały, zabulgotały i natychmiast zaczęły się przypalać. Chwycił garnek, krzyknął i złapał się za Oparzony palec.

- Coś nie tak? - warknął do wpatrzonej w niego Emily.

- Nie, nic. - Zawinęła opadające pasemko włosów za ucho, obróciła się na pięcie i zawołała Marka, który rozmawiał nieopodal z Jaredem Boone'em.

Była wściekła, że Nolan przyłapał ją, kiedy się tak głupio zagapiła. Co gorsza, znów ogarnęło ją współczucie dla mężczyzny. Dave rozczulił ją na samym początku uroczą nieporadnością. Emily pocieszycielka, tarcza osłaniająca słabych. Ta rola zaczęła ją przygniatać, gdy chłopięce słabostki męża przerodziły się w ciąg romansów i kłamstw. Wstrząsnął nią dreszcz. Widok galopującego Marka utwierdził ją w postanowieniu, żeby już nigdy więcej nie zwracać uwagi na Nolana. Przywołała uśmiech na twarz, by Mark nie wyczytał w niej więcej, niż sobie życzyła. A może niesłusznie starała się ukryć przed dziećmi ciemne strony swego małżeństwa...

- Mamo, mamó! Jared ma sprzęt do łowienia ryb. Powiedział, że ja też mógłbym kupić sobie wędkę w Council Grove. Jego tata mówi, że rozbijemy obóz nad rzeką Neosho i zabierze nas obu na ryby.

- Sama nie wiem, Mark - rzekła ostrożnie Emily. - Ile... to kosztuje?

Po opłaceniu rachunków i czynszu za okres wakacji zostało jej na koncie równo trzysta dolarów przeznaczonych na zakup ubrania do szkoły i jedzenia do czasu, gdy dostanie wrześnieową pensję. Dojdzie do tego stypendium fundowane przez Campa.

Entuzjazm Marka przygasł. Chłopak wepchnął ręce do kieszeni i kopnął kamień do ogniska. Kamyk stuknął o imbryk i odbił się od kraty na ognisku sąsiada.

- I tak nie chciałem iść na ryby. - Mark wyminął matkę i pobiegł między wozami.

Emily westchnęła, masując skronie. Dobrze, że Nolan znikł. Nikomu nic do tego, że kłopotczy się o finanse. Dołała sobie herbaty i przysiadła na kłodzie zalanej srebrnym blaskiem księżyca. Co za niezwykła sceneria... Przynajmniej poprawił jej się humor.

Megan wysunęła rękę z wozu i chwyciła pędzącego brata.

- Mark, w Council Grove zadzwoń do Toby'ego. Pozwoli ci obciążyć rachunkiem za wędkę swoją kartę kredytową. A może po nas przyjedzie, byłoby fajnie.

Chłopiec poweselał, ale zaraz potem znów przygasł.

- Nie, mama nie chce, żebyśmy do nich dzwoniли.

- Co z tego? - Megan wysunęła do przodu kościstą bródkę. - Mona i Toby płacili rachunki, kiedy żył tata. Powiedz mi, czemu mama nagle tak wybrzydza.

- Skąd wiesz, że płacili? - spytał.

Chciał pobiec dalej, ale wpadł na Campa, który wyszedł na tył wozu, żeby wyrzucić niejadalne bułki. Przed chwilą zeskrobał do ogniska zwęglony bekon.

- Szpiegujesz nas? - spytał chłopiec podejrzliwie.

- Nie, ale słyszałem, że mówiłeś coś o wędce. - Camp podrzucił do góry i chwycił twardą jak kamień bułkę. - To się nada na szałwik - rzekł ze śmiechem.

- Co to jest? - spytał Mark, sięgając do garnka.

- To miały być takie bułki jak twojej matki. - Camp cisnął nieudany wypiek w las. Twarda kula trzasnęła w drzewo. - Dam dziesięć dolarów za te, które wam zostały.

- Nie ma mowy! - zaprotestowała Megan. - Odgrzejemy je na śniadanie.

- Ach tak. Wiesz co, Mark? Pożyczę ci wędkę w zamian za przepis na bułki. Tylko... nic nie mów o tym matce.

- Czemu? - spytał podejrzliwie Mark. - Dlaczego nie poprosi pan o przepis swoją siostrę?

Camp przesunął dłonią po podbródku.

- Chyba już poszła spać - bąknął. - No, dzieciaki, szykujcie się do łóżka. Pozmywam i też się kładę.

Wyrzucił grudy stwardniałego ciasta pomiędzy drzewa i podszedł do miski, w której zostawił do namoczenia pozostałe naczynia. W ostatnim akcie rozpaczy wylał słabą kawę. Gdyby nie zmęczenie, spróbowałby zaparzyć ją jeszcze raz z podwójnej ilości ziarna.

Kątem oka spostrzegł zapatrzoną w księżyc Emily; piła coś z filiżanki. Gdyby to była kawa, doczołgałby się na czworakach i błagał, żeby się z nim podzieliła. Ale przecież piła herbatę. Nie lubił herbaty. A poza tym żadne z nich nie ma ochoty się zaprzyjaźnić.

Wiedział, dlaczego nie chce się do niej zbliżyć. Ona też najwyraźniej ma swoje powody. Ukradkiem podrzuciła mu swoje zapiski, kiedy był odwrócony tyłem. Inne kobiety dawały mu ankiety do ręki. Brakowało tylko notatek Brittany. Powiedziała, że przyniesie je później, ale może jest zbyt zmęczona.

To mu przypomniało o własnym znużeniu. Ziewnął, wylewając wodę ze zmywania. Zostawił garnki, żeby wyschły, i starannie wygasił żar. Stał przez chwilę, przyzwyczajając wzrok do ciemności, i spostrzegł, że płonie już tylko ognisko Emily. Zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że idzie spać, ale się rozmyślił. Z pewnością wiedziała, że zrobi się kompletnie ciemno, kiedy zgasi ognisko. Żeby tylko nie skreśliła karku, idąc po omacku do wozu.

Rozpiął koszulę i uniósł nogę, zaczepiając o koryto na paszę z tyłu wozu - i wtem zamarł, dziękując opatrności za płonące ognisko Emily. Teraz zrozumiał, dlaczego Brittany nie dała mu swych uwag. We wnętrzu wozu zauważył jasne włosy opadające na nagie ramiona.

Nagie. Jasny gwint! Wycofał się czym prędzej, usiłując to zrobić jak najciszej. Poczul w ustach niemiły smak strachu. Gdzie, u diabła, jest jego siostra? Czy wie o eskapadzie Brittany?

Nie. Sherry chętnie wystawiłaby go na pośmiewisko, ale na pewno nie maczałaby palców w tak uwłaczającej historii. Cholera. Gdyby wyrwał kogoś ze snu, naraziłby na szwank dobre imię Brittany. Pozostawało jedno - zdać się na łaskę Emily Benton.

Przemknął na palcach między wozami, bojąc się głośno odetchnąć, i zatrzymał się blisko przodu jej wozu.

- Pani Benton... Emily - zawołał szeptem.

Poderwała się, wylewając trochę herbaty.

- Myślałam, że już śpisz. Czemu wałęsas się po ciemku?

- Ciii. - Przyłożył palec do ust, oglądając się ukradkiem przez ramię. - Mam kłopot. Potrzebuję pomocy.

Był taki niespokojny, że zgodziła się pomóc, nim wysłuchała go do końca. Gdy opowiedział całą historię, ogarnął ją gniew.

- Co za brak charakteru, silnej woli! Czemu po prostu nie kazałeś jej odejść?

Ten nieoczekiwany wybuch zbił go z tropu. Nie zdążył zebrać myśli, gdy nastąpił drugi atak.

- Mój mąż też nie miał charakteru, tyle że on kręcił z meżatkami.

- Głos jej drżał. - Groził, że jeżeli nie dam mu alibi, to się rozwiedzie i jego rodzice dopilnują, żeby przyznano mu opiekę nad dziećmi. - Westchnęła głęboko. - Żal mi Brittany, więc pomogę ci, ale tylko raz. Potem trzymaj się ode mnie z daleka, do cholery.

Odstawiła z trzaskiem filiżankę i ruszyła naprzód. Camp przytrzymał ją za ramię.

- Ja nie potrzebuję alibi - zapewnił, obracając ją do siebie. - Chodzi mi o dobre imię Brittany, o jej szacunek dla siebie. Nikt w jej domu o to nie dba. - Puścił Emily i wzruszył ramionami. - Przyznaję, że się zdenerwowałem, kiedy ją zobaczyłem w wozie. Pomyślałem, że jeśli ty z nią porozmawiasz, będzie mniej zakłopotana.

- Ech. - Emily zrobiło się głupio. Dobrze, że jest ciemno. Co on sobie o niej pomyśli, kiedy naopowiadała mu tyle o swoim małżeństwie?

- Emily, jeżeli widzisz lepsze wyjście, chętnie wysłucham. Splatała i rozplatała palce.

- Przepraszam... za ten wybuch.

- Nie szkodzi - odparł. - Miałem już do czynienia z zakochanymi studentkami, ale nigdy z tak ciężkim przypadkiem. Nie powinienem był jej brać. Za późno przejrzałem na oczy.

- Porozmawiam z nią. Gdyby to była Megan, tak właśnie bym postąpiła. Aha, zostawiłam na kłodzie dwie latarki, może zechcesz się przejść.

- Dziękuję, nie skorzystam. Kiedy ją wyprowadzisz, oczywiście ubraną, będę miał jej coś do powiedzenia. Nie życzę sobie, żeby to się powtórzyło.

Emily podała mu latarkę i wzięła drugą, mierząc Campa uważnym spojrzeniem, gdy go mijała. Dwa razy się obejrzała, spodziewając się, że zniknie, ale on w milczeniu podążał za nią krok w krok. Walczyła z niespodziewaną falą ciepła oblewającą jej ciało. Niech to licho! Nie chciała tego czuć...

Kiedy doszli do tyłu wozu, Camp złożył dłonie i podsadził Emily. Wsłuchiwał się w cichy szmer głosów, oczekując w napięciu głośniejszych słów, które jednak nie padły. Wkrótce pokazała się Brittany, a za nią Emily. Dziewczyna unikała wzroku Campa i nie pozwoliła pomóc sobie przy wysiadaniu. Założyła ręce i stała przygarbiona, z posępną miną. Na szczęście była w dzinsach i skromnym sweterku.

Zmusił ją, by na niego spojrzała, i rzekł surowo:

- Brittany, musimy porozmawiać. Emily i ja odprowadzimy cię do twojego wozu.

- Ona jest nam niepotrzebna.

- Tobie może nie, ale mnie tak. Nie zamierzam wcale natrząsać się z twoich uczuć. Pochlebiają mi. Pochlebiałyby każdemu mężczyźnie w moim wieku, ale w tym cała rzecz. W moim wieku. Gdybym ożenił się w tym samym wieku, co moi rówieśnicy, chodziłabyś do jednej klasy z moją córką.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Może w tej chwili nie, ale za kilka lat nie byłoby ci wszystko jedno, że jestem siwy czy łysy, a ty wciąż młoda i piękna - rzekł żartobliwym tonem.

- Uważasz, że jestem piękna?

Camp błysnął latarką na Emily, jakby błagał o pomoc.

Niech sam sobie radzi ze swoim problemem, pomyślała w pierwszej chwili. Potem uznała, że jednak się stara, więc ulitowała się nad nim i objęła Brittany.

- Kochanie - powiedziała, prowadząc ją do wozu Sherry.

- Pan Campbell mówi o tym, co będzie za dziesięć lat. O tym, że większość kobiet rozkwita, osiągając wiek trzydziestu lat, a pięćdziesięcioletni mężczyźni zaczynają się starzeć. Wszystko schodzi na psy... - Nie wdając się w szczegóły, pomogła Brittany wsiąść do

wozu. - Przyłóż głowę do poduszki. Maizie zaplanowała na jutro piętnaście mil jazdy.

Kiedy Brittany znikła we wnętrzu pojazdu, Emily natychmiast zawróciła. Camp zrównał z nią krok.

- Miałaś frajdę, mówiąc o schodzeniu na psy, co? Kąciki jej warg drgnęły, ale nie odpowiedziała.

- Oświadczam ci, że moje „wszystko” nie zejdzie na psy, choćbym dożył dziewięćdziesiątki.

Odrzuciła głowę w tył i głośno się zaśmiała. Miły śmiech z lekką chrypką sprawił, że Campowi spocily się dłonie i „wszystko” stanęło na baczność. Zapraagnął pocałować jej usta. Na szczęście doszli na miejsce i Camp odzyskał przytomność umysłu.

- Jeżeli chcesz już się położyć, zajmę się twoim ogniskiem - zaproponował kurtuazyjnie. - Przynajmniej w ten sposób się odwdzięczę. - Sztywnym ruchem podał jej latarkę.

- Nie ma za co dziękować - odparła, przybierając nagle rzeczowy ton. - Zatrzymaj latarkę. Mam ich więcej.

Zręcznie wskoczyła do wozu i szarpnęła zasłonkę, odgradzając się od Campa. Przez minutę nie ruszała się ani nie oddychała, wiedząc, że on wciąż stoi w tym samym miejscu, zapewne urażony, że go odtrąciła. Ale ona nie mogła otworzyć się na przyjaźń, nie mówiąc już o poddaniu się niebezpiecznym prądom, jakie w niej wzbudził. Tyle ma kłopotów na głowie - rachunki, nieszczęśliwe dzieci, problemy z teściami - więc po co jej jeszcze mężczyzna. Przecież już raz się sparzyła.

Rozdział 4

Z opowieści mężczyzn wynika, że ujarzmianie Dzikiego Zachodu było łatwe - raz dwa i po krzyku - i do pewnego stopnia zabawne. To stek kłamstw.

Gina Ames. Zapisek po pierwszym dniu na szlaku.

Świdrujące brzęczenie wdarło się do snu Campa. Otworzył oczy, ale wokół panowały ciemności. Przypomniawszy sobie drugi punkt regulaminu. Maizie dzwoniła na pobudkę w staroświecki trójkąt. Tłumiąc jęk, przewrócił się z pleców na brzuch. Obolałe ciało protestowało każdym mięśniem. Powolusieńku podparł się dłońmi i stanął na czworakach.

- Taki pionier musiał pod koniec podróży czuć się jak jeden wielki odcisk - wymamrotał przez zęby. Poruszając się niezgrabnie jak wielki leniwiec, stękając i pojękując, doczołgał się na przód wozu. Po dwóch próbach zdołał się dźwignąć na płaskie siedzenie. Wczorajsze bóle były niczym w porównaniu z dzisiejszymi. Mordercza pora na pobudkę, pomyślał. Żaden szanujący się kogut nie pieje przed świtem.

- Powiedz sobie, że to zabawne - zanucił, wspominając celną uwagę Giny. Odkorkował bukłak i oblał głowę zimną wodą. - Chryste. - Szczekał zębami, ścisnął w rękach brezentowy worek i zastanawiał się, jak długo potrwa, nim będzie mógł bezpiecznie się ogolić, nie ryzykując, że utoczy serdeczną krew.

- Co ty taki wymięty? Nie wzięłeś ubrania na zmianę? Camp odłożył bukłak i marszcząc groźnie brwi, spojrzawszy z góry na Marka ubranego w obwisłe portki do pół łydki i o kilka numerów za dużą koszulę.

- Nie powinien wygłaszać takich uwag ktoś, kto ubiera się w sklepie z odrzutami Armii Zbawienia. - Ponieważ chłopak ani trochę się nie spieszył, Camp dodał: - Wielu pionierów miało tylko jedną zmianę ubrania.

- Ohyda. W Santa Fe pewnie czuć smród do tej pory. Ja i mama godzinę temu przynieśliśmy z rzeki wodę do mycia. Twoja siostra i inni też to zrobili.

Camp nie dał się sprowokować.

- Czy na rano też przydzielone są jakieś prace?

- Nie. Mama mówi, że mamy pół godziny na śniadanie i piętnaście minut, żeby zaprząć konie.

Wokół ognisk, które zamigotały na łące, majaczyły sylwetki ludzi. Chłodny powiew przyniósł kawowo - cynamonowy aromat, który wywołał u Campa paraliżujący skurcz żołądka. Powinien był zeszłego wieczoru schować dumę do kieszeni i poprosić Emily o resztę bułek. Kuląc się nad bukłakiem, zważył w prawdziwość tego, co przeczytał o Kicie Carsonie - że przeżył cały tydzień na dwóch skrawkach suszonej wołowiny.

- Zmykaj, mały. Matka cię woła. Mark potrząsnął głową.

- Mama pyta, czy potrzebujesz pomocy przy rozpalaniu ogniska.

- Ależ skąd! - Camp zeskoczył z wozu i omal się nie przewrócił, lądując na twardej ziemi. - Ale... - zgrzytnął zębami - miło z jej strony, że pyta.

- Nie myśl sobie, że za tym pytaniem coś się kryje - pouczył Mark. - Mama zawsze pomaga zagubionym.

Camp powstrzymał się od komentarza. Był w kiepskim stanie po części z powodu Emily. Kiedy rozstali się wieczorem, nie mógł przestać o niej myśleć. Z początku próbował pisać, ale jej imię pojawiało się o wiele częściej od innych. Cisnął z obrzydzeniem notes i wczółgał się do śpiwora. Rozpamiętywał słowa, które wyrwały się Emily na temat jej małżeństwa. Przez pół nocy głowił się nad tym, dlaczego kobieta z dwoma fakultetami trwała w małżeństwie z takim draniem. Z pewnością żaden sędzia nie przyznałby opieki nad dziećmi tak parszywemu ojcu.

Mimo woli szukał wzrokiem sylwetki Emily. Tuż przed zaśnięciem uzmysłowił sobie, że miała więcej sił, niż się spodziewał. Czemu więc nie uciekła razem z dziećmi? Z powodu pieniędzy? Z rozmów Marka i Megan wynikało, że z tym jest krucho.

- Hm... - mruknął do siebie. - Przy takich możliwościach zarobkowych? - Musi się za tym kryć coś jeszcze.

- Proszę. - Mark podał mu jakieś karteluszki. Chrypliwe dudnienie radiomagnetofonu wdarło się do uszu Campa. Czy temu dzieciakowi nigdy nie kończą się baterie?

- No, bierz - nalegał Mark. - Nie gryzą. Mama zapisała przepis na bułki i zupę ziemniaczaną. I jeszcze parę innych. Widocznie ją prosiłeś, bo ja na pewno jej nie mówiłem, że są ci potrzebne.

- Podziękuj mamie. - Camp omal nie przewrócił chłopca, sięgając po kartki. Pierwszy przepis był zanotowany na kopercie. Jak

robi się kawę na ognisku. Drukowanymi literami Emily napisała: ZEMLEĆ KAWĘ.

Camp uderzył się otwartą dłonią w czoło. W domu miał młynek do kawy. Zaopatrując się na wyprawę, w zdenerwowaniu zapomniał, że zawsze mełł ziarno swej kawy dla smakoszy, a dopiero potem wsypywał je do drogiej, łatwej w obsłudze maszynki do zaparzania. A więc zemleć kawę. Ale jak? Zawiązać ziarno w czystej chusteczce i rozłuc płaską stroną siekierki. Dobrze. To powinno wystarczyć. Przekartkował resztę przepisów. Zupa, bułki, potrawka z peklowanego mięsa i parę innych.

- Powiedz mamie, że uratowała mi życie. Nie po raz pierwszy - rzekł, przypominając sobie, jak Emily pomogła mu pozbyć się Brittany.

- Jak uratowała ci życie? Kiedy? - Gestem młodego twardziela Mark zdjął baseballówkę z napisem Saint Louis Cardinals i włożył ją daszkiem do tyłu.

Mark pytał na poważnie albo tylko tak udawał. W słabym świetle Camp nie potrafił tego rozstrzygnąć. Zresztą i tak nie zamierzał niczego mu wyjaśniać.

- Tak się tylko wyraziłem. Twoja mama... pożyczyła mi latarkę. - Ostrożnie potarł zarośniętą szczękę, gratulując sobie zręcznego wykrętu. - To było wtedy, kiedy ty i Megan poszliście spać. Zapomniałem kupić latarkę.

- Mama o takich rzeczach nie zapomina. Od tego są mamy. Pewnie żałujesz, że ty nie masz mamy.

- Ależ mam. Moi rodzice mieszkają w Columbii. A mama pilnuje teraz mojego domu i opiekuje się psem.

- Ale pewnie żałujesz, że nie jest z tobą na wyprawie - rzekł drwiąco Mark. - Megan mówiła, że założyłeś się z siostrą. Niemądrze zrobiłeś. Baby ci dołożą. - Chłopak zniknął w cieniach poranka, a gniewne prychnięcie Campa zawisło w zadymionym powietrzu.

Nie pozwolę, żeby taki niedorostek załazł mi za skórę, postanowił. Ta wyprawa nie ma być rozgrywką pomiędzy nim a kobietami. Cóż, może Sherry tak to widzi, ale Emily z pewnością nie. A może dlatego jest dla niego raz ciepła, raz zimna. Wyjaśni to, zbierając wieczorem ankiety. Bo teraz trzeba szybko coś upichcić.

Przyłożył zapaloną zapałkę do ustawionych w stożek drewnienek, odsunął od siebie wszystkie myśli, wybrał parę przepisów i zaczął zbierać potrzebne naczynia.

Znów miał wrażenie, że nie nadąza za innymi. Emily i nauczycielki w następnym wozie zaczynały sprzątać, kiedy siadał do jedzenia. I co z tego? Dziś poszło mu jak z płatka, więc zamierzał rozkoszować się każdym kęsem. Bułeczki i przysmażone ziemniaki wyglądały bardzo apetycznie. Kawa nigdy tak smakowicie nie pachniała - chociaż zniszczył nowusieńką chusteczkę z monogramem, jedną z kompletu, który dostał od matki na święta. Ale mama zrozumie i wybaczy.

Dwa razy próbował podchwycić spojrzenie Emily, żeby podziękować jej za przepisy, lecz ona ani razu na niego nie spojrzała. Wziął bułkę i posmarował ją miodem. Emily Benton ma dziwne zasady. Uważa za właściwe pomagać mężczyźnie, ale nie chce się zaprzyjaźnić.

Cóż, niech jej będzie, skoro taka wola. Odgryzł pierwszy kęs i omal nie jęknął z rozkoszy. Zerknął znowu w stronę Emily, lecz gdzieś zniknęła. Oho, a dlaczego Maizie Boone naciera na niego z groźną miną? Podobnie wyglądała wtedy, kiedy się spóźnił. Nie miał pojęcia czym dziś wywołał jej niezadowolenie. Nie jest na razie spóźniony, więc co ją ugryzło?

Im bliżej podchodziła, tym wyraźniej było widać, że sprawa jest poważna. Camp nie chciał o pustym brzuchu wysłuchiwać reprimendy. Nappełnił usta smażonymi ziemniakami i jajecznicą i wstał dopiero wtedy, gdy uwalane buty Maizie wbiły się w ziemię tuż przed nim.

- Cholera jasna. Renegat dał w nocy nogę.

Camp raptownie odstawił talerz, przeskoczył ognisko i popędził na skraj łąki. Goliat, Mała Lizzie i Spike pasły się tam, gdzie je zostawił, ale nie było śladu po tabakowym belgu - tym, który tak mu się wczoraj opierał.

Śniadanie nabrało smaku gumy.

- Jak... daleko mógł uciec?

- Kto to może wiedzieć? - Maizie wyjęła z kieszeni nową paczkę tytoniu i odgryzła kawałek. - Znajdź go - poleciała, gdy zmiękczyła nieco prymkę tytoniu i splunęła soczyście w ognisko Campa.

- Ja? Czy ja wyglądam na samotnego myśliwego?

- Jak ci się tyłek odparzy od siodła, będziesz na drugi raz sprawdzał, jak spętałeś konie. Zasa...

- Zasada numer piętnaście - wpadł jej w słowo. - Tak, wiem. - Widocznie za słabo sprawdził końskie pęta.

- Im prędzej zaczniesz, tym lepiej. Pamiętaj, nie będziemy czekać. Jedź śladami Renegata od miejsca, w którym go zostawiłeś. Kiedy go złapiesz, zaprzęgaj i ruszaj szybko naszymi śladami.

- A jeżeli go nie znajdę? - Nie obawiał się o jazdę śladami szerokich opon, które założyli na koła wozów jeszcze w Boonville, ale tropienie konia to całkiem co innego. Jak odróżnić odcisk jednego kopyta od drugiego?

- Zaraz go znajdziesz, nie ma obawy. Jest wielki jak bizon, trudno go pomylić z zającem. A ziemia jest tu płaska jak stół i tylko te parę drzewek zasłania widok.

Przysadzistą Maizie wstrząsnął dudniący pomruk. Camp domyślił się, że to śmiech.

- Bardziej obawiam się o to, żeby jakiś farmer nie wziął mnie za złodzieja bydła - rzekł. - Którego konia mam dosiąść?

- Osiodłam mojego srokacza, a ty w tym czasie wygaś ognisko. Wrzuć do wozu kamienie ułożone wokół ogniska i resztę drewna, zaoszczędzisz sobie pracy wieczorem. Srokacz ma na imię Taran. Kupiłam go od przegranego kowboja, który chciał, żeby wszyscy uważali jego wałacha za narowistego i złego. Ale nie sprawi kłopotu z tyłu wozu. Tylko żebyś go dobrze przywiązał!

- Tak, proszę pani.

Pogodzony z losem, Camp spojrział tęsknym wzrokiem na pierwszy od dwóch dni porządny posiłek - teraz ostygły. Wyrzucił jajka i ziemniaki. Postanowił zapakować bułki i zabrać je z sobą - na wypadek, gdyby szukał Renegata dłużej, niż przewidywała Maizie.

Uznawszy, że nie ma co zwlekać, zabrał się do wykonywania poleceń Maizie i zaczął badać pozostawione przez konie ślady. Ruszyła Gina, a tuż za nią para z Filadelfii. Jeden po drugim wozy opuszczały łąkę. Camp wsiadł na osiodłanego konia Maizie i rozejrzał się wokół. Jest na co popatrzeć! Czwórki koni stapały równo, białe płótno wydymało się na tle błękitnego nieba. Dziś niebo miało odcień dokładnie taki jak oczy Emily: odcień lawendy połączonej z kobaltem, przypominający glicynię, która oplata ganek przed jego domem.

Nie miał czasu marzyć o oczach, które wcale go nie wypatrywały, musi ruszać na poszukiwania Renegata. Jeśli go szybko znajdzie, może dogoni tabor przed pierwszym postojem.

Odczekał jednak, aż Emily, jadąca ostatnim wozem, opuści polanę. Jej włosy lśniły w świetle wschodzącego słońca i Campowi przypomniła się wizja, jaka stanęła mu przed oczami w sobotę, gdy pierwszy raz zobaczył wozy. Ale zamiast długiej sukni Emily miała na sobie kremową koszulkę i sprany niebieski kombinezon, a jej loki wymykały się spod wysłużonej czapki z daszkiem. Nie miał siły zawrócić w swoją stronę, póki wóz Emily nie zamienił się w drobny punkt w oddali.

- No dobra, Taran - rzekł do niespokojnego srokacza. - Poszukajmy tego zbłąkanego konia.

Nietrudno było podążać tropem Renegata. Ślady kopyt były wielkie jak wrota stodoły. Ale bezrozumne zwierzę przeszło szmat drogi. Koń przeprowił się przez rzekę i wlaź na pole pszenicy. Zbliżało się południe, gdy Camp go wreszcie dopadł, i to tylko dlatego, że linka, którą ciągnął za sobą, zaplątała się w wysoki krzak o czerwonych liściach.

- Dzięki Ci, Panie, za te krzewy. Gdyby nie one, ta góra mięsa dla psów zawędrowałaby do samego Kolorado.

Musiał odciąć zdrewniałe gałęzie, by uwolnić Renegata. Słońce prażyło bezlitośnie, ale na szczęście dla nich obu Camp pamiętał o zabraniu worka z wodą. Gdy koń pił łapczywie z czapki, Camp sprawdził, czy nie doznał obrażeń.

- Nie mogłeś wcześniej się zaplątać? - spytał Camp z wyrzutem, odcinając ostatnią gałązkę tępym scyzorykiem. - Chodź, skurczybyku - dodał, uwolniwszy linę. - Ruszamy, bo zrobi się ciemno, nim dogonimy tamtych.

Koń obrócił łeb i spojrzał na Campa wielkimi brązowymi oczami, po czym podreptał posłusznie za swoim wybawcą, a nawet potarł go pyskiem w szyję.

- A więc stęskniłeś się za mną, klocu? - Camp roześmiał się i pogłaskał miękki nos konia.

W drodze powrotnej Renegat nie dał takiego przedstawienia jak poprzedniego dnia. Camp, samotny jeździec prowadzący swego konia, poczuł dziwną satysfakcję, że udało mu się wykonać zadanie, które musiało być chlebem powszednim braci pionierów. Czyżby

umiejętność polowania i tropienia zapisana była w męskich genach? Hm, to warto przemyśleć.

Gdy dotarł do swego osamotnionego wozu, nie tracąc czasu zaprzągnął konie. Uporawszy się z tym, zdjął siodło z Tarana i przeciągnął wodze przez metalowe kółko w tylnej klapie, służące właśnie do tego celu, i zawiązał podwójny węzeł. Wyobraził sobie triumf Sherry, gdyby wrócił z pustymi rękami. No cóż, czeka ją niespodzianka.

Tabor zostawił wyraźne ślady. Za laskiem, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się łagodnie falująca preria. Camp zjadł bułki, które zostały mu ze śniadania. Szukanie zbiega trwało dłużej, niż przewidywała Maizie; jeżeli ma dogonić pozostałych, musi mocno przyśpieszyć. Ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić.

Zbyt często wędrował myślami do czasów pierwszych pionierów. Wtedy nie latały nad głową odrzutowce, które teraz znaczyły smugami bezchmurne niebo, samochody nie mknęły autostradą, której daleki szum słyszał, gdy wyteżył słuch. Przyszło mu do głowy, że nawet przy wiernej imitacji wyprawa jest poniekąd oszustwem. Nie niesie niespodzianek i niebezpieczeństw. Próba odtworzenia nie wywołuje takiego przejęcia, jakie musiało towarzyszyć na co dzień osadnikom stawiającym czoło nieznanemu. Postanowił odnotować to spostrzeżenie w swoim sprawozdaniu.

Podążał niespiesznie naprzód, wsłuchując się w ptasie trele. Nie dokuczały mu już, tak jak wcześniej, obolałe mięśnie. Zaczynał się przyzwyczajać do miarowego kołysania wozu. Około drugiej przejechał mostek, który zapamiętał z folderu Maizie. Nieco w bok od trasy znajdowała się tawerna Neffa, pierwszy punkt postojowy na szlaku Santa Fe. Została z niej tylko kamienna wędzarnia.

O tam, po lewej stronie. Szkoda, że nie ma czasu się zatrzymać. Sądząc po śladach opon, cała kolumna wozów objechała historyczne miejsce. Niestety, słońce już zsunęło się z najwyższego punktu na niebie; trzeba jechać naprzód. Mijając resztki przeszłości, Camp poprzysiągł sobie, że dzisiaj trzy razy sprawdzi, jak spętał konie. Z żalem obejrzał się za siebie, żywiąc nadzieję, że Gina porobiła dużo zdjęć.

Myśl o Ginie nie wiadomo czemu zapoczątkowała rozmyślenia o Emily. Nie miał pojęcia, dlaczego ta kobieta tak go zaintrygowała. Była niepodobna do tych, które zwracały jego uwagę. Począwszy od

młodości, wzdychał zwykle do postawnych blondyn. Wszystkie były sobowtórami Bunny McPherson, dziewczyny, która wprowadziła go w cudowny świat seksu. Bunny, dwa lata od niego starsza, była hojnie obdarzona przez naturę i nie skąpiła mu darów. Miała poczucie humoru i zero zahamowań; była nauczycielką, o której marzy każdy piętnastolatek. Bunny знаła się na rzeczach, o których Camp rozmawiał z kolegami w ukryciu za stodołą - na przykład polucji i kontroli urodzeń.

Dziwne, nie myślał o niej od lat, chociaż wtedy przysiągł sobie, że się z nią ożeni, gdy skończy college. Ale tydzień po swych szesnastych urodzinach, gdy Bunny raptem się wyprowadziła, dowiedział się, ilu chłopców w szkole myślało o tym samym. Większość szybko znalazła kogoś na jej miejsce; jemu to przyszło ze znacznie większym trudem.

Tamtego lata razem z kołem historycznym zwiedzał filie Smithsonian Institute i znalazł nową miłość: muzea. Czy to znaczyło, że jest z nim coś nie tak? Bo po latach Greta wyrzucała mu z goryczą, że ożenił się nie z nią, tylko z zatechłymi muzeami. A tak w ogóle Greta niewiele miała wspólnego z Bunny.

A Emily? Nie przypomina jej wyglądem. Nie jest ani wysoka, ani rozłożysta. Ale nie miał nic do zarzucenia jej figurze. Dżinsy wyglądały na niej tak, że człowieka ogarniały grzeszne myśli. Nie jest co prawda blondynką, ale spodobała mu się ognista burza wokół jej twarzy, gama odcieni przechodzących jeden w drugi przy każdej odmianie światła.

Tak długo pozwolił myślom, błędzić, że gdy podniósł wzrok, zobaczył nisko stojące słońce. Zdziwił się, że ma przed sobą bród przez Blue River. Ktoś - zapewne Maizie - przyczepił kartkę na uschłym drzewie:

„Napój konie. Przeprowadź się przez rzekę i kieruj wprost na słońce. Trzymaj się między Blue i Little Blue, aż dojedziesz do Rice Farm. Jeszcze pięć mil i dotrzesz do naszego obozu. Mam nadzieję!”

Tak, to Maizie - kobieta małej wiary.

U stóp drzewa, w plastikowej misce, ktoś, kto bardziej w niego wierzył, zostawił trzy bułki z miodem i torebkę z odżywczą mieszanką. Camp uśmiechnął się radośnie. Gotów był iść o zakład, że kryje się za tym Emily. Może jest kolejnym wcieleniem Jessie Benton

Fremont, pionierki, która pielęgnowała chorych i rozsądzała spory w wozach jadących pod przewodnictwem jej męża.

Emily znów go poratowała. I to bardzo.

Martwił się przeprawą, ale niepotrzebnie. Konie bez oporów weszły do wody. Kłopot pojawił się z chwilą, gdy nie chciały z niej wyjść. Przez dobre pół godziny zachęcał je, namawiał, aż wreszcie odniósł sukces. Na szczęście rzeka nie była tu głęboka, sięgała mu do pasa. Ponieważ zgrzał się i swędziało go skóra, z przyjemnością się ochłodził. Zdjął nawet koszulę i, zmoczywszy ją, włożył z powrotem.

Z początku czuł się dobrze, ale słońce nadal prażyło bezlitośnie i wysuszone ubranie zeszywniało. Swędzenie nasiliło się. Nogi, ręce, kark miał gorące i podrażnione. Kiedy się drapał, swędziało go jeszcze bardziej. Usiłował skupić uwagę na rzece, płynącej spokojnie w tym samym kierunku, w którym jechał, na urodzie bursztynowych smug kładących się na wieczornym niebie. Nie pomagało. Z każdą milą czuł się gorzej. Patrzył, jak słońce tonie w płytkim jeziorze stopionego złota, lecz nawet chłód wieczoru nie przyniósł ulgi.

W którymś momencie ściągnął koszulę, by sprawdzić, czy nie ma pcheł. Niczego nie zauważył, ale jego klatkę piersiową, ręce, nawet nogi pokrywała czerwona wysypka. Czyżby alergią? Na co?

Gwiazdy obsypały niebo i wstał młody księżyc, gdy dojrzał w oddali rząd płonących ognisk. Odkąd żył, żaden widok nie sprawił mu tyle radości.

Maizie i Robert wybiegli mu na spotkanie. Sherry też. Camp rozpoznał Brittany chowającą się w cieniu wraz z Megan. Gina opierała się leniwie o wóz, tylko Emily gdzieś zniknęła. Zabawne, bo właśnie ją pragnął ujrzeć.

- Witaj, strudzony podróżniku. Jakże się cieszę, że cię widzę - rzekła Maizie.

Przytrzymała pierwszą parę koni i poprowadziła zaprzęg w koło, aż ustawiła wóz Campa na końcu szeregu. Obok wozu Emily, jak zauważył mimochodem. Potem kazała Robertowi wyprząc konie, a sama podeszła do Campa, gdy schodził z kozła.

- Już zaczynałam się martwić, chłopcze. Co ci tak długo zeszło?

Camp prychnął. Głupie pytanie. Przecież sama wysłała go w pogoń za uciekinierem. Nie odpowiedział, tylko podwinął rękawy koszuli i zaczął się drapać. Minał Maizie, zamierzając zająć się końmi. Ta chwyciła go za ramię i świsnęła przez zęby.

- Coś mi się widzi, że natknąłeś się nie tylko na Renegata. Nieźle się poparzyłeś jadowitym sumakiem. Ostrzegałam przed nim dzieci i przybyszów spoza stanu. Nie sądziłam, że trzeba ostrzegać kogoś, kto wychował się w tych stronach. - Tytoniowy sok strzelił nad ramieniem Campa.

- Przestań żuć ten tytoń - ryknął Camp. - Co za wstrętny i szkodliwy nałóg!

Maizie otworzyła szeroko oczy. Z ciemności wyłoniła się raptem Emily i wśliznęła między nich.

- Camp, nie wyżywaj się na Maizie tylko dlatego, że jesteś zmęczony i nie w humorze.

- Na humorze mi nie zbywa - odparował. - Mam też cholerną wysypkę, która niemiłosiernie mnie swędzi. Trochę za późno na udzielanie rady, że powinienem trzymać się z dala od tego świństwa. Tam, gdzie mieszkam, sumak jadowity na szczęście nie rośnie.

- Typowo męska reakcja. Krzyczeć na kobietę, kiedy samemu zrobiło się głupstwo. Mogłam to przewidzieć. - Emily uniosła ręce w górę i odeszła.

Camp się zawstydził. Sherry obejrzała wysypkę w świetle latarki.

- Trzy listki widzimy, nie ruszamy rośliny. Uczyłam się tego u skautów, Nolan.

- Bardziej zaprzątał mnie Renegat niż liczenie liści. Co z apteczki mam sobie zaaplikować? - spytał.

Maizie zatknęła kciuki za pas.

- O ile wiem, chłopcze, nic tego nie leczy. Maść z kortyzonem jest skuteczna na pieczenie i łagodzi swędzenie. Przez pierwsze dni kontakt z wodą pogarsza objawy, więc się nie myj.

- Wspaniale. Zmoczyłem się przy przeprawie przez rzekę. Wtedy zauważyłem, że coś jest nie tak.

- Dlaczego się zamoczyłeś? - spytała Gina. - Myśmy w ogóle nie zsiadali z wozów.

- Dobrze, ale ktoś zapomniał pouczyć moje konie. Tak im się spodobało w wodzie, że nie chciały wyjść. - Camp podziękował Robertowi za pomoc przy wyprzęganiu, a potem sam jeszcze raz sprawdził pęta.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała Sherry, odskakując na bok, gdy przypadkiem otarł się o nią. - Czytałam, że można zarażać innych wysypką w jej stadium ciekącym.

Camp nie zareagował. Robert spojrział na niego ze współczuciem, ale on i Maizie starali się go nie dotknąć, gdy odchodzili.

- Czy przyznasz wreszcie, że kobiety lepiej od współczesnych mężczyzn znoszą trudy życia w prymitywnych warunkach? - spytała Sherry.

- Do końca wyprawy daleko. O ile dobrze sobie przypominam, mieliśmy rozstrzygnąć, czy współczesne kobiety dadzą sobie radę w podróży z Boonville do Santa Fe. - Nie wiedział, dlaczego jest taki zły. Marzył o tym, żeby zostawiono go w spokoju.

- Ach, jakiś ty uparty. Popatrz tylko na siebie. Trzydniowy zarost, brudne ubranie, a od tej wysypki zaraz całkiem zapuchnie ci oko.

Z wielkim trudem zdobył się na uśmiech.

- Dzisiaj ja, jutro może ty.

- Dojrzałeś do tego, żeby się wycofać?

- Zostaję. A ty? Masz dość?

- Skądże. Ale ty... jesteś moim jedynym bratem. Spotkało cię już tyle przykrości... Megan powiedziała Brittany o twojej nieudanej kolacji, ale ją to wręcz ucieszyło. Dobrze mu tak, powiedziała, niech głoduje. Co jej zrobiłeś? Zdawało mi się, że kocha się w tobie na zabój.

- Brittany jest zagubiona. Czy mogłabyś się nią zaopiekować, pokierować nią?

- Przynajmniej nie żyje z dnia na dzień, mając na utrzymaniu dwójkę dzieci jak wiele młodych kobiet, którym doradzamy w naszym ośrodku.

- Może do tego dojść, jeżeli się nie zmieni. Obsesyjnie szuka męża. Może się związać z jakimś nieodpowiedzialnym chłystkiem.

- Skąd ja to znam! Większość moich studentek nie byłaby w tarapatkach, gdyby nie zakochały się w nieodpowiednim mężczyźnie. Ślub nie gwarantuje sielanki.

- Przemawia przez ciebie gorycz - powiedział.

- Nie gorycz, lecz znajomość życia i ostrożność. Chociaż może i masz rację. Nie tylko młode kobiety zadają się z podłymi typami.

Spostrzegł nagle, że oboje patrzą na wóz Emily.

- Wiesz coś o jej małżeństwie? - spytał ściszym głosem. - W podaniu napisała, że jest wdową.

Sherry spojrzała z ukosa na brata,

- Skąd miałabym wiedzieć? To twoja kandydatka. - Zagryzła wargi. Czyżby się domyślił, że to ona ściagnęła tu dwie kobiety?

- Tak tylko pytam. Pełni tę samą funkcję co ty w swoim college'u. Ja znam profesorów historii z innych uczelni. Myślałem, że poznałyście się na jakiejś konferencji.

- Muszę lecieć. Jesteś wykończony. Może ja dziś zbiorę ankiety?

- Możesz? Dzięki. A ja postaram doprowadzić się do porządku. - Potarł dłonią zarośnięte, swędzące policzki.

- Lepiej się nie gol, Nolan. Pod zarostem pewnie też masz wysypkę.

- Zmieniłaś front. To już nie wyglądam jak oberwaniec?

- Czy siostra nie może zmienić zdania?

- Skoro jesteś taka łaskawa, zajrzyj do apteczki. Może masz coś na taką wysypkę? Bo ja mam tylko podstawowe leki.

- Jak coś znajdę, to przyniosę razem z ankietami.

Camp myślał tylko o tym, by zrzucić brudne ubranie i umyć się; nawet jeśli miałyby to zaognić mu skórę. Nie chciał usłyszeć od Marka, że śmierdzi. Zdjął koszulę i ruszył w stronę zachęcającego mlaskania fal w zakolu rzeki Little Blue, gdy przybiegła Sherry. Wrócił więc i rzucił zapiski do wozu. Gdy znów ruszył nad rzekę, siostra poszła za nim.

- Nie miałam maści z kortyzonem. Och, ta wysypka nie da ci spać. Jak długo to potrwa?

- Cholera wie. Nigdy nie czułem jednocześnie pieczenia, kłucia i swędzenia. Czy nie kryje się wśród nas jakiś zielarz? - spytał półżartem.

Sherry zmarszczyła nos.

- Spytaj Fila. Wypowie się na każdy temat.

- Jak to dobrze, że jadę na końcu. Gdybym musiał wysłuchiwać jego kazań, aresztowano by mnie za napaść i pobicie.

- Myślałam, żeby go zamordować. Maizie ma świętą cierpliwość.

- Żująca tytoń święta? Niezły obrazek!

- Daj spokój, jest świetną przewodniczką. Dzięki niej twoja praca nabierze rumieńców. - Sherry zatrzymała się na brzegu rzeki. - Spytałeś, czy możesz o niej napisać?

- Nie, ale spytam przed końcem wyprawy. - Podrapał się.

- Chyba oszaleję. Nieważne, co mówiła Maizie, muszę obmyć się z kurzu. I tak pewno nie zasnę. Dasz się namówić na pokera? Zaproszę też Roberta i Maizie.

- Przepraszam, ale idę spać. Jeszcze trzy dni łykania pyłu na drodze i dojedziemy do Council Grove, a tam czekają nas zbawienne dwa dni wypoczynku. Nie mogę się doczekać, kiedy pójde do kosmetyczki i zafunduję sobie zabieg. Spróbuj się przespać. Maizie mówi, że jutro będzie upał.

- Pionierki chyba nie miały na trasie salonów kosmetycznych - zauważył ironicznie.

- Ani lekarzy. Po poradę lekarską będziesz musiał pojechać konno aż do Independence.

- Nie! - zawołał do odchodzącej z jedynym światłem Sherry. Większość ognisk tliła się nikłym płomieniem, zabezpieczona na noc. Camp zamierzał po kąpieli rozpać ogień i zrobić sobie kolację. Jeżeli zakłóci spokój sąsiadom, trudno. Może się jeszcze pokazać Mark Benton, żeby mu podokuczać, ale dzisiaj pewnie się zmordował, pomyślał Camp. Dzięki Ci, Panie.

Księżyc, który prawie osiągnął pierwszą kwadrę, rzucał migotliwe błyski na wodę. Camp ściągnął buty, skarpetki i szybko zrzucił resztę odzienia. Zwinął brudne ubranie, a czyste, ucięte dzinsy wraz z ręcznikiem rozłożył starannie na granitowej skale. Nie rozglądając się, wskoczył do lodowatej rzeki. Boże, jakie to było przyjemne.

Dziesięć metrów dalej Emily, siedząca na omszałym skalnym występie, stłumiła westchnienie, które mogło zdradzić jej obecność. Powinna była zawołać, zanim Sherry się oddaliła. Nie zrobiła tego, bo nie chciała, by posądzono ją o podsłuchiwanie. Nie przypuszczała, że Camp rozbierze się i wskoczy do wody mimo przestróg Maizie. Co teraz? Czy powinna się ujawnić, czy próbować wymknąć niepostrzeżenie? Gdyby nie przeżywała tej sytuacji naprawdę, roześmiałyby się w głos. Setki razy czytała opisy takich scen w książkach.

Gdy Emily walczyła z sobą, Camp wypadł z wody i otrząsnął się jak pies. Blask księżyca oblał jego włosy i ramiona, srebrząc krople wody spływające po skórze. Emily wstrzymała oddech i nagle poczuła na sobie jego spojrzenie. Chciała coś z siebie wydusić, chciała spuścić wzrok, ale nic z tego - nie mogła przestać patrzeć.

Kąpiel ochłodziła Campa, ledwie jednak spostrzegł te rozwarte oczy, granatowe w świetle księżyca, zrobiło mu się gorąco. Przez chwilę stał odrętwiały, nie czując swędzenia ani nie mogąc zebrać myśli. Był bardziej zakłopotany niż Emily, choć nie było tego po nim widać.

- Przepraszam za striptiz - rzekł, chwytając ręcznik - ale mogłaś chociaż odchrząknąć.

Emily gwałtownie odwróciła się tyłem. Camp dostrzegł, że ona także jest mocno poruszona. Wytarł się z grubszą i niezdarnie włożył dzinsy.

- Już jestem ubrany - oznajmił, zarzucając ręcznik na szyję. - Chyba nie mogę mieć nadziei, że przyniosłaś mi lek na tę wściekłą wysypkę.

Powiedział to swobodnie, lekko, ale Emily odwróciła się bardzo powoli. Obawiała się, że na zawsze odcisnie się w jej pamięci widok tego mężczyzny wyłaniającego się z wody. Gdy wreszcie zebrała się na odwagę i stanęła twarzą do niego, w jej tkliwym sercu wezbrało współczucie.

- Ależ cię wzięło! Pomaga na to mieszanka sody z octem. Zaraz ją zrobię. - Minęła go, gasząc latarkę.

- Hej, zapal światło. Jestem na bosaka.

Zawahała się - ciemna zjawa w księżycowej poświacie.

- Gdzie masz buty? Ta sucha trawa pokaleczy ci nogi.

- Tak, mam. Emily zeszywniała.

- Najwyraźniej ktoś powinien się tobą opiekować. Jadłeś coś dzisiaj?

- Tylko to, co dobra wróżka zostawiła nad rzeką.

- Ach. - Wcale nie chciała, by dowiedział się, że to ona zostawiła jedzenie.

- Nie narzekam. I chętnie skorzystam z sody. Skąd znasz stary domowy sposób na takie oparzenia?

- Konne wycieczki z ojcem i jego kolegami. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo mi brakowało tych wypraw na łono natury.

- Dlaczego nie podtrzymałaś tego zwyczaju w swojej rodzinie?

- Mój mąż... - Urwała, wskazała wóz i położyła palec na ustach. - Postaram się znaleźć, co trzeba, nie budząc dzieci. Spotkamy się przy ognisku. Słuchaj - dodała, gdy odchodził.

- W górnym garnku została potrawka. Powinna być jeszcze ciepła.

Chciał jej podziękować, ale weszła szybko i zwinnie do wozu. Nie przestawał myśleć o niej, gdy nakładał sobie jedzenie. Ciepło bijące od żaru ogniska nasiliło uczucie swędzenia, schronił się więc na tyle wozu.

Emily rozejrzała się i w końcu go wypatrzyła.

- A, tam jesteś. - Pomachała miseczką. - Podejź bliżej światła, to cię posmaruję.

- Nie boisz się, jak inni, że wysypka na ciebie przejdzie?

- spytał, odstawiając talerz.

- Na jednej z wypraw mój brat zsiadł z konia prosto w zarośla trującego dębu. Smarowałam go pięć razy dziennie i nic mi nie było. To nie boli. Brat mówił, że pomogło.

- Nie martwiłem się o siebie. Psu bym nie życzył tego świństwa. Ale skoro się nie boisz, rób swoje.

Ledwie pokryła kawałek skóry leczniczą miksturą, miał chęć cofnąć to, co powiedział. Nie przypuszczał, że miękki dotyk jej palców wywrze na nim takie wrażenie. Emily zaczęła od pleców. Zbyt szybko zeszła do nóg. Myślał, że oszaleje.

- Sam skończę - mruknął, gdy podniosła się z klęczek i sięgnęła do jego brzucha.

- Chyba nie masz łaskotek? - spytała figlarnie, zbliżając ku niemu pobielone dłonie.

Skorzystał z podsuniętej wymówki.

- Owszem, mam. Posmaruj mi ręce, ale trzymaj się z daleka od żeber.

- Tchórz. - Cmokając ze współczuciem, nakładała ciekącą białą maź na całe jego ręce. - A twarz? Pod zarostem też masz łaskotki?

- Tak się składa, że mam. A pani, pani Benton, zbyt gustuje w torturowaniu mnie. Proszę mi to dać. - Omal nie wylał mieszanki, chwytając miseczkę.

Emily nie wypuściła jej z ręki i wylądowała u Campa na kolanach - odkrywając, dlaczego tak się od niej odsuwał. W jej oczach odbiło się zaskoczenie, potem satysfakcja, a wreszcie nieufność, gdy puściła miseczkę i stanęła o własnych siłach.

- Słuchaj, ja wcale... - Zacisnęła ręce, by powstrzymać ich drżenie, i zaczęła od nowa: - Głupio się zachowałam. Wiesz, nie

szukam stałego partnera, nie interesują mnie też miłostki. Zapiszę ci składniki tej mazi, a kiedy dojedziemy do Council Grove, kupisz sobie książkę o sztuce przetrwania na łonie natury.

Miał na końcu języka oświadczenie, że nie pragnie ani stałego, ani przelotnego związku. Emily zniknęła, nim przyznał sam przed sobą, że byłoby to kłamstwo. Najwyraźniej jego ciało wiedziało o czymś, do czego umysł nie chciał się przyznać - że od dnia, w którym Emily wkroczyła w jego życie, szuka stałego związku.

- Cholera! - syknął, patrząc w welwetową ciemność. - Ja też nie szukam przelotnych miłostek.

Emily, nawet jeżeli usłyszała, nie odpowiedziała.

Rozdział 5

Nasza ludowa tradycja upiększa i dodaje romantyzmu męskiej przygodzie, jaką był podbój Dzikiego Zachodu.

Notatka Sherry Campbell. Dokoła niej esy - floresy.

Camp siedział poza kręgiem ciepła bijącego od ogniska Emily i wyszukiwał wzrokiem konstelacje gwiazd. Zjadł potrawkę i teraz czekał, aż zagrzeje się woda.

Kiedy pozmywał i wygasił ogień, nałożył nową warstwę sodowej mazi wszędzie tam, gdzie sięgnął. Ledwie wgramolił się do wozu, dostrzegł kątem oka jakiś ruch u wylotu conestogi Emily i w sinawej poświacie księżycy zobaczył Megan. Dziwne. Wychodzi za potrzebą? Jeżeli tak, to dlaczego nie świeci sobie latarką?

Patrzył, jak rozgląda się czujnie wokół, a potem wyciąga coś spod wozu. Plecak. Co...? Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Dziewczyna zarzuciła plecak na ramiona i ruszyła zdecydowanym krokiem. Nim zniknęła mu z oczu, Camp postanowił pójść za nią. Oczekiwał, że skieruje się w stronę autostrady, oddalonej - bagatela - o siedem kilometrów. Tymczasem rozplynęła się w powietrzu. Camp wpadł w panikę. Raptem konie pod siodło zaczęły cicho rzeć i dojrzał przemykającą między nimi Megan.

- Co to za heca, chłopcze?

Omam nie podskoczył, słysząc chrapliwy szept Maizie. Obrócił się i spojrzał oszołomiony na sterczące na jej głowie siwe włosy i wysłużony kozuch zarzucony na flanelową koszulę nocną.

- Megan Benton - bąknął. - Chyba szykuje się do ucieczki. Cholera, patrz! Wzięła konia.

- Daleko na Zwałce nie ujedzie - odparła Maizie, chichocząc. - Robert chce się pozbyć tej szkapy w Santa Fe. Na co czekasz? Złapiesz Megan nad rzeką.

Oddalający się tętent zmobilizował Campa.

- Obudź Emily. Powiedz jej, że przyprowadzę Megan. Pognał przed siebie, błogosławiąc jasny księżyc i cichą noc,

która pozwala kierować się słuchem. Wreszcie zobaczył Megan. Ponagliła wierzchowca, by wszedł do wody. Camp przyłożył dłonie do ust, chcąc zawołać, ale w tym momencie koń dziewczyny zwolnił, stanął na tylnych nogach i raptem usiadł na środku rzeczki. W blasku księżycy wszystko było wyraźnie widoczne. Megan puściła grzywę Zwałki, zsunęła się z szerokiego grzbietu przez zad i chlupnęła do

wody. Prawie natychmiast wypłynęła, krztusząc się i wymachując rękami. Koń naprężył szyję i wesołym truchtem wybiegł na brzeg, nie oglądając się na skapanego jeźdźca.

Camp zdjął jeden but i ściągał właśnie drugi, gdy, potykając się w wysokiej trawie, nadbiegła Emily, a za nią Maizie, która sapała jak lokomotywa.

- Co się stało? - spytała Emily blada jak kreda. Potrząsając głową, Camp wszedł do wody, żeby wyciągnąć

Megan, która zaczęła spływać z nurtem rzeki.

- Mówiłam - zawołała ze śmiechem Maizie, łapiąc wreszcie oddech. - Ten koń ma taki narów, że siada, kiedy wejdzie do wody po kolana. Dlatego nazywa się Zwałka. Mam nadzieję, że Megan umie pływać. - Spojrzała na Emily poważnie.

Ta skinęła głową bez słowa, wciąż nic nie rozumiejąc.

Zimna woda obmywała pierś Campa, gdy niósł kaszlącą i prychającą dziewczynę do brzegu. Koń potrząsnął łbem i odbiegł tanecznym krokiem. Może sprawił to księżyc zwodniczym blaskiem, ale Camp gotów był przysiąc, że srokacz rozchyła wargi w uśmiechu. Sam nie uśmiechał się, patrząc na pełną grozy twarz Emily.

- Dlaczego? - spytała drżącym głosem, ściągając z Megan przemoczony plecak.

Córka spojrzała na nią hardo.

- Jechałam do miasta... zadzwonić do Mony. Ta wycieczka jest beznadziejna. Jest gorąco, a komary są wielkie jak helikoptery. - Kuląc się w mokrym ubraniu, Megan wybuchła płaczem.

Camp sądził, że Emily zmięknie, widząc te krokodyle łyzy. Oczami wyobraźni już widział, jak w Council Grove troje Bentonów odłącza się od wyprawy.

- Przykro mi, moja panno, że jesteś nieszczęśliwa - rzekła Emily ostro. - Ja wybrałam tę wycieczkę i ja podejmuję za was decyzje, dopóki nie dorośnecie. Wasi dziadkowie nie mają tu nic do powiedzenia. Teraz wysuszysz się i pójdziesz spać. Przeprosiny poczekają do jutra.

Emily omiotła twardym spojrzeniem Maizie i Campa, chwyciła Megan pod rękę i odeszła.

- Uhm - mruknęła z zadowoleniem Maizie. - Co tak stoisz, synu. Wytrzymaj konia i dosyp mu dodatkową porcję obroku. - To

powiedziawszy, poczłapała w swoją stronę, uchylając się przed zimnym, mokrym ogonem Zwałki.

Ma wytrzeć konia?! Przecież sam jest przemoczony. Cała ta historia wyraźnie ubawiła Maizie. Od początku wiedziała, jak to się skończy. Ale jemu nie było do śmiechu, bo kąpiel zmyła z jego skóry leczniczą maź.

Kiedy siedział znów w wozie, suchy i na nowo nasmarowany, poprawił mu się humor. To rzeczywiście było śmieszne, że Megan zwinęła akurat tego konia.

Biedna Emily. Dzieciaki dają jej do wiwatu.

Nie chciało mu się spać, więc postanowił przejrzeć zebrane przez Sherry zapiski. Wyciągnął ankietę Giny. Połowę strony zajął opis nalotu wielkich komarów w tawernie Neffa. Gina z rzadkim u niej poczuciem humoru stwierdziła, że musiała stoczyć z nimi walkę o aparat fotograficzny. Camp aż się wstrząsnął. Jak to dobrze, że się tam nie zatrzymał. Wolał sobie nie wyobrażać, co by było, gdyby komary pokąsały podrażnioną przez sumaka skórę.

Sherry narzekała na opryskliwość Brittany. Pośród niedbałych rysunków i złośliwych uwag znalazło się wyznanie, że ma już powyżej uszu monotonnej scenerii. Camp spodziewał się podobnych uwag ze strony Emily, ale ona rozwodziła się nad bogactwem kolorów i rozległymi widokami prerii. Opisała też smutek, jaki ją ogarnął na cmentarzu rodziny Neffów, ponieważ odumarło ich tyle małych dzieci. Camp wyobraził sobie łzy w niebieskich oczach Emily, gdy przelewała na papier swoje uczucia.

Przyłożył ołówek do ust. Ma słabość do Emily, ale nie powinien oceniać jej łagodniej. Dla dobra swej pracy naukowej musi pozostać obiektywny.

Zamierzenie chwalebne, lecz ani tej nocy, ani następnej nie śnił obiektywnie. Współczujący uśmiech Emily i wspomnienie jej kojącego dotyku pomogły mu przetrwać trudne dni; domowej roboty specyfik niósł ulgę piekącemu ciału w czasie długich, bezsennych nocy.

Na dzień przed planowanym przyjazdem do Council Grove Camp spostrzegł, że wszyscy poweseleli. Jemu też się udzielił radosny nastrój. Wysypka ustąpiła na tyle, że wreszcie mógł się ogolić. Tego ranka poczuł się niemal jak nowo narodzony.

Mark Benton przestał mu dokuczać i spędzał czas w towarzystwie Jareda Boone'a. Brittany i Megan, ukryte przed wścibskimi oczami, wymieniały się co wieczór książkami i magazynami dla nastolatków. Camp zwrócił uwagę, że Megan zrobiła się cicha i spokojna.

Rozmyślając o młodych ludziach, obszedł wóz, żeby wylać wodę po goleniu. Zaskoczył Marka, który z miną winowajcy szybko schował za plecami jakieś metalowe przedmioty - tak szybko, że jeden niechcący upuścił.

- Co tam masz? - spytał zdawkowo Camp. - Zbierasz denka od puszek po kawie, żeby strzelać do nich z procy?

Mark schylił się po leżący przedmiot i w tym momencie upuścił kolejne dwa. Camp spostrzegł regularne kształty - jak znaki drogowe. Z każdego sterczał rdzewiejący pręt.

Camp odstawił przybory do golenia i podszedł, by przyjrzeć się tym przedmiotom z bliska. Zobaczył na białym tle zielone wozy conestoga i napis: „Szlak Santa Fe”. Były to blaszane oznaczenia szlaku. Zerknął na chłopca, który gotów był się na niego rzucić.

Powstrzymał go spojrzeniem, jakim traktował studentów ściągających na teście.

- Towarzystwo historyczne wydało dużo pieniędzy, żeby umieścić te znaki na szlaku - rzekł. - Usuwanie ich jest poważnym wykroczeniem.

- Znalazłem je - odparł Mark, nerwowo oblizując wargi.

- Gdzie je znalazłeś? Widzę, że ziemia jest jeszcze świeża. Mark cisnął znaki do stóp Campa.

- Weź je sobie. Ten złom nie jest mi potrzebny.

- Trzeba je wetknąć tam, skąd zostały zabrane. Kiedy zacząłeś je zbierać?

Chłopiec zbladł i zrobił parę kroków w tył.

- Wczoraj. Ale co za różnica? Nikt prócz nas ich nie widzi.

- Wielu turystów tu przyjeżdża. Poza tym nie wolno kraść. Szlak jest pod ochroną władz federalnych. Za zabranie znaków grozi kara grzywny, a może gorzej.

- No to zadzwonię z miasta do Toby'ego, żeby zapłacił tę głupią grzywnę. Nie masz po co latać do mojej mamy i donosić na mnie.

- Ja nic jej nie powiem, Mark. Ty powiesz. - Camp patrzył chłodno w zbuntowane oczy chłopca.

Mark zgarbił się i kopnął kamień.

- To wina Megan - rzekł. - Chciała mieć taki znak w swoim pokoju.

- Megan też zabiera znaki?

- Nie - przyznał, pociągając nosem. - Nie mogę ich wetknąć tam, skąd wzięłem. To daleko, jestem za mały.

- Jesteś dostatecznie duży, żeby odpowiadać za swoje czyny. Masz powiedzieć mamie i Maizie, co zrobiłeś. Wtedy pomogę ci odwieźć znaki na miejsce. Ale nie będę ciebie krył.

- Kurczę! - Mark podrapał się w głowę. - Dobra, ale nie wiem, dlaczego niby miałbyś mi pomóc.

Camp uniósł brwi.

- Bo pamiętam, jak w twoim wieku wpadałem w tarapaty.

- Ale przecież jesteś nauczycielem.

- Nie od urodzenia. - Wargi Campa drgnęły, układając się do uśmiechu. Poważniejąc, dodał: - Wszyscy popełniamy błędy. Cała sztuka w tym, żeby ich nie powtarzać.

- Toby mówi, że nie powinno się przyznawać do błędu. Camp najchętniej by tego nie komentował, ale ktoś musiał to zrobić.

- Trzeba być naprawdę dorosłym, żeby przyznać się do błędu. A poza tym lżej się potem śpi.

- Wiem, o czym mówisz. Zeszłej nocy nie spałem dobrze. Bałem się, że mama zobaczy te znaki. Żałuję, że je wzięłem.

- Brawo. Jestem z ciebie dumny. Mama też będzie dumna. Słuchaj, umiesz jeździć konno?

- No chyba! - odparł, wypinając pierś. - Jeździłem mnóstwo razy.

Camp uśmiechnął się z ulgą i ruszyli na poszukiwania Emily.

- Co takiego? - wykrzyknęła, gdy zawstydzony Mark do wszystkiego się przyznał, po czym zamknęła oczy i potarła skronie. - Kochanie, co w ciebie wstąpiło? Jak odstawimy je na miejsce?

Mark wskazał palcem Campa.

- Powiedział, że pomoże.

- Jak? - spytała zmartwiona - To co najmniej pięć mil.

- Jeżeli Maizie wyrazi zgodę, osiodłamy dwa konie. Konno zajmie nam to połowę tego czasu co wozem, a nawet mniej, jeśli się pośpieszymy. Spytaam Roberta, czy Jared mógłby zastąpić mnie na koźle, aż wrócimy.

- Tak. To chyba jedyny sposób. Widząc, jak przygryza wargę, Camp dodał:

- Sam pojechałbym szybciej, tyle że nie byłaby to dla niego taka sama nauzka. Ale ty tu decydujesz.

Emily spostrzegła pełen nadziei uśmiech Marka.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Tak postąpiliby Bentonowie. Skoro nawarzył piwa, powinien je teraz wypić. Pójdę z tobą do Maizie, synku, ale najpierw podziękujesz Campowi za to, co dla ciebie robi.

Po kilku nieudanych próbach Mark wydusił z siebie podziękowanie.

- Jeżeli zaraz wyruszyście, czy wrócicie przed zmrokiem? - spytała Emily Campa.

- Maizie ci powie. Może zna jakiś skrót. W przeciwnym razie zabierzemy śpiwory i więcej jedzenia.

Nieoczekiwany uśmiech rozjaśnił twarz Emily.

- Tym razem nie natkniesz się na dobrą wrózkę - rzekła, kładąc rękę na ramieniu Marka, żeby poprowadzić go do wozu Maizie.

Camp uśmiechnął się wesoło, ale po chwili spoważniał, gdy Megan odsunęła zasłonkę i usiadła na koźle, dmuchając na świeżo pomalowane paznokcie.

- Mój brat to palant.

- Czemu tak mówisz? - Camp oparł dłoń o przód wozu. Dziewczyna uśmiechnęła się z wyższością.

- Tobie wynająłby kogoś do ustawienia znaków. Po co tłuc się konno i nabawić siniaków od siodła?

Camp wetknął palce do tylnych kieszeni spodni.

- Chyba nie słuchałaś mamy. Dla każdego chłopaka i dziewczyny nadchodzi czas, kiedy trzeba stanąć na własnych nogach i spojrzeć w lustro.

Nie rozwodząc się dłużej na ten temat, odszedł. Między wozami natknął się na powracających Emily i Marka. Emily patrzyła posepnie, Mark miał wzrok wbity w ziemię. Szedł taki skulony, że wydał się młodszy. Młodszy i delikatniejszy. Campowi ścisnęło się serce. Maizie miała ostry język, sam tego doświadczył. Czy słusznie kazał chłopcu przyznać się do winy? Dzieci nie miał, pracował z młodymi ludźmi. Wzorował się na własnym ojcu, ale może należało znaleźć inne wyjście?

Emily stanęła przed Campem, opierając lekko dłoń na karku syna.

- Maizie zmyła nam głowę. - Wygładziła palcami kołnierzyk koszuli Marka. - Postąpił źle i nie pomniejszam jego wykroczenia, ale wolałabym, żeby tych dwoje z Filadelfii nie wtrąciło swoich trzech groszy. Harv Shaw oburzył się tak, jakby chodziło o straszną zbrodnię. Powiedział, że dzieci, które kradną własność państwową, później palą flagi i... zostają zdrajcami.

Przytuliła Marka, który zaczął siakać nosem w rękaw. Camp poczuł gniew, a w chwilę potem ogarnęła go dziwna chęć zaopiekowania się matką i jej synem.

- Shaw gada od rzeczy. - Camp przykląkł i spojrzał Markowi w oczy. - Od początku wiedziałeś, że postępujesz źle, ale teraz naprawiasz swój błąd jak prawdziwy mężczyzna. - Trącił go przyjaźnie w rękę. - Patrz, Maizie prowadzi dla nas konie. Wsadź znaki do torby przy siodle i ruszamy.

Mark przysunął się do Campa, wpatrzony w konie.

- A... jeżeli ktoś nie jeździł konno tyle, ile mówił? Camp dosłyszał drzenie w głosie chłopca.

- Chcesz powiedzieć, że jeździłeś tylko parę razy? Przystępując z nogi na nogę, Mark poprawił pasek u spodni, ale nie odpowiedział.

- Mark - rzekł cicho Camp. - Ile razy?

- Siedziałem raz na koniu roboczym - rzekł z zapalem chłopiec. - Toby ma znajomego farmera. Dam radę.

Camp podniósł się i spojrzał na Emily. W jej oczach czaił się cień troski, więc odruchowo wyciągnął rękę, pragnąc ją pocieszyć. Ale jej oczy pociemniały jeszcze bardziej. Wzdrygnęła się i odsunęła od jego ręki.

- Co ty? Ja tylko... - Camp przeciągnął dłońmi po udach.

- Przepraszam. - Emily zarumieniła się lekko. Minę miała niemrawą. - Przestraszyłeś mnie. - Pociągając syna za sobą, podbiegła do Maizie, która zatrzymała się, żeby skrócić strzemiona na mniejszym z koni. - Jest łagodny? - spytała.

Camp patrzył za nią. Nie obejrzała się. Zauważył, że potarła ramiona, jakby miała gęsią skórę z zimna, choć słońce jaśniało pełnym blaskiem i robiło się ciepło. Czyżby czający się w jej oczach strach oznaczał coś więcej? Coś więcej niż to, że ją „przestraszył”? Czy ten nicpoń, jej mąż nie tylko sypiał z innymi, ale źle ją traktował?

Coś mu tu nie pasowało. Nie znosiłaby potulnie złego traktowania ze strony męża. Im dłużej ją znał, tym bardziej zagadkowa mu się wydawała - jakby miał do czynienia z dwiema kobietami.

Maizie zagwizdała, wyrywając Campa z zadumy.

- Dałam Markowi Silverbelle. Jest kochana. Kołysze jak fotel na biegunach. Chłopak sobie poradzi, a ty już wprawileś się przy tym dzikusie. .

- Taran i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi - zapewnił Camp, głaszcząc srokacza po nosie. - Prawda, mały? - Sprawdził popręg i zwrócił się do Maizie. - Czy da się obrócić w jeden dzień?

Maizie kiwnęła głową.

- W tamtą stronę nie żałujcie koni. W drodze powrotnej dajcie im luz. Wracajcie wzdłuż rzeki. Zaoszczędzicie drogi. Często pójdzie konie. Mark będzie błagał, żeby się zatrzymać. Na pewno będzie obolały. Ty już pewnie się zaprawileś. Ale jeśli chcesz, pojedzie za ciebie Robert.

Camp przyjrzał się Markowi. Z twarzy chłopca i jego matki wyczytał, że spodziewają się po nim rejterady.

- Dziękuję, nie skorzystam. Mark i ja załatwimy to do końca. Posadzisz Jareda na moim koźle?

Maizie zagłębiła rękę w kieszeni i wydobyla prymkę tytoniu. Gdy Camp się skrzywił, schowała ją z powrotem.

- Boonowie to ród z Kentucky - zaczęła się tłumaczyć. - Mój ojciec palił, a matka żuła tytoń. Tutaj żucie jest bezpieczniejsze. Najmniejsza iskra może wywołać pożar prerii, który pochłonie tysiąc akrów trawy w mgnieniu oka. W jednym z takich pożarów straciłam brata i dwóch kuzynów. - Poklepała się po kieszeni. - Skoro jednak ty ponosisz większość kosztów, więc powiem: klient ma rację. Ale do diaska, ciężko jest zerwać z nałogiem.

- Doceniam to, że się starasz. - Camp wziął od niej wodze srokacza i skinął głową, gdy pokazała suszoną wołowinę i jabłka zapakowane do toreb przy siodle. Podsadzając Marka na konia, dodał: - W college'u mamy wielu studentów ze wsi, którzy żują tytoń. Tylko w zeszłym roku dwóch zmarło na raka krtani. Śmierć w płomieniach czy na raka to taka sama strata. Nie chciałbym, żeby dzieci biorące udział w wyprawie patrzyły na zły przykład - zakończył i wsiadł na konia.

Maizie klepnęła Tarana po zadzie i stanęła z boku.

- Ruszajcie. Czy ktoś ci mówił, chłopcze, że minąłeś się z powołaniem? Powinieneś być zostać kaznodzieją.

Camp miał ręce pełne roboty, usiłując zapanować nad brykającym srokaczem.

Gdy Nolan i Mark zniknęli w oddali, Sherry przysiadła się do ogniska Emily. Maizie odeszła do swych zajęć.

- Czy mój głupi brat znów zgubił konia? - spytała Sherry, osłaniając dłonią oczy.

Emily westchnęła i niezbyt chętnie opowiedziała Sherry całą historię,

- Nolan odstawia szlachetnego rycerza? Szaleju się napił czy co?

- On nie pasuje do twojego opisu, Sherry. Wiesz, że Brittany zakradła się raz do jego wozu? Prosił mnie, żebym ją stamtąd wyprowadziła, a mógł zwać albo potraktować ją jak szmatę. Ale on został i rozmawiał z nią tak, żeby nie urazić jej uczuć. I nie pozwolił, żeby Markowi uszedł na sucho jego wybryk, jak zrobiliby Dave i Toby.

- Chcesz powiedzieć, że źle oceniłam stosunek Nolana do kobiet? - spytała Sherry, unosząc brwi. - I że to przeze mnie objamy sobie tyłki i prażymy się na słońcu?

- Sama mówiłaś, że chodzi o rywalizację między rodzeństwem. Pamiętaj, że żyłam z mężczyzną, który naprawdę nie szanował kobiet. Jak dotąd nie dostrzegłam nic takiego w Cam... w Nolandzie.

- Mówiłam o rywalizacji między mężczyznami i kobietami. Nolan jest historykiem, a historia przekazuje zniekształcony obraz kobiet i roli, jaką odegrały. Brittany jest jego studentką, więc to oczywiste, że obchodzi się z nią jak z jajkiem, choć to idiotka. A tak na marginesie, skumała się z nią Megan. Gdybym miała córkę, nie życzyłabym sobie, żeby miała taką przewodniczkę po tajnikach urody.

Emily nachyliła się nad ogniskiem i naląła dwie filiżanki earl greya.

- Szkoda, że nie masz córki, Sherry - rzekła ściszone głosem. - Mogłybyśmy podzielić się doświadczeniem. Bóg mi świadkiem, że przydałyby mi się słowa otuchy. I dobre rady. Wcale nie cieszę się z tej nowej przyjaźni, ale dowiedziałam się czegoś o Megan. Stanie na głowie, żeby zrobić to, czemu jestem przeciwna. - Emily przytrzymała filiżankę obiema dłońmi, rozkoszując się aromatem olejku bergamotowego. - Zawodowo udzielam porad, a okazuje się, że twój

brat lepiej ode mnie radzi sobie z moimi dziećmi. Chętnie wysłucham twoich wskazówek, Sherry.

Na policzki Sherry wypłynął rumieniec.

- Przepraszam cię, Em. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujesz, to tyrada przyjaciółki obarczającej cię dodatkowymi kłopotami. W dorastającej dziewczynie buzuje wojowniczość i hormony. Ja taka byłam. Ty pewnie też. - Sherry łyknęła herbaty. - Nolan jest kilka lat ode mnie starszy. Przy tej różnicy wieku musiał cierpliwie znosić burze mojego dojrzewania. Ale dlaczego wciąż o nim mówimy? Nie jesteś nim zainteresowana, bo przecież przysięgłaś sobie, że nie zwiążesz się z żadnym mężczyzną.

Po tych słowach Emily poczuła napięcie w żołądku. Czyżby głód?

- Patrz, Doris i Vi już się pakują, a ja i Megan jeszcze nie jadłyśmy. Nasza owsianka pewnie wyschła na wiór. Mark przeszkodził nam w śniadaniu, kiedy przyszedł z tą swoją historią. Zwykle sam z siebie niczego nie opowiada. Muszę wszystko z niego wyciągać, a czasem dowiaduję się od kogoś znajomego, kto nie uległ wpływowi Toby'ego i Mony. A takich jest cholernie mało.

Sherry wylała resztkę herbaty i gorąco uścisnęła przyjaciółkę.

- Gdybym mogła dysponować pieniędzmi z mojego funduszu powierniczego, pożyczylabym ci tyle, że mogłabyś uniezależnić się od teściów. A twoja rodzina, Em? Nie masz od kogo pożyczyć?

- Przeszło sto tysięcy? To kupa pieniędzy. W mojej rodzinie są sami robotnicy. Spłacają hipoteki i kredyty, jak wszyscy. Życz mi tylko, żebym znalazła dobrą pracę na zachodnim wybrzeżu. Gdybym dostała propozycję wyższych zarobków, ten sędzia na usługach Toby'ego nie mógłby przeszkodzić mi w wyjeździe. Jak myślisz?

- I tak chyba nie mógłby tego zrobić. Niestety, nie mam prawniczego doświadczenia. Jedyne, co robię, to odsyłam zgłaszające się do Klubu Kobiet studentki do Towarzystwa Pomocy Prawnej. Czy mogłabyś skontaktować się z filią towarzystwa w Columbi? Jak daleko sięgają wpływy Toby'ego?

- Na cały okręg. Angażuje się też w politykę na szczeblu lokalnym i stanowym. Pieniądze wszędzie mają moc przekonywania. Zawsze mu się udawało wyciągać Dave'a z kłopotów bez żadnych konsekwencji. Jestem prawie gotowa skoczyć na głęboką wodę. - Uśmiechnęła się niewesoło. - Będę siwą staruszką, nim spłacę długi

Dave'a. Jeżeli szybko czegoś nie zrobię, Toby i Mona wybiorą męża dla Megan i college dla Marka.

- Co? Nie uznają college'ów dla dziewcząt?

- Wiesz, że nie. Mona uważa, że gdybym nie miała dwóch fakultetów, Dave nie czułby się ode mnie gorszy i nie schodziłby na manowce.

- Co za bzdura! Jak ty z nimi wytrzymujesz, Emily? Ja bym już pewnie odsiadywała wyrok dziewięćdziesięciu dziewięciu lat ciężkich robót w więzieniu Leavenworth.

- Nie myśl, że takie rozwiązanie nie przyszło mi do głowy. Na szczęście jestem tchórzem.

- Raczej pacyfistką. Nie uważam, że jesteś tchórzliwa. Właśnie dlatego chciałam, żebyś pojechała na tę wyprawę. Mam przeczucie, sama nie wiem skąd, że któraś z nas dokona bohaterskiego wyczynu, o którym Nolan będzie musiał napisać w artykule. Wyobraź to sobie, Em, ocalimy honor współczesnych kobiet.

Emily popatrzyła na spierzchnięte ręce.

- Czy nie byłoby prościej, gdybyś ty sama napisała ten artykuł, Sherry?

- Kobiety wciąż napotykają na niewidzialną barierę. Mogłabym napisać artykuł. Ty też. Ale nie miałby takiego znaczenia jak artykuł Nolana. Jeździłaś na konferencje, na których przedstawia się prace naukowe?

- Nie. Zlituj się, Sherry, przecież w dzisiejszych czasach jest więcej kobiet naukowców niż mężczyzn. Niejedna pani profesor prezentuje swój dorobek na konferencjach.

- Pewnie, ale szacunku dla nich tyle, co kot napłakał. Kiedy kobieta szykuje się do wystąpienia, mężczyźni wychodzą na kawę albo na siusiu. Albo kradną jej pracę. Może troszkę przesadzam, ale.

- Teraz rozumiem, dlaczego ta wyprawa jest dla ciebie taka ważna. Postaram się nie sprawić ci zawodu, koleżanko. I będę starannie wypełniać ankiety. Bądź spokojna, Sherry, stanę na wysokości zadania.

- Świetnie. My kobiety musimy trzymać się razem. No właśnie, trzeba przewietrzyć pupy. Maizie jest już gotowa do drogi.

- Tak się kurzy, że zostanę trochę z tyłu za wozem nauczycielek. Trudno się tu zgubić. Ziemia jest taka płaska, że można sięgnąć wzrokiem aż do Oklahomy.

- Co najmniej do Kansas City. - Sherry wykrzywiła twarz. - Ten kurz rzeczywiście daje się we znaki. Widziałaś przydrożną reklamę pchłego targu? Czuję się, jakbym go odwiedziła, tak mnie swędzi od latającego puchu topoli. Columbia nas rozpieszcza łagodnymi wzgórzami, sosnami i klonami. Właściwie co pchało pionierów przez tę odludną, jałową ziemię?

- Nadzieja na hiszpańskie pieniądze. Przypominam ci, pieniądze rządzą światem.

- Moim rządzi praca - odparła ze śmiechem Sherry. - Jeżeli mój szef przejdzie na emeryturę... Nie, nie ma co liczyć na awans. Tak czy siak za cztery lata będę dysponować depozytem w banku i stać mnie będzie na dom.

- Mogłabyś wyjść za kogoś, kto ma dom.

- Zdziwiasz mnie, Emily! To nie powód, żeby stanąć na ślubnym kobiercu.

- Nie powiedziałam, że wyszłabyś za męża, żeby wejść w posiadanie domu. Założyłam, że kochałabyś właściciela cegieł i zaprawy.

- Postanowiłam pozostać szczęśliwą panną.

- Im ostrzej się stawiają, tym boleśniej upadają.

- Tak, tak! - Sherry pomachała Emily przez ramię. Emily uśmiechała się jeszcze długo po tym, gdy Sherry wsiadła na wóz i zajęła swoje miejsce w szeregu. Sherry była wysoka i szczupła, a cerę miała taką jak żadna ze znajomych Emily - brzoskwiniowokremową. Miała też bystry umysł i cudowne poczucie humoru. Nietrudno było wyobrazić sobie szalejących za nią mężczyzn. Ale Sherry nie spotkała jeszcze nikogo, kto by ją przyprawił o zawrót głowy. Gdyby jednak się zjawił, przepadłaby z kretesem.

Z nas dwu, myślała Emily, to raczej ja pozostanę samotna. Ale jest różnica między wdową a panną. Gdy wyobrażała sobie samotne życie po wyfrunięciu dzieci z gniazda, przeszywał ją dreszcz przerażenia. Tyle lat samotności... Czegoś jej było brak, choć nie seksu. Na długo przed śmiercią Dave'a przeniosła się z powodu jego flirtów do drugiej sypialni. W opowieściach koleżanek seks był przyjemny. Nawet zabawny. Nie mogła powiedzieć, że brakowało jej siłowych zmaganiań, które Dave nazywał kochaniem się. Brakowało jej jednak chwil, które następowały potem. Tej ciszy i spokoju, gdy Dave zasnął, a jego ciało promieniowało ciepłem w ciemnościach.

Najtrudniej było znieść w samotności zimowe wieczory. Gdy wracała z pracy do domu, było ciemno i zimno. Dla oszczędności zmniejszyła na dzień ogrzewanie.

Czuła się głupio, gdy - otulona flanelową pościelą - wyciągała wytartego misia z czasów dzieciństwa. Siedział na pustej poduszce bez życia, bez oddechu i promieniującego ciepła, a przecież ją pocieszał.

Po katastrofie samolotu, którym leciał Dave, usłyszała od Toby'ego i Mony tyle przykrych słów, że szukała pocieszenia, gdzie się dało. Umawiała się na herbatę z koleżanką, czytała ulubioną książkę, oglądała razem z dziećmi wesoły teleturniej, wyciągała misia...

Rozmyślałaby tak cały ranek, gdyby Jared Boone nie poprosił, żeby się pośpieszyła.

- Wymiń mój wóz, Jared, skoro tak ci spieszo. Mogę jechać na końcu.

- Babci by się to nie spodobało. Chce, żeby na końcu jechał mężczyzna.

- Babci? Ano tak, mówisz o Maizie. Ale czemu...? Nieważne. Przyjęłam do wiadomości. - Emily trochę się zdenerwowała, ale po chwili zaświtała jej myśl, że Jared dostał instrukcje od Roberta, a nie od Maizie. Maizie miała zupełnie inne podejście. - Chwileczkę, juniorze - powiedziała. - Wyruszę, kiedy będę gotowa.

Chłopak, niewiele starszy od Marka, westchnął ciężko.

- Tak, proszę pani. Ale nie jestem "juniozem". W rodzinie Boonów jest wystarczająco dużo "juniorów" beze mnie.

No proszę, pomyślała, nawet przewodnicy robią się drażliwi po iluś tam dniach na prerii. Postanowiła zanotować to w ankiecie. Przysięgła też sobie, że będzie miła do końca wyprawy, choćby miała pęknąć.

Dzień ciągnął się w nieskończoność i coraz trudniej było dotrzymać tę obietnicę. Mila za milą sunęli powoli obok łąnów falujących zbóż i czerwonych wiech sorgo. Dwukrotnie odcinek szlaku biegł równoległe do autostrady. Trąbili na nich kierowcy wiozący na targ siano w belach. Hałas płoszył konie. Mijające ich samochody zwalniały; ludzie otwierali okna i wykrzykiwali słowa zachęty.

Do Emily podjechał traktorzysta na krótką pogawędkę, zachwycony pomysłem odtworzenia podróży pionierów. Całe życie mieszkał przy szlaku, ale nigdy nie miał czasu przebyć tej trasy. Ostrzegł, że nad zatoką teksańską zbierają się burzowe chmury, i zaraz potem życzył, by jechała z Bogiem.

Przez ostatnie pięć kilometrów Bóg podążał ślimaczym tempem. Emily łapała się na tym, że ogląda się przez ramię, jakby lada chwila spodziewała się zobaczyć doganiających ją Marka i Campa. Zabawne, że nazywała go w myślach „Camp”, choć Sherry zawsze mówiła „Nolan”.

Pasował do niego ten przydomek, kojarzący się z kempingiem, choć dopiero uczył się obozowego życia. Ale na koniu trzymał się dobrze. Dziś rano szybciej zabiło jej serce, gdy odjeżdżał, wyprostowany i pewny siebie w siodle. Radził sobie ze srokaczem nieporównanie lepiej niż z innymi obowiązkami na szlaku. Nie wyglądał na kogoś, kto trzyma konie i sprzęta końskie boksy; Ale zdarzyło jej się przecież pomylić się - i to jak - w ocenie mężczyzny.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, pierwszy wóz skręcił prosto na ognistą kulę, kierując się ku lesistym pagórkom. Błogosławione wzgórza. Zmiana kierunku wyciągnęła z ukrycia Megan.

- Gdzie jest miasto? Mówiłaś, że zatrzymamy się w Council Grove.

- Dojedziemy tam jutro. Akurat zdążymy na zwiedzanie z przewodnikiem.

- Nie będę niczego zwiedzała. Pójdę razem z Brittany po zakupy.

- Obie powinnyście robić notatki. Nigdy nie wiadomo, kiedy przydadzą się wam przy pisaniu pracy z historii.

- Brittany mówiła, że tam będą fajne sklepy ze starociami. Rozejrzemy się za Starymi kapeluszami i ozdobami.

- Kapeluszami? Megan, nie możemy wyrzucać pieniędzy na czyjeś używane rzeczy. - Emily szarpnęła wodzami tak, że konie prawie się zatrzymały.

Megan skorzystała z tego i zeskoczyła na ziemię.

- Pojadę z Sherry i Brittany - oznajmiła. - Ty tylko na mnie krzyczysz. Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Mona dała mi numery swoich kart kredytowych.

- Megan, wracaj natychmiast! Nie wolno ci nic kupować na rachunek Mony, słyszysz? - Jej słowa odbiły się echem na zakręcie, który pokonywali.

Maizie stanęła nad strumieniem. Emily postanowiła najpierw wyprząc konie, a potem się kłócić. Nie mogła pozwolić, żeby Megan korzystała z kart płatniczych Mony. Zmierzchało, więc nie mogła martwić się tym, jak daleko sięgają macki teściowej, bo nurtowała ją inna troska. Wciąż nie było widać Marka i Campa.

Pełna niepokoju, zbierała drewno razem z Sherry.

- Co ich zatrzymało? Nie wzięli dużo jedzenia ani spiworów.

- A propos jedzenia - wtrąciła Sherry - Megan chce jeść z nami. Zgodziłam się, ale jeżeli chcesz, odeślę ją do ciebie.

- Niech zostanie. Będzie o jeden powód do kłótni mniej. - Emily opowiedziała Sherry o ostatniej konfrontacji z córką.

- Przy pierwszej sposobności porozmawiam z nią - obiecała Sherry. - Widzę, że myślisz teraz o czym innym. Może poproszę Roberta, żeby wziął konia i pojechał się rozejrzeć.

Emily pokręciła przecząco głową.

- Nasze poprzedniczki na szlaku nie postąpiłyby w ten sposób. Cierpiałyby w milczeniu. Jakoś wytrzymam, Sherry. Na pewno niepotrzebnie się martwię. Od śmierci Dave' a w katastrofie martwię się z byle powodu.

- Rozumiem. A może ty też zjesz z nami?

- Nie. Dam sobie radę. Naprawdę.

Emily poklepała Sherry po ramieniu, gdy rzuciły na ziemię ostatnie naręcza drewna i miały się rozstać. Sherry uścisnęła dłoń Emily.

- Narzekam czasem na Nolana, ale można na nim polegać. Wspominałam ci, że remontuje stary dom na farmie? Solidnie, od podstaw. Najmudniejsza praca go nie odstrasza, aż dziw bierze. Mówię o tym, żebyś wiedziała, że on łatwo nie rezygnuje. Jeżeli czegoś się podejmie, doprowadza to do końca. Mark jest przy nim bezpieczny.

- Dziękuję - odparła Emily z uśmiechem. - Nie pisnę nikomu ani słowa, że go tak chwaliłaś.

Sherry zrobiła głupią minę.

- Właściwie zgadzamy się z Nolanem prawie we wszystkim. Gorszi są jego koledzy. Lyle Roberts uważa, że kobiety do niczego się nie nadają.

- Uważaj, bo zaraz staniesz po stronie Nolana. Idź szykować kolację. Nolan i Mark na pewno zaraz będą.

Ale nie zjawili się. Ciemność zasnęła horyzont. Ze wschodu - skąd mieli nadjechać - nadlatywał tylko wiatr. Wyraźnie się ochłodziło. Emily ugotowała cały garnek fasolowej zupy, oczekując zgłodniałych wędrowców.

Megan wróciła o dziewiątej. Przemknęła się chyłkiem i wdrapała bez słowa na wóz. Emily nie miała siły kłócić się o karty kredytowe Mony. Przechadzała się i wpatrywała w czarną noc, pijąc herbatę. Od nadmiaru teiny zrobiła się jeszcze bardziej niespokojna, aż dygotała. Ogniska po kolei przygasały i w końcu zostały tylko dwa - jej i Maizie.

Minęła dziesiąta, zbliżała się jedenasta. Emily wyczuła - nim usłyszała - uderzenia kopyt o ziemię. Poderwała się i wybiegła za wóz Campa, przyciskając rękę do serca.

- Tak! - Miarowy tętent wprawiał ziemię w drżenie.

Nie chcąc okazać nadmiernego niepokoju, podeszła spokojnie do ogniska, naląła drżącymi rękami kolejną filiżankę herbaty i usiadła. Gdy tylko człapiące konie pojawiły się w zasięgu jej wzroku, zerwała się na nogi. Camp trzymał przed sobą na siodle leżącego bezwładnie Marka i prowadził jego konia.

Emily z trudem zdławiła okrzyk. Camp ściągnął wodze i niezdarnie przyłożył palec do ust.

- W porządku, Emily - szepnął uspokajająco. - Biedak zasnął, a mnie chyba ręka odpadnie. Nie obudzi się. Zaraz się jakoś zsunę i pomogę ci położyć go do łóżka.

Emily przytrzymała konia, wdzięczna za oferowaną pomoc. Od dawna Mark był dla niej za ciężki. Campowi zdretniała i ręka, i noga, na której leżał śpiący chłopiec, więc zsiadał z konia jak kaleka.

- Może trzeba go obudzić? - zaproponowała cicho. - Może jest głodny?

- O piątej spotkaliśmy rodzinę na pikniku nad rzeką. Poczęstowali nas kanapkami, owocami i ciastkami. Wypytywali o wyprawę. Mark pałaszował z zapalem i z nie mniejszym zapalem odgrywał znawcę szlaku Santa Fe.

- Bentonowie świetnie odgrywają ekspertów od wszystkiego. Mają to w genach.

Camp roześmiał się, dźwigając Marka do wozu Emily.

- Widzę, że Maizie jeszcze nie śpi. Zamelduję się u niej i zajmę kołmi. A potem chętnie spałaszuję michę tego, co tak pysznie pachnie.

- To zupa. Mam nadzieję, że nadal jadalna. Dlaczego to trwało tak długo?

- Musisz o tym porozmawiać z Markiem. Niestety, wszedł na drogę przestępstwa kilka mil wcześniej, niż się przyznał.

- Ach! - Emily zabrakło słów. - Tak mi przykro.

Jej zmartwiona twarz, jaśniejąca w świetle księżyca, poruszyła Campa. Delikatnie ujął Emily za ramiona.

- Mark to dobry dzieciak, choć łatwo ulega wpływom. Może nie mam prawa tego mówić... ale po tym, co dziś od niego usłyszałem, uważam, że najrozsądniej byłoby nie pozwolić dzieciom mieszkać z dziadkami.

Emily ze ściśniętym gardłem odsunęła się od niego.

- Lepiej zajmij się kołmi. Zajrzę do zupy.

Camp, niewiele myśląc, znów chwycił ją za ramiona. Nie mógł znieść zatroskania, które gasiło ogniki w jej oczach. Instynkt kazał mu scałować ten smutek. Delikatnie ujął miękką twarz w dłonie, nachylił się i przyciągnął jej usta do swoich. Chęć pocieszenia, od której się zaczęło, zapłonęła gorętszym płomieniem. Emily wygięła się do tyłu, odpychając Campa. Puścił ją z zakłopotaną miną.

Dyszając, zagryzła wargi. Od lat żaden mężczyzna nie pocałował jej tak tkliwie, a zarazem namiętnie. Żądza ścisnęła jej brzuch, zniewalając do tego, by zatracić się w odurzającej grze wstępnej. Ale gra wstępna z Dave'em prowadziła do zbliżenia, które nie dawało zadowolenia ani nie rozwiązywało żadnych problemów.

- Idę spać - oznajmiła stanowczo. - Chcę, żebyś wiedział, że nie jestem spragnioną seksu wdową. Wdzięczność za to, co zrobiłeś dla Marka, nie obejmuje takiego rewanzu. Bentonowie nauczyli mnie, że za przysługi zawsze trzeba zapłacić. Poczęstuj się zupą i kawą. Dług uważam za spłacony.

Tak szybko wskoczyła do wozu i zaciągnęła zasłonkę, że ledwie zdążył złapać oddech. Wbił spojrzenie w cienkie płótno, które mógłby odgarnąć jednym ruchem. Leciał z nóg ze zmęczenia, ale korciło go,

żeby właśnie tak zrobić i nie pozostawić jej cienia wątpliwości co do swoich zamiarów. Ogień płonący w żyłach zgasł, gdy usłyszał, że któreś z dzieci poruszyło się i Emily powiedziała coś cicho i kojąco.

Na dobitkę sam był - nie mniej niż ona - zdumiony swą taktyką jaskiniowca. Jedno wiedział na pewno: jest zupełnie niepodobny do jej męża. I teścia. Jutro powie coś do słuchu pani Sekutnicy, a kiedy skończy, ona już nie będzie wrzucać go do jednego worka z panami B.

Rozdział 6

W pisanej historii amerykańskiego Zachodu dominowało zawężone widzenie. Mężczyźni byli dzielni i odważni, kobiety zaś bierne i uległe.

Z notatek Nolana Campbella.

Emily nie mogła się odprężyć. Opatuliła się kocami, a potem odrzuciła je i starała się skupić na równych oddechach dzieci. Nie jest spragnioną seksu wdową, jak powiedziała Campowi. ale zachowuje się, jakby nią była. Ilekroć zamknęła oczy, wyobrażała sobie proste, czarne brwi i kędzierzawe, ciemne włosy. Jej palce tęskniły, by ich dotknąć, pogłodzić posrebrzone skronie. Dłonie Nolana, wprawdzie wypiełgnowane, nie były gładkie w dotyku. Czyżby szorstkie dłonie i mocne mięśnie, jakie wyczuła na jego piersi i udach, były skutkiem stolarskich prac, o których wspomniała Sherry?

Nie było jej łatwo przyznać się przed sobą, że sprawił jej przyjemność jego dotyk. Kiedyś, na samym początku, pociągał ją atletycznie zbudowany Dave. Niestety, zaczął nadmiernie dogadzać podniebieniu i nadużywać alkoholu. Na długo zanim przestali razem sypiać, dorobił się sporego brzuszka. Nieraz próbowała zmienić jego złe nawyki żywieniowe, ale wtedy skarżył się na nią rodzicom. Oglądając się wstecz, Emily pomyślała, że to także, choć w niewielkim stopniu, przyczyniło się do zaniku wzajemnego szacunku.

Nolan Campbell nie wyglądał na człowieka, który przesadnie sobie dogadza, ale może taki jest... Emily przesunęła lekko językiem po wargach. Pocałował ją gorąco. Dawno się nie całowała, więc nie była pewna swoich odczuć, ale zdawało jej się, że lada chwila może wybuchnąć płomień... Przekreśliła się na brzuch i zaczęła walić w poduszkę.

- Mama? - rozległ się w ciemnościach zaniepokojony głos Marka. - Co się stało?

- Nic, nic, kochanie - skłamała. - Jesteś głodny? Spałeś, kiedy Camp cię przywiózł.

- Nie jestem głodny - wymamrotał, kopiąc koce.

- Chcesz włożyć piżamę?

- Nie. Camp mówił, że prawdziwi pionierzy spali w ubraniu. On się na tym zna. - Ziewnął. - On rządzi, mamó.

Ciszę przerwał zaspany głosik Megan:

- „Rządzi” to znaczy jest szefem albo jest fajny - wyjaśniła burkliwie. - Czyli dobry, jak mówią mamy.

- Rozumiem - bąknęła Emily. - Chyba rozumiem.

- Jejku, mamó. To heavymetalowy żargon. No wiesz, „metal rządzi”. Myślałam, że znasz to, skoro pracujesz w college’u - powiedziała Megan z wyrzutem, podpierając się na łokciu.

- W college’u, kiedy ktoś ma na myśli „dobry”, mówi „dobry” - odparła oschle Emily.

Niekoniecznie tak zawsze było. Nauczyciel miał do czynienia z tyloma kulturami i subkulturami, że nieraz trudno się było porozumieć. Najciekawsze jednak w tej nocnej rozmowie z dziećmi było to, że Mark już nie mówił o Campie „szajbus”, tylko uznał go za równego faceta. Dzieci - a Mark w szczególności - nie zmieniają tak łatwo frontu.

Megan trochę pofukała, a potem obróciła się na bok. Wkrótce oddech jej się wyrównał. Mark znów zaczął cicho pochrapywać. Emily ochłonęła i uznała, że może zbyt pochopnie przyłożyła do Campa tę samą miarę, którą mierzyła Dave’a i jego ojca.

Usiadła i sięgnęła po dzinsy. Wkładając je, stłumiła ziewnięcie. O dziwo dzięki rozmowie z dziećmi ujrzała wszystko we właściwych proporcjach. Winna jest Campowi przeprosiny za to, że zachowała się jak urażona dziewczica.

Camp nie był w nastroju do pogawędki, Maizie przeciwnie. Starał się uciąć rozmowę, zapewniając, że nie chce ani nie potrzebuje pomocy przy koniach.

- Oho, dwie pary rąk sprawią się szybciej niż jedna. Widzę, że jesteś zmarnowany. Muszę przyznać, synu, że zrobiłeś dziś dobry uczynek. Wyciągnęłam od Jareda, że wiedział o podkradaniu znaków przez Marka. Nie puścił pary z ust, bo ustalili jakieś dziwne zasady.

- Jak możesz krytykować lojalność? Mark nie powtórzy już takiego numeru. Cieszę się, że w porę to odkryłem.

Maizie ostatni raz przeciągnęła zgrzeblęm i podsypała owsa koniowi, na którym jechał Mark.

- Dzieciak ma szczęście. Gdybym to ja go przyłapała, obdarłabym ze skóry. Matka powinna go lepiej przypilnować, nim będzie za późno.

- Nie czepiaj się Emily. Robi, co może.

- Uhm. - Maizie sięgnęła do kieszeni po tytoń, ale zatrzymała rękę i potrząsnęła przekrzywioną głową. - Więc ją też starasz się poprawić?

- Nic podobnego - odparł podejrzenie szybko. - Z początku myślałem tak jak ty, ale teraz wiem, że to teściowie rozpuszczają dzieci jak dziadowski bicz. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o Bentonach, musisz porozmawiać z Emily.

- Dobrze. Głodny? Znalazłoby się trochę stawy.

- Dziękuję, Emily zostawiła ciepłą zupę. Skorzystam z jej zaproszenia. Obiecałem też wygasić ognisko. Poszła już spać razem z dziećmi. Mark był tak wyczerpany, że przez ostatnie kilka mil spał na koniu. - Camp rozmasował rękę, którą przytrzymał chłopca, i spojrzał na szereg ciemnych wozów. - Coś dzisiaj wszyscy wcześniej się położyli. Co mamy jutro? Trzy godziny jazdy do Council Grove?

- Tak. Ruszamy punkt szósta, żeby się nie spóźnić na święto w mieście. Będzie parada, zwiedzanie i inne bajery. Pewnie wszyscy stęsknili się za miastowymi atrakcjami. Oprócz pani Ames. - Maizie skrzywiła się.

- Dlaczego? Gina na pewno zechce fotografować te, jak mówisz, bajery.

- Niby tak, ale zła jest, jakby ją osa ugryzła. Szykowała się, że sfilmuje poletko słoneczników. Przyjechaliliśmy za późno, więc się wścieka. Pytała, czy możemy wyruszyć później. Tłumaczyłam, że jeśli pójde na rękę jednej osobie, zaraz wszyscy będą domagali się ustępstw.

- Gina jest profesjonalistką. Do rana złość jej przejdzie.

- Tak myślę. No, synu, zabieram swoje stare kości do łóżka. A ty wrzuć coś na ruszt i lulu.

- Tak jest. Ale najpierw zrobię notatki. Widzę, że ktoś pozbierał ankiety. Komu mam jutro podziękować?

- Swojej siostrze. Lubię ją. Taka wesola, choć musi znosić towarzystwo tej głupiej gąski.

- Ach, tak, Brittany. - Camp rozmasował sobie kark. - Powinienem mieć wyrzuty sumienia, ale liczę na to, że moja zrównoważona siostra straci cierpliwość.

- He, prędzej włosy z głowy powyrywa. Czas pokaże. Dobranoc, chłopcze. Gadu - gadu, a tam jedzenie stygnie.

Camp poklepał oba konie i ruszył prosto w kierunku jedyne go świetlistego punktu - płonącego wciąż ogniska Emily. Wszedł do pustego obozowiska i kucnął, by zamieszać żupę. Wiatr poruszał kępami wysokiej trawy, czasami zarżał koń. Nagle w tej ciszy dopadła go samotność. Zawahał się, czy zjeść, czy zrezygnować z samotnego posiłku i położyć się spać.

Gdy tak szukał odpowiedzi na to pytanie, zjeżyły mu się włosy na karku. Wyczuwając czyjaś obecność, wyprostował się i odwrócił, chlapiąc gorącą zupą na dzinsy.

- Kto tam? - A jeżeli to Brittany? - pomyślał ze strachem. To każ jej wracać do siebie i tyle!

Od czarnego zarysu wozu oderwała się sylwetka Emily. Nie chciała go tak podejść, ale gdy zobaczyła barczyste plecy pochylone nad rusztem, serce zabiło jej szybciej, a nogi odmówiły posłuszeństwa. Czując mętlik w głowie, przez chwilę myślała o tym, by wrócić do łóżka i odłożyć do następnego dnia to, co miała do powiedzenia. Kiedy się jednak pokazała, nie było odwrotu.

- To tylko ja - rzekła drżącym głosem.

- Emily? - Camp wstał. Zupa kapiała mu z łyżki na but. - Mark obudził się z głodu? - Uprzytomnił sobie, że trzyma w ręku łyżkę i włożył ją do zupy. - Ma szczęście. Zajmowałem się końmi i jeszcze nie wszystko zjadłem.

Emily wzruszyła ramionami, patrząc na garnek, jakby bulgotał w nim napój uwarzony przez czarownice, a nie zwykła fasolowa zupa.

- Mark śpi jak zabity. Megan też. A ja przyszedłam cię przeprosić.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Za żupę? - Posłał jej zdziwiony uśmiech. - Jeżeli się wygotowała, to nie twoja wina. To myśmy się spóźnili. Zresztą nie jestem wybredny.

Westchnęła i złożyła przed sobą ręce, spojrzała niespokojnie w górę, a potem wbiła wzrok w ziemię koło stóp Campa.

- Przepraszam za ten... wybuch. - Ostatnie słowo wypowiedziała niemal szeptem. - Nie znam cię dobrze, ale widzę, że w przeciwieństwie do Toby'ego jesteś człowiekiem prawym. Dave taki nie był. Wybacz, nie powinnam źle mówić o zmarłym.

Przesadnie uprzejmy ton jej głosu sprawił mu przykrość.

- Nie myśl o tym. Zachowałem się niewłaściwie. - Podniósł wzrok na ciemne niebo. - Nie mogę nawet zwalić winy na pełnię księżycy - zażartował.

Emily nie potrafiła się roześmiać. Powiedziała swoje i uznała, że pora odejść.

- Powinam...

Camp domyślił się, że chce czmychnąć.

- Zimno ci, usiądź przy ogniu - zachęcił szybko. - Twoja obecność jest zbawienna. Nie znoszę jadać sam.

Zaczepił stopą o płócienny stołek koło ogniska i z uśmiechem podsunął go Emily. Uspokoila się, ale nie kwapiła się, by usiąść.

- Słowo skauta. Niezdrowo jest jadać samemu.

- Nie wierzę, że byłeś skautem - prychnęła. - I nie słyszałam, żeby czyjeś towarzystwo sprzyjało trawieniu.

- Mojemu sprzyja - zapewnił, łapiąc drugi stołek i przysuwając go do ognia. Usiadł i napełnił talerz zupą. Niosąc łyżkę do ust, zrobił smutną minę.

Emily westchnęła z rezygnacją.

- Przestań. Mam słabość do maślanych oczu. Chcesz sucharka do zupy?

Weszła w obręb światła, nachyliła się i wyjęła z metalowego pojemnika paczkę sucharków. Camp skrył uśmiech. Każda droga prowadząca do zwycięstwa jest dobra.

- Nigdy nie odmawiam, gdy ktoś mnie częstuje. A zupa jest akurat. Gęsta, taka jaką lubię.

Wziął garść sucharków i umilkł, gdy zetknęły się palce jego i jej. Wokół Emily unosił się drażniący, kokosowo - migdałowy aromat, który obudził w nim hormony. Odsunął się, przecież czuć go było koźmi i potem.

Czując, jak niepokój ściska jej serce, Emily ostentacyjnie zawinęła opakowanie sucharków i odłożyła do pojemnika.

Camp walczył z pragnieniem, by ucałować pulsujące miejsce na szyi Emily, ale tylko wbił zęby w sucharek. Kiedy go zjadł, znów zaczął wiosłować łyżką w zupie. W ciszy, która nagle zapadła, bał się, że wydaje odgłosy jak spragniony wielbłąd u wodopoju. Gdyby jednak przestał jeść... Siłąc się na swobodę, wyciągnął nogi w stronę ogniska.

- Jutro dojeżdżamy do Council Grove - rzekł bez sensu.

Niech to szlag, nigdy tak bezsensownie się nie odzywał. Zwykle nie brakowało mu słów.

- Jutro. Tak. - Emily odstawiła pojemnik, wyprostowała się i skrzyżowała nogi w kostkach jak skromna panienka. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, i w końcu położyła je przed sobą na kolanach. Co się z nią dzieje? Ceniono ją przecież za dowcip i rozmowność. Nie była pewna, co stało się w chwili, gdy ich palce złączyły się w dotyku. Nie. Problem w tym...

Nachmurzony Camp dołał sobie zupy, prawie nie pamiętając jej smaku. Lepiej żeby Emily przestała pocierać kostkami nóg. Poprawił się na stołku i lekko ochrypłym głosem spytał:

- Czy dzieci cieszą się, że pójda na wycieczkę po mieście i do „Sklepu Ostatniej Szansy”?

- Nie.

Odczekał chwilę odmierzaną biciem serca, a gdy nie doczekał się dłuższej odpowiedzi, odstawił talerz i potarł gwałtownie czoło, żeby przepędzić podsuwane przez wyobraźnię prowokacyjne obrazy.

- Emily, pomóż mi. Gdyby nasi studenci odpowiadali monosylabami, łajalibyśmy ich ile wlezie.

Absurdalność sytuacji - dwoje profesorów dukających jak nieśmiałe dziesięciolatki - sprawiła, że ze ściśniętego gardła Emily wydostało się rozbawione parsknięcie. Pochyliła się do Campa, wsuwając dłonie między kolana.

- Zasłużyłam na pałę. Na wytłumaczenie mam tylko to, że dawno nie występowałam w roli kobiety wolnej. Wydawało mi się, że przypadkowe dotknięcie i zwykły pocałunek są wstępem do pójścia do łóżka. Dave działał w ten właśnie sposób. Ty pewnie jesteś inny.

Camp poczuł skurcz serca. Blask ognia oświetlił piegi na policzkach Emily - ślad kilku dni na słońcu. Cóż mógł powiedzieć? Ogarnęło go poczucie winy, gdy trafiła tak celnie w mroczne zakamarki jego umysłu. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Wobec Emily zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Wszystko, co powiedziała, pokrywało się z prawdą; takie działanie nie było w jego stylu. Ale też na żadną kobietę nie reagował tak jak na Emily. Za nic nie chciał jej odstraszyć, zanim nie wyjaśni sobie, czym naelektryzowane jest powietrze, gdy znajdują się niedaleko siebie. W tej chwili Emily sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę uciec. Znowu. Camp nie chciał niczego popsuć.

- W naszym wieku, Emily, każdy dźwiga swój bagaż doświadczeń. Może powinniśmy zostawić w spokoju przeszłość, nie dręczyć się wspomnieniami?

Wiedział, że miała drania za męża i stąd jej nieufność wobec mężczyzn. Co z tego? Według Greta mężczyzna przesiadujący w muzeach jest zerem jako towarzysz życia. Więc może lepiej zbytnio się nie angażować?

- Czy coś stoi na przeszkodzie temu, żebyśmy zostali przyjaciółmi? - spytał.

- Przyjaciółmi... - Obróciła to słowo na języku i w umyśle, przypominając sobie, co czuła, gdy ją całował. Z bijącym sercem rzuciła mu powątpiewające spojrzenie. - Zdefiniuj to słowo.

- Spróbuję, choć krzyżówki i rebusy idą mi fatalnie. Przyjaciel to ktoś, kto podaje pomocną dłoń, śmieje się razem z nami, czasem z nami jada. Dobrze też, jeśli dzieli z nami jakieś hobby.

Emily kiwnęła głową. To nie brzmi groźnie.

- W pewnym sensie... - zaczęła i zawahała się - mamy wspólne hobby. Podobno odnawiasz stary dom na farmie. Ja lubię w wolnych chwilach odnawiać meble.

- Widzisz, wiedziałem, że jesteśmy pokrewni duchem. Specjalizujesz się w jakimś stylu historycznym?

- Przepadam za wiejskimi meblami z klonu cukrowego. Dobieram różne, koniecznie z prawdziwego drewna, byle nie fornir. Powiedziałabym, że gust mam eklektyczny.

Napięcie opuściło Campa.

- Wykańczałaś kiedyś szafki kuchenne? Jestem na tym etapie. Sherry mówi, że powinienem wybebeszyć kuchnię. Chcę ją unowocześnić, zachowując murowany kominek A stara lodówka nada się na schowek do czasu, gdy Gret... ktoś powie, że nie można na nią patrzeć.

- Nikt tak nie powie po jej odnowieniu. Czy twoja przyjaciółka wie, że ludzie zabijają się za prawdziwymi starymi lodówkami? Bardzo bym chciała obejrzeć ten dom - rzekła cicho. - Mogłabym udzielić ci paru rad.

- Spojrzałybyś i wzięłybyś nogi za pas. Nawet moi rodzice nazywają ten dom białym słoniem Nolana. Są przekonani, że będę jedną nogą w grobie, nim wejdą tam pierwsi goście. Od ośmiu lat poświęcam mu wolny czas. Skończyłem cztery sypialnie i dwie

łazienki. Ogołociłem ściany i podłogi w jadalni i bawialni. Urządziłem tylko jedną sypialnię i pokój, który służy za gabinet. W kuchni mam zamrażarkę, kuchenkę mikrofalową, stół i dwa krzesła, których pozbyli się rodzice.

- Ale ile będzie satysfakcji, gdy skończysz remont! Ja kochałam swój dom. Nie wymagał aż tak dużego nakładu pracy jak twój, ale zmieniałam wystrój wszystkich pokoi;

- Powiedziałaś „kochałam”, jakby to już minęło. Emily posmutniała.

- Musiałam go sprzedać po śmierci Dave'a. Przeprowadziłam się z dziećmi do małego domku dwurodzinnego. Na szczęście ludzie, którzy kupili dom, chcieli zachować większość mebli, bo inaczej płaciłabym im co miesiąc za ich przechowywanie.

Poznał po jej spojrzeniu, że o „szczęściu” nie ma co mówić. Rozstanie się z domem było dla Emily ciosem.

- Kiedy wrócimy do cywilizowanego świata, narysuję ci plan, jak do mnie dojechać. Zaprosiłem już Marka. Jeżeli masz ochotę dorobić na boku poradnictwem, chętnie cię zatrudnię.

- Och, nie mogę przyjąć pieniędzy, nie.

- No to po prostu wpadnij i wyraż swoją opinię.

- Z przyjemnością. Chciałabym, żeby Mark częściej jeździł konno. Czy przypadkiem nie trzymasz koni?

- Nie, ale za domem płynie strumień pełen ryb. Jared ma zdaje się wprowadzić Marka w tajniki wędkowania. Mam psiaka, który uwielbia dzieci, dziesięcioletniego złotego labradora z obwisłym uchem. Nie rozumie, dlaczego nie mam czasu chodzić z nim na ryby.

- Mark kiedyś zamęczał mnie o szczeniaka. - Emily zacisnęła usta. - Obawiałam się... Jego ojciec nie lubił zwierząt, a teraz jest za ciasno - rzekła z żalem.

Camp musiał zapanować nad gniewem, który go ogarnął. Przecież nie można kłócić się ze zmarłym. Nie chciał też oskarżać Emily o to, że żyła z takim draniem. Mówiła, że groził jej, że zabierze dzieci. Campowi nie mieściło się w głowie, jak to było możliwe. Zdawałoby się, że Emily, przygotowana do pomocy potrzebującym kobietom, mogła wykorzystać swe umiejętności, by wyrwać się z takiego związku. Cóż, znowu stronniczo ją oceniał.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie żartuję. Jest za ciasno, żeby trzymać żółwia, a co dopiero psa.

- Wierzę ci na słowo. - Wstał. Najchętniej odsunąłby od siebie te wątpliwości, ale wciąż powracały, a za krótko się znali, by mógł spytać ją wprost. Udał, że ziewa. - Pozmywam, zanim ogień zgaśnie i zostanę z zimną wodą. Idź spać, Emily. Maizie chce, żebyśmy ruszyli o szóstej.

- Rozbudziłam się. Ty idź się położyć, a ja pozmywam.

- Moja matka nie uwierzyłaby, że nie chcę pozwolić, żeby ktoś wyręczył mnie w zmywaniu. Widzisz, wypaczyłaś moją psychikę. Zgodnie z zasadą obowiązującą w moim domu: nakarmiłaś mnie, więc zmykaj, ja posprzątam.

- Czy zgodzisz się powtórzyć tę rozmowę w obecności Marka? Jego ojciec i dziadek bardzo stanowczo rozgraniczali prace męskie i kobiece. A zresztą lepiej nie, bo dzieci zaraz powiedzą, że Toby i Mona mają kucharkę i służącą. - Poderwała się na nogi, naląła wody do miski i postawiła ją na ruszcie. - Dla mnie prowadzenie domu to wspólny wysiłek. Ponieważ tak uważam, posprzątam razem i oboje szybciej pójdziemy spać.

Wyobraził sobie nagle, że oboje odprężają się po ciężkim dniu, biorą się za ręce i idą razem do łóżka. Obraz ten był tak wyrazisty, że przestał składać stołki i zapatrzył się w delikatną linię jej pleców. Jakby wyczuwając jego spojrzenie, odwróciła się od garnka, który szorowała.

- Camp?

- Dobrze. - Przesunął ręką po oczach. - Jestem za wspólną pracą. Nie gadajmy, tylko szast - prast i po robocie.

Więcej nie rozmawiali i Emily zastanawiała się, co sprawiło, że Camp stracił humor. I to akurat wtedy, kiedy trochę się przed nim odsłoniła. Miała powyżej uszu humorzastych mężczyzn. Nie musiał się martwić o to, że będzie mu się narzucała ze swym towarzystwem.

- Sama trafię do wozu - powiedziała

Jak przystało na dżentelmena, Camp odprowadził ją, nie odstępując na krok i oświetlając latarką przejście między wozami. Nie odpowiedziała na jego mrukliwe „dobranoc”.

Ledwie weszła do wozu i spuściła zasłonkę, pomyślała, że zachowała się grubiańsko, udając, że nie słyszy pożegnania. Przecież cały dzień pomagał Markowi. I mówił, że jest zmęczony. Kolejny raz dała znać o sobie jej przeszłość. Nie mogła znieść, że znów zachowuje się na przemian biernie i agresywnie, czego nauczyła się, aby

przetrwać w nieudanym małżeństwie. Niech to licho, dalej jest winna Nolanowi przeprosiny. Wyszła do niego, żeby poprawić atmosferę, a wróciła do punktu wyjścia. Rozwiązała troczki przy zasłonce, którą przed chwilą zesnurowała, i odrzuciła płótno. Spodziewała się zobaczyć Campa, ale już go nie było.

Rozważała, czy iść do jego wozu, gdy zapłonęła w środku lampa. Na białym tle wyraźnie odcinała się podświetlona sylwetka mężczyzny, który zdejmował koszulę. Na litość boską, co ja robię? - pomyślała. Wciągnęła w płuca chłodne powietrze nocy i drżącymi palcami zasunęła płótno. Na czworakach dotarła do łóżka i w ubraniu wsunęła się pod koce. Długo leżała bez ruchu, walcząc z obrazami, które podsuwała jej nieznośnie wyostrzona wyobraźnia.

Obudził go brzęk dzwonka Maizie. Jęknął. Ależ ta kobieta lubiła wyrwać ze snu śpiochów, obijając żelaznym prętem boki tego cholernego trójkąta.

Usiadł powoli i usłyszał łomot spadających na podłogę książek. Zapalił latarkę i zorientował się, że sen zmorzył go wtedy, gdy porównywał zebrane notatki z tekstami podręcznikowymi.

Z książek wynika, że ludzie tacy jak Crockett i Boone omijali miasta z daleka, żyjąc z tego, co dawała ziemia. A jego grupa nie może się doczekać obiecanego postoju w mieście.

Ani jedna uczestniczka wyprawy nie wspomniała o tym, że zebrany tu zapas drewna musi wystarczyć na długo, bo inaczej będą musiały - jak niegdyś pionierki - zbierać krowie placki na opał. Sherry napisała, że nie może się doczekać, kiedy wreszcie wejdzie do księgarni i drogerii. Gina chciała wywołać film. Brittany na dwóch stronach przedstawiała plany swoje i Megan: wypad na rodeo, jedzenie na mieście i zakupy. Tylko Emily wspomniała o odwiedzeniu historycznych miejsc. Wymieniła takie, o których Camp nawet nie słyszał.

W chwili słabości wyobraził sobie, że ogląda zabytki oczami Emily. Takimi pięknymi oczami. Tętno mu przyspieszyło, więc zebrał papiery i dołożył je do pozostałych, a potem ubrał się i wyszedł do lasu. Kąpiel w zimnym strumieniu skutecznie go ostudziła. Gdy wrócił, wszyscy już byli na nogach.

Mark i Megan opychali się naleśnikami. Emily nie było widać w pobliżu. Mark podniósł wzrok i uśmiechnął się do Campa lepką buzią.

- Cześć. Tata Jareda mówi, że jak nazbieramy obaj dużo drewna, to pożycz mi wędkę do końca wyprawy.

- Zamiast nas ciągnąć na tę idiotyczną wyprawę, mama powinna zostać w domu, a ciebie wysłać do letniej szkoły.

- Ciebie też. Ja nie dostawałem dwójek. Megan opuściła powieki.

- Mona mówi, że nauczyciele nie powinni mi tyle zadawać. Uważa, że nie przejmują się śmiercią taty.

- Po roku? - prychnął Mark. - Zresztą, co za różnica? Taty i tak nigdy nie było w domu.

- Różnica jest duża. Mona i Toby dbali o to, żebyśmy mieszkali w ładnym domu. Poczekaj, aż będziesz w moim wieku i będziesz musiał tłumaczyć się kolegom, dlaczego przeprowadziłeś się do obscurnego bliźniaka.

Camp przysłuchiwał się sprzeczce, rozpalając ogień i czekając, aż zaparzy się kawa. Dla Emily życie musiało być piekłem. I nadal jest, pomyślał, krając ziemniaki, by usmażyć je z grzybami z puszk. Jej teściowie przypominali mu postacie z powieści Stephena Kinga. Camp miał ochotę wpaść do miasta i wygarnąć im, żeby się odczepili od Emily. Gdy powziął ten zamiar, przypomniał sobie, jak się wieczorem rozstali. Zamieszał w garnku, pełen żalu nad takim obrotem spraw.

- Nolan, martwię się o Ginę - usłyszał głos Sherry. - Wyszła o świcie fotografować słoneczniki. Powiedziała, że wróci za pół godziny. Niedługo ruszamy, a jej ciągle nie ma.

Camp popił kawą pierwszy kęs.

- Gina jest dorosła. Pewnie zrezygnowała ze śniadania na rzecz obfitego lunchu w Council Grove.

Sherry ogarnęła niespokojnym spojrzeniem stoki wzgórz, gdzie w porywach wiatru falował ocean niebieskawej trawy.

- Wydaje ci się, jak widzę, że coś jej się stało. Może po prostu straciła poczucie czasu?

- To do niej niepodobne. Żyje zawsze według planu. Zwykli ludzie tylko kupują terminarze, Gina ich używa.

- Skąd wiesz? Przecież znacie się dopiero dwa tygodnie. Przechodząca obok Emily upuściła kilka gałązek z naręcza drewna, którym była obładowana. Przypadkiem usłyszała nieprzemyślaną wypowiedź Sherry. Zakłopotana Sherry posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Doprawdy, Camp - rzekła zaczepnie Emily, podchodząc do Sherry. - Nie trzeba być specjalnie spostrzegawczym, żeby zauważyć, że Gina żyje według zegarka.

Przeniósł wzrok na uśmiechniętą Emily. Jak to się dzieje, że jednym uśmiechem przyprawia go o zawrót głowy?

- Też uważasz, że Gina powinna już wrócić?

- Tak.

- W takim razie pochowam rzeczy i poproszę Roberta, żeby pomógł mi się rozejrzeć. - Zakładał, że jego propozycja zostanie przyjęta przychylnie, Sherry jednak obrzuciła brata i Emily podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie do wiary, ledwie Emily o coś poprosi, zamieniasz się w rycerza. Co z wami?

Emily zarumieniła się. Camp wyczuł, do czego zmierza Sherry, więc szybko odparował:

- Podziałało na mnie wasze zatroskanie. Wątpię, czy jest powód do niepokoju, ale uwierzę wam na słowo.

- Ach tak. To wszystko przez Brittany. Klnie się, że zaczęliście romansować. - Sherry zabrała talerz bratu i pchnęła go w stronę wozu Roberta, nie dostrzegając, jak popatrzyli na siebie Camp i Emily.

- A może my byśmy jej poszukały? - zaproponowała Emily. - Znajdziemy Ginę tak samo jak wy.

- Robert już tędy jeździł - odparł Camp. - Zna okolicę. W najgorszym przypadku Gina natknęła się na grzechotnika, a Robert najlepiej sobie z takim poradzi.

Oczy Emily zamigotały ze złością, a kiedy zauważyła, że Sherry z zainteresowaniem przysłuchuje się ich spięciu, dodała przez zaciśnięte zęby:

- Z pewnością najlepszy jest Robert.

Camp już - już miał się odciąć, lecz się rozmyślił, nasunął na oczy daszek czapki i ruszył na poszukiwanie Roberta. Ten potwierdził jego przypuszczenie, że Gina zbytnio się oddaliła albo zapamiętała się w pracy. Robert wyciągnął monetę.

- Los rozstrzygnie, kto powie o tym Maizie. Strasznie jej pilno, żeby wyruszyć. Nie ucieszy jej ta nowina.

- Lepiej ty wysłuchaj jej gderania, stary - rzekł Camp, klepiąc przyjaźnie Roberta po plecach. - Sherry mówiła, że Gina poszła tędy. - Wskazał słabo widoczną ścieżkę pnącą się w górę. - Widzisz tamto

rozwidlenie? Ja pójdę szukać na wschód, ty skrećisz w drugą stronę, kiedy pogadasz z Maizie. Jeżeli do szóstej nie znajdziemy Giny, spotkamy się przy rozwidleniu i przejdziemy do planu B.

- To znaczy? - zdziwił się Robert.

- Jeszcze nie wiem - odparł Camp. - Na razie ułożyłem plan A. Podobno Gina wędrowała sama po górach Sierra. Liczę na to, że wróci do obozu przed nami.

Robert skinął głową i mężczyźni rozdzielili się. Camp przekonał się wkrótce, że jego boczna ścieżka niknie w trawie. Zawrócił, przekonany, że szedł na darmo, i ruszył biegiem, gdy zobaczył zniecierpliwionego Roberta u zbiegu ścieżek.

- No i co? - rzekł zdyszany Camp, zdejmując okulary przeciwsłoneczne, żeby otrzeć pot zalewający oczy. - Ani śladu.

- Tak, a dróżka wychodzi na pole kukurydzy za wzgórzem. Jak okiem sięgnąć pola. Część leży odłogiem, większość jest uprawiana. Idę po lornetkę. Do diabła, wiatr tak gwizdże w kukurydzy, że nie można dosłyszeć, czy ktoś tam się błąka.

- Przypuszczasz, że może tam być?

- Tak sądzę. Fil rozgadał się wczoraj o dziwnych kręgach odcisniętych na środku kukurydzianych pól. Jakiś głupiec utrzymuje, że ślady te zostawiły statki kosmiczne. Jeżeli Gina poszła robić zdjęcia i zmyliła kierunek, to może potrwać dwa dni, nim znajdzie drogę.

- Żartujesz?

- Niestety nie. Widzę, że nie uprawiałeś kukurydzy. Czasami wyrasta tak wysoko, że słońca nie widać.

- No tak, a czy nie można iść do końca wzdłuż rzędu?

- Owszem, tylko trzeba iść we właściwą stronę. A rzędy się przecinają.

- Rozumiem. Nie traćmy więcej czasu.

Maizie niespokojnie wyczekiwała ich powrotu.

- Cholera - przeklęła. - To ci klops.

Harv z Filadelfii wepchnął się między Roberta i Maizie.

- Nie traćmy czasu z powodu głupiej baby. Jedźmy do miasta, potem wyślemy kogoś na poszukiwania. W prospekcie obiecywano nam obchody dnia Dzikiego Zachodu. Dlaczego nie mielibyśmy obejrzeć parady?

Maizie spojrzała na niego gniewnie.

- Nikt cię nie zatrzymuje, ale do Santa Fe jeszcze szmat drogi. Nie licz na naszą pomoc, jeżeli będziesz miał kłopoty z wozem.

Harv zrobił brzydki gest i umilkł.

Robert wygrzebał w swoim wozie strzelbę i lornetkę.

- Gina mogła natknąć się na grzechotnika albo wściekłego kojota.

Emily podała Campowi białe ścierki do naczyń.

- Może trzeba będzie zrobić jej opatrunek albo temblak? Camp wziął ścierki z posępną miną.

- Czy ja i Jared też możemy jechać? - spytał z zapalem Mark. - Chcemy pomóc.

Camp zaczął się zastanawiać, jak by tu uprzejmie odmówić, ale na szczęście pierwszy odezwał się Robert:

- Wy zostaniecie i pomożecie paniom zebrać duży zapas drewna. Dobrze też byłoby, żeby wozy czekały gotowe do odjazdu, gdy tylko wrócimy.

Około wpół do ósmej poszukiwacze natknęli się na ślady Giny zmierzające w głąb pola kukurydzy, tak jak przewidział Robert. Po trzech kwadransach Camp chwycił Roberta za ramię.

- Czy mi się Zdaje, czy już tędy szliśmy?

- Wcale ci się nie zdaje. Chodziła w kółko.

Camp przyłożył dłonie do ust i zaczął wołać Ginę. Obaj wyteżali słuch, ale jęczał tylko wiatr, chwilami niemal ludzkim głosem. Robert pokręcił głową i chciał zagłębić się jeszcze dalej w pole.

- Zaczekaj! - powstrzymał go Camp. - Tędy. Słyszałem krzyk. - Wskazał kierunek przeciwny do śladów na ziemi.

- Może masz rację - rzekł podniecony Robert.

Przez nieustanny szelest liści przedarło się ciche wołanie o pomoc. Ruszyli na skos i przecięli ze czterdzieści rzędów kukurydzy, nim znów natknęli się na ślady Giny. Krzyknęli razem. Odpowiedział im słaby, lecz wyraźny głos. Nie przestając się odzywać, Camp biegiem przebił się przez ścianę kukurydzy i upadł na Ginę.

- Bogu dzięki, że mnie znaleźliście - jęknęła, z trudem poruszając zaschniętymi wargami. - Czuję się jak idiotka. Ustawiłam trójnóg, żeby z bliska sfotografować słoneczniki wśród kukurydzy. Cofnęłam się i wpadłam do nory piesków preriowych. Rzuciło mnie na trójnóg, który spadł mi na głowę. Mam złamaną lewą nogę i prawą rękę.

- Ręka bardzo spuchła - przyznał Camp.

Ostrożnie unieruchomił ją, posługując się ścierkami od Emily. Jeden rzut oka na nienaturalnie wykrzywioną nogę wystarczył, by Campowi skurczył się żołądek.

- Okropnie zaboli, kiedy cię ruszymy. Będziemy musieli unieruchomić nogę i nieść cię na zmianę, jeżeli mamy zabrać także sprzęt.

- Nie myśl, że spaprzę ci twoją pracę naukową, Campbell. Ktoś musi tylko poprowadzić mój wóz do Council Grove i zawieźć mnie do lekarza. On mnie postawi na nogi.

Camp nie próbował rozwiewać jej złudzeń, choć uważał, że Gina Ames dalej nie pojedzie. Przepadną więc zdjęcia, na które tak liczył. Mówi się trudno, wypadki chodzą po ludziach, tak jak kiedyś - z tą różnicą, że poprzedniczki Giny na szlaku wrzuciłyby ją do wozu i ruszyły naprzód. Złamania zrosłyby się dobrze albo nie. W dzisiejszych czasach dzięki osiągnięciom medycyny mogła liczyć na powrót do pełnego zdrowia.

Walcząc z rozczarowaniem, podjął decyzję. Ani sama wyprawa, ani jego praca zawodowa nie są warte tyle, by ryzykować zdrowie Giny. Musiała więc zostać w Council Grove.

Rozdział 7

Żony pionierów były biernymi uczestniczkami przedsięwzięć swoich mężów. Zdanie z opracowania historycznego wykorzystanego przez Nalana Campbella.

Mężczyźni zmieniali się przy niesieniu Giny i jej ciężkiego sprzętu. Camp nabrał szacunku dla czupurnej kobiety, która nie martwiła się o złamaną rękę i nogę, tylko o bezpieczeństwo swego aparatu i obiektów. Musiała znosić silny ból, a nie poskarżyła się ani razu. Maizie, Emily, Sherry, Doris i Vi wybiegły na spotkanie powracającej ekspedycji. Sherry złapała zdrową rękę Giny, zatroskana Emily poprawiła temblak.

- Co możemy dla ciebie zrobić, Gina?

Mark i Jared przysunęli się bliżej, Brittany i Megan zostały z tyłu. Para z Filadelfii nie okazała zainteresowania cierpieniem towarzyski podróży.

- Kostka i kolano wyglądają paskudnie - orzekła Maizie, rzuciwszy okiem na urazy odniesione przez Ginę. - Weszłaś w drogę ciężarówce, mała?

Zaciskając zęby, Gina opowiedziała całą historię.

- Chłopcy - Maizie skinęła na Jareda i Marka - potrzebne są łupki, bo jazda do miasta będzie torturą. Rozejrzyjcie się za jakimiś sztywnymi magazynami, a my podrzemy na pasy stare prześcieradła.

- Brittany ma stos magazynów filmowych - rzekł Mark, krzywiąc się - ale ja nie poproszę, żeby je oddała.

- Ja pogadam z Brittany - zgłosiła się Sherry. - Wy, chłopcy, zaprzęgnijcie konie Giny.

- Już się robi - odparł Jared. - Chodź, Mark. Mark ociągał się.

- Nie może powozić z taką ręką - zauważył przytomnie. - Pani Ames, ja panią zastąpię.

Camp miał zaproponować, by Sherry oddała wodze Brittany, sama zaś przesiadła się na wóz Giny. Prośba Marka przyjemnie go zdziwiła. Ostateczna decyzja należała jednak do Emily. Wraz ze wszystkimi Camp czekał niecierpliwie, czy pozwoli synowi powozić.

Maizie klepnęła chłopaka po plecach.

- Jestem z ciebie dumna, Mark. Tak postępuje prawdziwy dżentelmen.

Megan wydała pogardliwy okrzyk.

- Jaki to dżentelmen? Kto pozwoli takiemu dzieciakowi powozić?

Mimo że na twarzy Megan rzadko gościł uśmiech, jak w tej chwili, Camp skłonny był stanąć po stronie Marka. Uprzedziła go w tym Maizie.

- Trzeba ci wiedzieć, panienko, że w czasach prawdziwych pionierów uważano dwunastoletniego chłopaka za mężczyznę.

- Tak, Megan, więc przymknij dziób. - Mark spojrzał wrogo na siostrę.

- Dość. - Emily pogroziła obojgu palcem. - Nie czas na kłótnie. Musimy ułożyć Ginę, bo grozi jej szok.

Robert wziął Ginę na ręce i zaniósł do wozu, a Jared podbiegł, żeby pomóc ojcu.

- Gina jest taka blada - powiedziała Emily. - Sherry, masz pod ręką silny środek przeciwbólowy?

- Ja mam, kochanie - zgłosiła się Doris. Wskazała siwowłosą koleżankę i dodała z błyskiem w oku: - Wieziemy całą aptekę leków przeciwbólowych. Taka wyprawa w naszym wieku jest wbrew naturze. Bałyśmy się, że na jakimś odludziu rozbolą nas stare kości, a nie chciałyśmy być dla was ciężarem.

- Żebym ja zachowała tyle werwy, kiedy wycofam się z nauczania! - rzekła Emily z uśmiechem. - Spytajcie Ginę, który lek woli, a ja pomogę Maizie drzeć prześcieradła.

- Mamo - Mark pociągnął ją za rękę - czy mogę poprowadzić wóz pani Ames?

- Spytaj Campa.

Mark od razu zarzucił Campa argumentami, dlaczego powinno mu się pozwolić, by powoził. Camp słuchał uważnie, patrząc wciąż na Emily. I do niej się zwrócił, kiedy Mark umilkł:

- Miło mi, że liczysz się z moim zdaniem.

- To przecież ty wynająłeś wozy.

- Ach tak. - Uśmiech Campa zgasł. - Nie mam nic przeciw temu. Teraz twoja kolej.

Emily zeszywniała, a potem wzruszyła ramionami.

- Zwykle chronię dzieci przed zadaniami, które mogą je przerosnąć. Mark - zwróciła się do syna - przyglądałeś się, jak powożę. Trzeba umiejętnie przewlec wodze między palcami, żeby równo rozłożyć nacisk na wędzidło. Poproś Maizie albo Roberta, żeby cię nauczyli.

- Naprawdę mogę? Ale świetnie!

Wypadek Giny spowodował wielogodzinne opóźnienie. Wszyscy pogodzili się z tym, że nie zobaczą świątecznej parady. Robert dosiadł konia i pojechał przodem, by zamówić wizytę u lekarza i przełożyć planowane wycieczki po mieście. Jared prowadził wóz, tak więc dwóch młodych woźniców powoziło jeden za drugim, bo Maizie kazała zamienić miejscami wóz Giny i wóz Shawów. Naturalnie Harv głośno wyrzekął.

Emily była wdzięczna Maizie za tę zamianę. Wiedziała z doświadczenia, że matki nie są najlepszymi opiekunkami dla swych latorośli, gdy te muszą sobie radzić w nowej sytuacji. Mark na pewno w razie potrzeby chętniej wysłuchałby pouczenia Maizie, i w końcu przestała sprawdzać, jak syn sobie radzi.

Camp widział wychylającą się raz po raz głowę Emily. Domyślał się, jakie cierpi katusze. Pierwszego dnia na szlaku, kiedy wszyscy dopiero uczyli się powozić, też się martwił - kiedy nie dokuczał mu ból od trzęsienia się na twardym siedzisku - ponieważ miał świadomość, że wpakował ludzi w dość ryzykowne przedsięwzięcie.

Głowa mu pękała, ale w końcu pomyślał, że nie może nic zrobić, tylko uważać na siebie.

Roześmiał się w głos. Był tak źle przygotowany do swojej roli jak mała z buszu. Zarówno on, jak i Mark Benton przebyli długą drogę. O dziwo, obserwując poczynania chłopca, czuł ojcowską dumę.

Ojcowską dumę! Zaskoczyło go to odkrycie. Chociaż właściwie nie powinien się dziwić, bo przecież odczuwał chęć opiekowania się Emily. I jej rodziną.

Pojęcie „rodziny” obejmowało Megan. Nastolatki budziły w nim lekkie przerażenie. Zamieszkiwały tajemniczy świat mody, makijażu i chimerycznych nastrojów. Megan i Brittany dostarczały mnóstwa materiału do porównania z niegdysiejszymi młodymi kobietami, z których pamiętnikami się zapoznał.

Na przykład unikały pracy jak ognia. Kiedy przydzielono im zadanie, tak się ociągały, aż ktoś - zwykle Emily lub Sherry - miał dosyć i je wyręczał. Jeżeli czasem kończyły to, co do nich należało, narzekały i trzeba je było bez przerwy popędzać. A młode osadniczki nie ustawały w pracy od świtu do zmierzchu.

Musiał jednak przyznać, że Megan i Brittany bardzo o siebie dbały. Choćby się waliło i paliło, codziennie myły włosy. Ciekawe, zastanawiał się Camp, czy zrećcznie unieszkodliwiłyby grzechotnika za pomocą lokówki na baterię, czy też wpadłyby w histerię, gdyby im zagroził.

Parę tygodni temu postawiłby na tę drugą ewentualność, ale teraz, po zastanawiającej metamorfozie Marka, nie był już taki pewien. W ostatnich dniach zaczął rewidować wiele poglądów, z jakimi wyruszył na wyprawę. Tylko niektóre współczesne kobiety są słabsze od swoich poprzedniczek. Z pewnością nie wszystkie.

Co powiedziałyby Lyle Roberts o odkrytych przez niego nieścistościach w podręcznikach? Pewnie uczepliły się Giny: Camp nie zamierzał rozwodzić się na temat jej wypadku. Miała takie możliwości, jakich nie mieli pionierzy, co wyraźnie zaznaczył w swoim opracowaniu.

Kawalkada wozów zatrzymała się w parku na skraju Council Grove i w godzinę potem smętni uczestnicy wyprawy obstąpili Ginę, patrząc na szynę na ręce i gips na nodze.

- Umówiłam się z Markiem, że pojedzie moim wozem i zawiezie mnie do Santa Fe - oznajmiła i wymieniła sowitą zapłatę za tę przysługę.

Słysząc było, jak Emily i Camp biorą głęboki wdech. Głupkowato uśmiechnięty Mark wyciągnął z kieszeni plik banknotów.

- Moja pierwsza zapłata. Kupię sobie wędkę. Odprowadzę Ginę do hotelu, gdzie zamówiła pokój, a potem pójdę z Jaredem i jego tatą na ryby.

Sherry przyklęła obok Giny.

- Jeżeli robisz to, żeby pokazać Nolanowi, że jesteśmy tak samo twarde jak jego ukochani pionierzy, daj sobie spokój. Dzięki osiągnięciom medycyny nie musimy tak cierpieć jak nasze poprzedniczki. Em i ja naradzimy się i zorganizujemy kogoś, kto odwiezie cię do domu.

Camp skinął głową na znak, że myśli tak samo.

- Gina, uważam, że nie powinnaś jechać dalej z nami.

- Podjęłam decyzję. - Gina machnęła zdrową ręką, odganiając wszystkich od siebie. - Gips mam założony na sześć tygodni. Lekarz powiedział, że szynę mogę zdjąć sama za cztery tygodnie. Mamy już zorganizowany transport do domu z Santa Fe. Nie trzeba zmieniać planów z mojego powodu.

Emily i Sherry zgromiły Campa spojrzeniem, aż bał się odezwać, by źle go nie zrozumiano. A przecież zgadzał się z nimi całkowicie.

- Gina, jak dasz sobie radę chociażby z wsiadaniem i wysiadaniem z wozu? Nie mówiąc o...

- Jak ty, dziewczyno, dokuśtykasz do krzaczka i jak za nim kucniesz? - sprecyzowała Maizie.

- Omówiłam to już z Markiem - odparła Gina z urażoną miną. - Nikomu nic do tego, jak sobie poradzę z toaletą. Lekarz dostarczy mi nocnik. Mark będzie szykował ognisko i rozstawiał trójnóg, kiedy go o to poproszę. Oczywiście za opłatą.

- Mrugnęła do Emily. - Twój syn ma talent finansisty. Zbije kiedyś fortunę na giełdzie.

- Nie mam nic przeciw temu, żeby Mark komuś pomagał - rzekła Emily - ale nie powinien brać pieniędzy od Giny.

- Ależ powinien - orzekła Maizie. - Gina chce mu płacić, a Mark chce pracować. To uczy dzieciaka solidności i etyki pracy. Dość o tym. - Obróciła się do Marka i wnuka. - Biegnijcie na ryby, bo zaraz

przestaną brać. Powiedzcie Robertowi, że mam chętkę na suma. - Po kolei spojrziała wszystkim w oczy. - Co tak stoicie? Dajcie nura w historię. Odprowadzę Ginę do pokoju. Posiedzę z nią chwilkę, dam odpocząć starym kościom.

- Ja mogę najwyżej dać nura do wanny z pianą - powiedziała Sherry.

Megan i Brittany tak się paliły do pójścia w miasto, że nie trzeba ich było do tego zachęcać. Nim się jednak urwały, Emily odciągnęła córkę na stronę.

- Megan, będę czekała na ciebie z kolacją. Wpół do siódmej. Nie spóźnij się.

- Ma - a - mo! - Megan aż sapnęła z oburzenia. - Brittany i ja zjemy coś na rodeo. Przestań traktować mnie jak dziecko.

- Wiem, miesiąc temu skończyłaś czternaście lat. Nie jesteś już małym dzieckiem, ale dorosłą osobą też nie. Ustalmy więc, kiedy wrócisz. O której kończy się rodeo?

- O dziesiątej - odparła ponuro dziewczyna - ale potem są tańce. Kurczę, przecież będę razem z Brittany. Ona ma dziewiętnaście lat.

- Tak, wiem.

Emily wcale to nie pocieszyło. Była przecież świadkiem, jak Brittany narzuca się Campowi. Rozmawiał z nią teraz, odwrócony do Emily plecami. Może między tym dwojgiem coś się zmieniło? Nie, Brittany odgrywa znów starą taśmę. Poza tym, Camp powiedział wyraźnie, że oczekuje od niej, Emily, tylko przyjaźni. Tak jakby ona oczekiwała od niego czegoś więcej! Czemu więc nie może się skupić na rozmowie z Megan?

- Mamo! - zawołała Megan wojowniczo. - Czy mogę pójść na rodeo z Brittany i tam coś zjeść?

Wyczuwając spojrzenie Emily, Camp odwrócił się i ruszył do niej z uśmiechem na twarzy.

- S - spytam się Campa - wymamrotała. - Brittany i ja jesteśmy częścią jego wyprawy. Może chce, żebyśmy odbyły jakieś wycieczki.

- O rany. Wiedziałaś, że to będą nudy na pudy. - Megan kopnęła kamyk.

Brittany stała nieco z boku, trzaskając gumą do żucia,

- Nudy na pudy? - Camp włożył ręce do kieszeni. - Według Brittany obie panie macie plany na cały dzień.

Megan rzuciła matce gniewne spojrzenie.

- Powiedz to mojej mamie. Traktuje mnie tak, jakbym nie była starsza od Marka.

- Nic podobnego. Boję się tylko, czy będziecie bezpieczne, chodząc po mieście późnym wieczorem.

Camp rozejrzał się po zielonych ulicach, które po paradzie kipiały życiem. Całe rodziny stały i rozmawiały. Skautki sprzedawały lemoniadę. W parku pełno było kramów z pamiątkami.

- Nie wygląda mi to na dzikie miasto.

- Tak, ale rodeo i tańce... - nie poddawała się Emily.

- Brzmi dobrze. - Camp posłał uśmiech dziewczętom. - Słyszałem, jak ludzie mówili o dzisiejszych tańcach. Najpierw będzie grał zespół bluegrassowy, a potem miejscowa ludowa kapela. Nie miałabyś ochoty tego posłuchać, Emily? Moglibyśmy wtedy razem wrócić do obozu. Chyba że chciałabyś wynająć pokój w hotelu.

- Nie... - Emily nie była pewna, czy Camp prosi ją na tańce, czy tylko proponuje wspólny powrót. Tak czy owak, oferował jej rozwiązanie problemu. - Dobrze - zgodziła się ze względu na dziewczyny. - Nie wiem, gdzie mają się odbyć te tańce, więc nie mam pojęcia, jak się spotkamy. A ty wiesz? - spytała Campa.

- To ma być gdzieś na terenie rodeo. W takim niedużym miasteczku nie ma Madison Square Garden. Na pewno jest główne wejście, przy którym możemy się umówić.

Dziewczeta nie miały radosnych min, ale kiwnęły głową potakująco. Żeby wreszcie odejść i zająć się swoimi sprawami, pomyślał z uśmiechem.

- Hej! - zawołał. Gdy dziewczyny wymieniły niespokojne spojrzenia, jakby chciały powiedzieć: „A teraz co?”, dodał: - Na tańce i rodeo są pewnie bilety. Macie dość pieniędzy?

Wzruszyły ramionami, ale kiedy Emily sięgnęła do torebki, Camp powstrzymał ją, wyjął dwie dwudziestki i wręczył dziewczętom po banknocie.

- Bawcie się dobrze, ja stawiam. Tylko bądźcie przygotowane na to, że będę was potem wypytywał.

Chichocząc, schowały banknoty i pomknęły przed siebie. Emily pogrzebała w torebce, aż znalazła dwudziestkę, i wcisnęła ją Campowi do ręki.

- Stać mnie na zafundowanie dzieciom przyjemności. Camp dojrzał w jej oczach błysk irytacji.

- Dodatkowe koszty powinny być wymienione w informacji, którą rozesłałem pocztą - rzekł. - Maizie zapomniała wliczyć rodeo i potańcówkę do opłaty. Nie chciałbym nikogo narażać na nieprzewidziane wydatki.

- No dobrze... skoro tak to tłumaczysz. - Przyjęła pieniądze z powrotem, zamknęła torebkę i zarzuciła ją na ramię. - Muszę lecieć, bo o pierwszej jest wycieczka śladami historii. Na razie.

Czmychnęła jak spłoszona sarna. Camp podrapał się w kark i pobiegł za nią.

- Mogę się przyłączyć? Nie chcę ci się narzucać, ale też miałem w planie tę wycieczkę.

- To wolny kraj.

Przyśpieszając kroku, szła do starego budynku, gdzie mieściło się biuro turystyczne i skąd miała ruszyć wycieczka. Ostentacyjna odpowiedź zbiła go z tropu, aż zwolnił. Kiedy dogonił Emily, nawet na niego nie spojrzała. Do diaska, przecież chce spędzić z nią czas. Jeżeli zdenerwował ją kwestią pieniędzy, jest mu z tego powodu bardzo przykro.

- Pan pewnie jest przewodnikiem - powiedziała Emily do mężczyzny dzierżącego plik map i ulotek. - Czy przyszedłem za wcześnie?

Mężczyzna wręczył jej mapkę i ulotkę, a potem tak samo obsłużył Campa.

- Tutaj jest opis zabytków. Wycieczka jest samoobsługowa - rzekł, zerkając na zegarek. - Chyba na tę godzinę nie ma więcej chętnych. - Ściągnął mankiet i wycofał się do biura.

Emily rozejrzała się po ulicy.

- A gdzie Doris i Vi?

- Możemy poczekać kilka minut, jeśli chcesz. Ale mogły już pójść, skoro wycieczka nie jest zorganizowana.

- Masz rację. - Emily wzięła głęboki oddech. - Cieszę się, że poszedłeś ze mną, Camp. Samej byłoby mniej przyjemnie.

- Przez chwilę myślałem, że nie życzysz sobie mojego towarzystwa.

- Wiem. Przepraszam. Zdenerwowało mnie, że dałeś Megan pieniądze. Teściowie obsypują dzieci pieniędzmi, żebym wydała im się gorsza, a ja muszę trzymać się za kieszeń. Chciałeś dobrze, ale... - Westchnęła tak głęboko, aż zadrżała.

- To ja przepraszam, Emily. Powinienem był spytać cię o zgodę.

Kiedy zobaczyła jego skruszoną minę, ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że obarcza go swoimi zmartwieniami. Żeby tylko nie pomyślał, że tak będzie robić zawsze.

- Może wcale nie warto iść na tę wycieczkę. Jeżeli masz co innego do roboty, pójdę sama.

- Nie mam żadnych planów poza kupnem młynka do kawy. Zamierzałem zaproponować ci najpierw lunch. Po drugiej stronie ulicy jest restauracja Haysa. Maizie mówi, że otworzył ją w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym Seth Hays, prawnuk Daniela Boone'a. To najstarszy lokal gastronomiczny na zachód od Missisipi.

- Ciekawe, czy jest tam drogo - rzekła Emily wpatrzona w stary kamienny budynek.

Camp już otworzył usta, by powiedzieć, że on stawia, ale powstrzymał się i wsadził nos w ulotkę.

- Może warto trochę wydać, żeby zobaczyć antyki. Piszą tu, że budynek poddano renowacji, ale część oryginalnego wyposażenia wewnątrz pozostała bez zmian. A może nie lubisz muzeów i tym podobnych...

- Coś ty, uwielbiam. Uwielbiam stare, zabytkowe domy. Patrz, piszą, że nad kominkiem jest kuty w kamieniu gzyms. - Zmarszczyła brwi. - Jeżeli ktoś nie życzy sobie pełnego posiłku, może chyba zamówić przystawkę?

Camp dał jej czas do namysłu. Gdy uśmiechnęła się i zaczęła przechodzić przez ulicę, zadowolony wziął ją pod rękę. Trudno mu jednak było pogodzić się z tym, że zaproszona przez niego kobieta będzie za siebie płacić. Z drugiej strony nie chciał jej urazić, wiedząc, jak bardzo jest czuła na tym punkcie.

W oczekiwaniu na wskazanie wolnego miejsca rozejrzeli się po wnętrzu, a kiedy hostessa odprowadziła ich do stolika, Emily pilniej przyglądała się haftowanemu obiciu krzesel niż spisowi potraw.

Zamówiła sałatkę, która ledwie starczyłaby dla ptaszka. Danie Campa zaś było tak obfite, że nasyciłoby trzech ludzi. Przy jedzeniu rozmawiali o wszystkim. O wiszących na ścianach starych fotografiach na cynowych płytach i o swoich zawodowych aspiracjach. Camp po trochu namówił Emily do spróbowania potraw ze swego talerza.

- Właściwie to nie moja sprawa - rzekł, gdy kelnerka zabrała talerzyk po pieczonym jabłku - ale dlaczego się nie przeprowadziłaś, skoro teściowie tak ci zatruwają życie? Ze swoimi kwalifikacjami dostałabyś pracę prawie w każdym college'u czy uniwersytecie.

Emily przestawiła pojemniczki z solą i pieprzem.

- Chcesz powiedzieć: czemu nie pójde za radą, jakiej sama udzielam studentom, zamiast wciąż narzekać na teściów?

- Można i tak to ująć. - Camp zamieszał kawę z kleksem śmietany.

Emily wycisnęła torebkę z herbatą do ostatniej kropli. Upiła łyk, myśląc o tym, ile powiedzieć.

- Dla kogoś patrzącego z boku decyzja wydaje się łatwa. Niestety, tak nie jest.

- Z tego, co usłyszałem od ciebie i dzieci wynika, że po śmierci twojego męża bardzo wam się pogorszyło. Widzę też, jaki masz stosunek do pieniędzy teściów.

Odstawiła filiżankę, trzymając ją obiema dłońmi.

- Staram się ukrywać rodzinne tajemnice, ale wciąż wychodzą na jaw.

- Wszyscy mamy swoje sekrety.

- W porównaniu z tobą, ja mam ich na kopy.

Camp próbował wyobrazić sobie klątwę ciążyącą na Emily o Promiennym Uśmiechu, ale nie potrafił. Przyglądała mu się ukradkiem.

- Ha! Tak właśnie myślałam, miałeś życie usłane różami. - Z gorzkim grymasem na twarzy dopiła herbatę. - Nie żeń się, Campbell. Kiedy ja związałam się „na dobre i złe”, moje życie legło w gruzach.

Camp skinął na kelnerkę.

- Ale z tego małżeństwa masz Marka i Megan.

- I tak wracamy do pytania wyjściowego. Czemu nie przenoszę się z nimi gdzie indziej?

Camp położył pieniądze na stole, a gdy Emily podała mu swoją należność, z westchnieniem dołączył ją do napiwku.

- Moi teściowie to grube ryby tam, gdzie mieszkam - wyjaśniła, kiedy wstali. - Z perspektywy czasu może się wydawać, że byłam głupia, ale nigdy nie miałam powodu wątpić w to, skąd pochodziły pieniądze Dave'a. Nazywał siebie przedsiębiorcą i chwalił się, że pozyskał sponsorów dla kasyna albo luksusowego kurortu. Nie

miałam pojęcia, ile razy rodzice wykupywali jego długi, kiedy wpłatał się w interesy obiecujące wielkie bogactwo. Okazało się, że wiele razy. A po jego śmierci wystawili rachunek na porażającą sumę. To miecz, który wisi nad moją głową. Jestem w sytuacji bez wyjścia, chyba że znalazłabym znacznie lepiej płatną pracę.

- Czy kiedykolwiek podpisywałaś pokwitowanie pożyczki, jaką twój mąż zaciągał u rodziców?

- Nie, ale pokazali mi plik zrealizowanych czeków. Płacili nawet hipotekę za nasz dom.

- Jeżeli niczego nie podpisywałaś, to jak mogą ściągać od ciebie pieniądze?

- Mówiłam ci, że Bentonowie mają miasto w kieszeni. Kontrolują filie, które z kolei kontrolują dalsze filie. Trzy czwarte przedsiębiorstw jest w jakiś sposób u nich zadłużone. Wierz mi, nie śpię po nocach, obmyślając, jak by tu uciec razem z dziećmi - rzekła z goryczą. - A jaką moje dzieci wyciągnęłyby z tego naukę? Nawet gdybym uciekła, pozostaje kwestia referencji. No i zaciągnęłam w college'u kredyt na samochód. Nie mogłabym zniknąć bez śladu.

- A gdybyś wzięła pożyczki w nowym miejscu zamieszkania i spłaciła w ten sposób stare należności?

Emily wstała, zrzucając torebkę na ramię.

- Banki nie śpieszą się z pożyczaniem pieniędzy matkom samotnie wychowującym dzieci ani komukolwiek, kto świeżo przybył do miasta. Masz dobre pomysły, Camp, ale ja już to przeanalizowałam i nie widzę wyjścia z tej matni. Camp szedł za Emily do drzwi.

- Zdziwiłbym się, gdyby Mona i Toby byli kryształowo uczciwi. Ludzie, którzy traktują rodzinę tak jak oni ciebie, są do cna zepsuci. Chcesz im dać popalić? Naślij na nich urząd podatkowy. Ten urząd nikomu nie podlega.

- Przypomnij mi, żebym nie wchodziła ci w drogę - powiedziała Emily ze śmiechem. - Ostro grasz.

- Wcale nie. To mocno podejrzanę, że trzymają w szachu ciebie i całe miasto. Ludzie mający taką władzę i pieniądze zwykle kantuja, robią jakieś nieczyste interesy.

- Toby odziedziczył duży majątek po rodzicach, a sam też ma smykałkę do robienia pieniędzy. Z kolei Mona rozpuściła swojego jedyne go syna do granic możliwości i nie wierzy, że mógł źle postępować. Logiczne więc, że mnie wini za jego wysoki.

- Pewnie go kochałaś, hm?

- Wszyscy kochali Dave'a. Był pełen czaru. Mógł mieć każdą kobietę, której zapragnął. No i miał, jeśli prawdą jest połowa tego, co usłyszałam, będąc jego żoną. Wciąż zadaję sobie pytanie, po co właściwie się ożenił. I dlaczego ze mną? Zanim zaczął się ze mną umawiać, chodził na randki z modelką, a późniejsze jego flamy wyglądały, jakby zeszyły z okładki „Cosmopolitanu”.

- Nie oceniaj siebie tak nisko, Emily. - Camp ujął ją za rękę. Powoli szli ulicą. - Ten chytrus Dave doskonale wiedział, jakie zalety ma jego żona. Ładna, utalentowana, wierna. Wspaniała matka. Z twojego opisu wyłania się obraz mężczyzny, który potrzebował trochę ładu w swoim chaotycznym życiu. Mężczyźni tacy jak on muszą prezentować światu pozory normalności. Pragną też mieć syna, któremu dadzą nazwisko.

- Czy ty aby nie studiowałaś psychologii?

- Historię, dobrze wiesz. Dyscypliny naukowe przenikają się. Historia uczy, że w każdej kulturze i w każdym pokoleniu są ludzie tacy jak Dave. I są kobiety wpadające w sidła jak ty. Historia się powtarza. Nie pytaj dlaczego.

- Skąd wiedziałaś, że zadam to pytanie?

- Z twojej twarzy można czytać jak z książki.

- Świetnie! Oto ja, łatwowierna jak dziecko i potulna jak owca. - Daremnie próbowała wyplątać palce z uścisku.

Camp trzymał ją za rękę, jak gdyby nigdy nic, gdy spacerowali od jednego zabytkowego miejsca do drugiego. Raz tylko ją puścił, zaglądając przez przydymione okno do „Sklepu Ostatniej Szansy”, który niedawno - jak głosiła wywieszka - został na dobre zamknięty.

- Przeszła mi koło nosa szansa zakupów w „Sklepie Ostatniej Szansy” - zażartował.

- Wielka szkoda - powiedziała Emily. - Według ulotki był to ostatni sklep, w którym pionierzy mogli się zaopatrzyć, nim dotarli do Santa Fe. Patrz, na rogu jest supermarket. To się nazywa postęp.

- Dobrze i to, że towarzystwo historyczne przejęło opiekę nad budynkiem.

Emily skinęła głową.

- Został nam już chyba ostatni punkt programu.

- Prowadź. - Camp znów wziął ją za rękę.

- To pomnik matki pionierki w Parku Madonny. Przeszli przez ulicę, kierując kroki w stronę rzeźbionego bloku szarego marmuru na trójkątnym trawniku. Statua przedstawiała kobietę z niemowlęciem na ręku i uczepionym spódnicy małym chłopcem.

Camp i Emily wpatrywali się w milczeniu w zatroskaną, pobrużdżoną twarz, osłoniętą budką. Spod długiej perkalowej sukni wystawały ciężkie, sznurowane buty poganiacza bydła, za duże i nie pasujące do kobiety. Postać Madonny Szlaku nie miała w sobie krzty łagodności.

- Wygląda, jakby się przedwcześnie zestarzała - szepnęła Emily.
- Po jej oczach widać, ile mil przeżyła.

- Ale z jej twarzy bije determinacja - dorzucił Camp, cofając się, żeby zrobić zdjęcie małym, jednorazowym aparatem, który wyjął z kieszeni koszuli. Pstryknął od razu drugie zdjęcie, uwieczniając Emily. Szczupła sylwetka kobiety w dżinsach kontrastowała z rzeźbioną postacią silniej, niż mogły to wyrazić słowa.

Emily wystawiła język, wetknęła kciuki w uszy i pomachała palcami.

- Nie znoszę, kiedy ktoś mnie fotografuje. Żeby ci się aparat zepsuł.

- Oby nie. Szkoda byłoby nie udokumentować tak wymownego kontrastu, nie uważasz? Zresztą moje zdjęcia nie będą się umywały do zdjęć Giny.

- Zajrzę do niej i powiem, żeby się nie martwiła, bo ma zastępcę, który przejął od niej pałeczkę.

- Wątpię, czy podniesie ją na duchu wiadomość, że mam w rękach aparat.

Emily roześmiała się.

- Może masz rację. Gina lubi robić wszystko sama. Aż dziw, że dopuściła Marka do pomocy.

- Zachowuje się tak, jakby świat mógł się obyć bez mężczyzn. Może uznała, że Mark jest na tyle młody, że można go jeszcze wychować.

- Kiedy mężczyzna przekracza magiczny wiek, powyżej którego nie można go już wychować? - spytała Emily całkiem poważnie.

Camp przyjrzał się jej, mrużąc oczy.

- Czy pracownik oświaty może uważać, że ktoś jest za stary, żeby jego lub ją czegoś nauczyć? Chyba każdy, niezależnie od płci,

może uczyć się i zmieniać, nie sądzisz, Emily? - Znow wziął ją za rękę.

- To idealistyczne założenie, Camp. Nie każdy chce się zmienić.

- Zgadza się, że każdy zmienia się o tyle, o ile sam tego pragnie. Masz zapewne na myśli konkretną osobę.

Emily spojrzała na niego ostro.

- Nie. No, może tak. Dave był bystry i mógł rozsądnie wybierać, ale nie robił tego. Chciałabym, żeby Mark to potrafił. Zastanawiam się, jak długo jeszcze będę miała na niego jakikolwiek wpływ.

Powiedziała to z taką rezygnacją w głosie, że Camp puścił jej dłoń i objął ją ramieniem.

- Zdaje się, że Dave nie został właściwie ukształtowany jako dziecko. Z Markiem masz o wiele większą szansę na sukces wychowawczy.

Emily przeplotła palce między palcami Campa.

- Dzięki za wotum zaufania. Jesteś taki miły. Nie rozumiem, dlaczego już dawno temu jakaś kobieta nie zaprowadziła cię na ślubny kobierzec.

- Cóż, raz byłem tego bliski. - Camp już - już miał opowiedzieć jej o Grecie, ale głos uwiązł mu w gardle. Uratowali go z zakłopotania Mark i Jared, którzy nadbiegli z nanizanymi na linki rybami.

Mark, zanim poszedł łowić, zdjął zbyt obszerne ubranie. Obaj chłopcy byli w ogrodniczkach bez koszul i mieli słomiane kapelusze, zupełnie jak Huckelberry Finn. Emily puściła Campa i obesza syna dokoła.

- Ho, ho! Czy my się znamy? Cóż za odmiana. Jestem zdumiona. Podziwiam też obfity połów. Nie będę musiała zastanawiać się, co zrobić na kolację.

- Maizie powiedziała, że zjemy je na śniadanie - wyjaśnił Jared. - Mój tata chce dziś zabrać Marka i mnie na hamburgery. Zgadza się pani, pani Benton?

Emily miała zaskoczoną minę.

- No... dobrze. Wobec tego zjem sama. Camp zmarszczył brwi.

- Myślałem, że zjemy coś razem na mieście, a potem pójdziemy potańczyć.

- Razem? - Znieruchomiała. - Ach tak. Myślałam, że spotkamy się później, żeby przyprowadzić dziewczyny do domu.

Nie mógł ukryć rozczarowania, które go ogarnęło. Za nic w świecie nie chciał zmuszać jej do randki, jeżeli nie ma na nią ochoty. Ponieważ jednak wydała się niezdecydowana, spróbował zaprosić ją jeszcze raz.

- Wydawało mi się, że zapraszałem cię na tańce, Emily. Jeżeli nie lubisz tańczyć, możemy posłuchać muzyki.

- Lubię, ale tak dawno nie tańczyłam - odparła i pochyliła głowę, żeby nie zobaczył oblewającego ją rumieńca.

- Świetnie. - Walczył z nagłą chęcią, aby dotknąć jej twarzy, unieść ją i spojrzeć w duże, zniewalające oczy. - Chcę z tobą zatańczyć, Em. - Drgnął. - Chyba że ty nie chcesz zatańczyć ze mną.

- Ależ chcę - zapewniła i dodała ściszym głosem: - Nie powinnam ci tego mówić, ale pogłaszczę twoją męską dumę i powiem, że zalecasz się do niewłaściwej osoby.

Camp ujął jej rękę i powolnym spojrzeniem zmierzył ją od stóp do głów.

- Mnie to wygląda na właściwą osobę - mruknął. Wypuściła wstrzymywany oddech.

- Zajdę do Giny i opowiem jej, co widzieliśmy. Może spotkamy się na potańcówce.

Wyczuł, że Emily się wycofuje.

- Idziemy na randkę, Emily. Pogódź się z tą myślą. Za dwie godziny czekam na ciebie przed hotelem. Będzie dość czasu, żeby spokojnie zjeść kolację. Mam nadzieję, że nie jesteś z tych, co wystawiają faceta do wiatru. - Mrugnął do Jareda i zmierzwił czuprynę Marka. - Nie czekaj na mamę, wędkarzu. Nie przepuszczę jej ostatniego tańca.

Gdy Camp odszedł, Mark wyszczerzył zęby do matki. Emily miała na końcu języka ze trzy cięte odpowiedzi, ale powstrzymała się i pogoniła chłopców.

Rozdział 8

Myślę, że Dziki Zachód ujarzmili kowboje. Nie wierzę, że koń kowboja i sześciostrzałowy rewolwer były ważniejsze od dziewcząt, choć tak mówi Sherry.

Z zapisków Brittany wychwalającej kowbojów.

Kiedy Camp i Emily dołączyli do kolejki przed wejściem, zabawa rozkręciła się już na dobre. Wcześniej, na prośbę Emily, wybrali się na niewyszukaną kolację i jedli hot dogi przy budce Lions Club. Śmiali się razem z innymi złaknionymi, bo każdy robił wygibasy, żeby uchronić ubranie przed plamą z musztardy, keczupu i kapusty. Emily poprzestała na jednym hot dogu. Kiedy Camp zjadł do ostatniego okruszka drugą porcję, otarła mu musztardę z brody.

Gdy czekali w kolejce do tańców, oblizywał oblepione przyprawami usta i nie mógł się napatrzeć na śmieszne miny Emily, która mu się przyglądała. Żarty i przekomarzania były częścią subtelnej zmiany, jaka zaszła w ich stosunkach. Czy stało się tak dlatego, że uparcie nazywał wieczorny wypad randką, czy też dlatego, że Emily przebrała się w sukienkę z miękkiego, jasnożółtego materiału?

Gdy uiścił drobną opłatę i weszli do stodoły przerobionej na tancbudę z lampionami, dekoracyjnymi belami siana i kraciatymi obrusami, dostrzegł powracający chłód i rezerwę Emily. Na podłodze z desek tłum ludzi tańczył w takt żywych bluegrassowych melodii. Camp czuł rytm muzyki przez podeszwy butów, gdy przepychali się brzegiem tanecznego kręgu.

- Nie widzę naszych dziewcząt. - Emily zatrzymywała się co chwila, stawiała na palce i wpatrywała w gąszcz kowbojskich kapeluszy. Camp kierował nią, położywszy ciepłą dłoń u dołu jej pleców.

- Zrobiliśmy zaledwie jedną czwartą drogi wokół tancbudy. Przy budce z hot dogami słyszałem, jak ktoś mówił, że młodzież gromadzi się na poddaszu, gdzie są stoły bilardowe i darmowe napoje bezalkoholowe.

- Stoły bilardowe? Megan w ogóle się na tym nie zna!

- Jesteśmy tuż przy schodach, więc zajrzyjmy na górę.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie - ale to strata czasu.

Ledwie stanęli na najwyższym stopniu, Camp usłyszał gwałtowny oddech Emily. Podążając za jej spojrzeniem, zobaczył Megan, która -

z kijem w rękę - podrzuciła wyzywająco głową i nachyliła się nad stołem. Gapie podnieśli dopingującą wrzawę i Camp domyślił się, że mała Megan, która podobno nie zna się ani trochę na bilardzie, rozgramia właśnie przeciwnika. Wyciągając szyję, Camp dojrzał, jak po trudnym strzale z rogu zakręcona bila ląduje w końcowej kieszeni. Megan wyglądała inaczej niż zwykle. Staroświecka szydełkowa czapka więziła kasztanowe loki, krótka bawełniana bluzeczka podkreślała szczupłą talię.

Brittany dostrzegła Campa i Emily i powiedziała coś do Megan. Ta obróciła się powoli i zawadiacki uśmiech zniknął z jej twarzy. Zostawiła kolegów i podeszła do matki,

- Mieliliśmy spotkać się po tańcach. Szpiegujesz mnie?

- Ależ skąd - zaprzeczyła Emily. - Chciałam dać znać, że już jesteśmy. Co to za ludzie? Dlaczego nie tańczysz?

Megan spojrzała przez ramię na smukłego chłopaka w kowbojskim stroju.

- Chodź, Meg! - zawołał, skończywszy ustawiać bile. - Chyba nie uciekniesz z moimi dziesięcioma dolarami, nie dając mi szansy się odegrać.

- Megan, grasz na pieniądze? - Emily aż zabrakło tchu. - Zabraniam ci. Nie mamy pieniędzy na to, żebyś je głupio trwonila. Co cię napadło? Co ty właściwie wiesz o tej grze?

Megan nadmuchała dużą niebieską bańkę, a gdy guma pękła, zgarnęła językiem powstałe nitki z powrotem do ust.

- Tata nauczył mnie grać u Mony i Toby'ego - pochwaliła się. - A jak myślisz, skąd biorę pieniądze na wydatki? Koleżanki by mnie wyśmiały, gdybym pokazała się z żałosnym kieszonkowym, które mi wydzielasz.

Camp zobaczył, jak Emily blednie. Przyciągając ją do swojego boku, obrzucił spojrzeniem stłoczoną wokół stołu gromadkę. Nikt nie wyglądał na zawodowego gracza. Gdyby Emily ochłonęła, zobaczyłaby sympatycznych młodych ludzi. Inna rzecz, że Megan zachowuje się niegrzecznie, ale nie należy tego roztrząsać teraz. Zresztą, to nie jego zmartwienie...

- Niech mistrzyni oszczędzi trochę chłopaków - rzekł do Megan, gładząc napięte plecy Emily. - Nie chcielibyśmy patrzeć, jak obrabiasz biednego kowboja z resztek pieniędzy. Prawda, Emily?

Megan wzgardliwie pociągnęła nosem.

- To nic trudnego.

Chcąc rozluźnić Emily, Camp masował jej sztywny kark. Leniwie sunąc wzrokiem po graczach, natrafił na spojrzenie Brittany. Gotowała się z oburzenia - nie wiadomo czy na Emily, czy na niego. Pewnie na to, że jesteście razem, wywnioskował. Fatalnie; im prędzej się odkocha, tym lepiej.

- Twoja mama i ja pójdziemy na dół i spróbujemy namówić orkiestrę, żeby zagrała parę staromodnych kawałków - rzekł lekko do Megan. - Będziemy czekać na ciebie i Brittany po zabawie. I jeszcze jedno. Jeżeli chcesz, żeby ten chłopak w czarnej koszuli zaprosił cię do tańca, nie ograj go ze wszystkich pieniędzy.

Megan zamyśliła się, a następnie pokręciła głową ze śmiechem.

- Mój tata też miał silne ego. Nie cierpiał przegrywać. Zwykle pozwalałam mu wygrać. - Śmiech nagle ucichł, oczy Megan zabłyśły. Zamrugła i radośnie obróciła się do stołu.

Camp wyczuł, że Emily jest bliska wybuchu. Nie wiedział, czy bardziej jest wściekła na Megan, czy na niego, ale przewidywał, że awantura powiększy tylko przepaść między matką a córką. Niemal siłą sprowadził Emily na dół.

- Jak śmiesz! - szepnęła rozwścieczona, gdy zaciągnął ją do zakątka pod schodami. - Tam na górze moje dziecko gra o pieniądze, hazarduje się. - Trzymając się dłońmi za łokcie, zaczęła dreptać w kółko. - I teraz dowiaduję się... że to ojciec ją nauczył. Boże! A ty... ty ją rozgrzeszyłeś. Ty i Dave. Pewnie gdyby przegrała, dałbyś jej pieniądze jak Mona i Toby. - Przyciskała ręce do brzucha, jakby była chora.

- Nie. - Camp chciał ją wziąć w ramiona, ale odtrąciła go. - To nie Atlantic City, Emily. To Council Grove w Kansas. Tu się gra o symboliczne stawki, dla zabicia czasu. Nikt nie lądzuje w przytułku z powodu przegranej.

- Dla ciebie to śmieszne? Dave potrafił przepuścić tysiąc dolarów w kilku grach. Zawsze myślał, że zaraz się odegra.

- Ze słów Megan wynika, że przejrzała ojca. Nie mogłabyś jej obdarzyć kredytem zaufania? Jeżeli za pół godziny nie zejda na dół, to pójdę im przerwać i wyjdziemy stąd. Megan jest niepełnoletnia, a Brittany znajduje się pod moją opieką.

Widać było, że Emily trochę ulżyło, ale wciąż nie dawała się namówić na taniec. Co chwila spoglądała w stronę schodów. Dopiero

gdy zobaczyła roześmianych młodych ludzi zbiegających na dół, jej twarz zaróżowiła się. Później jednak Megan i Brittany wymknęły się na zewnątrz z dwoma kowbojami o chłopcym wyglądzie. Emily martwiła się, że poszli się napić czegoś mocniejszego.

- To możliwe - rzekł spokojnie Camp. - Czy wiesz na pewno, że Megan pije?

Emily, bliska łez, pokręciła głową.

- Nie wiedziałam, że Dave nauczył ją grać w bilard. A on zawsze miał w ręku szklaneczkę dzinu - powiedziała, jakby to o czymś świadczyło.

- Może wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza. A może chłopcy palą. Zatańcz ze mną, Emily. Gdyby to była cudza córka, poradziłabym rodzicom, żeby dali jej trochę swobody.

Emily potarła skronie.

- Chyba tak, ale aż do ostatniego, straszego roku nie myślałam, że znajdę się w takiej sytuacji.

Camp objął ją i poprowadził krokiem walca do tańca. Miejsce zespołu bluegrassowego zajęła kapela country, która zagrała na początek romantyczną balladę. Camp od razu wiedział, kiedy wróciła Megan, choć był zwrócony plecami do drzwi - Emily oparła się o niego z ulgą. Nie miał nic przeciw temu. Czuł jej piersi i mógł oprzeć podbródek na jej jedwabistych włosach. Ciepły oddech łaskotał go w szyję. Przetanęli cztery kolejne kawałki, mijając czasem którąś z dziewcząt. Megan patrzyła w bok, Brittany obrzucała ich zimnym wzrokiem.

Dopiero po trzech tańcach Emily odprężyła się i zaczęła dobrze bawić. Spróbowała spojrzeć na Megan oczami innych - i zobaczyła ładną dziewczynę, cieszącą się wzięciem na zabawie. Zgrabne ruchy córki przypomniały jej, że ona też tak tańczyła, nim poznała Dave'a. Ta myśl dźgnęła ją jak ostroga i zasmuciła. Kiedyś byli szczęśliwi. Małżeństwo rozpadało się stopniowo, począwszy od jej pierwszej ciąży. Kiedy dokuczały jej poranne mdłości i puchnące nogi, kiedy zrobiła się ociężała, Dave wychodził z domu sam i bawił się bez niej. Megan urodziła się w zimie, więc tym trudniej było ruszyć się z domu. Emily nie miała pojęcia, że już wtedy Dave staczał się po równi pochyłej.

- Dam dolara za twoje myśli - zagadnął Camp, patrząc z uśmiechem w jej nagle zubożniałe oczy.

- Dolar? - powtórzyła, wzdrygając się. - Taka inflacja?

- Powędrowałaś myślami tak daleko, że drobniejsza kwota nie ściągnęłaby cię na ziemię. Zapowiedziano ostatni taniec. Tańczymy, czy chcesz posiedzieć?

- Ostatni taniec? Naprawdę?

Śmiejąc się, Camp przytulił ją do siebie.

- Tańczymy od godziny. Zaczynam opadać z sił, a ty nabierasz rozpędu jak rozbawione dziecko.

Jego słowa wyczarowały uśmiech na jej twarzy.

- Jutro zapłacę za ten młodzieńczy zapał. Ty będziesz świeży i radosny, a ja będę miała worki pod oczami. Właśnie sobie uświadomiłam, że nie tańczyłam tak od czasu, gdy urodziła się Megan. A raczej od Czasu, gdy została poczęta - rzekła ze śmiechem.

Kiedy Camp wyobraził sobie, że kochała się z tamtym draniem - choć był przecież jej mężem - stracił dobry humor.

- Chcesz powiedzieć, że człowiek, który lubił się bawić, pić i grać na pieniądze w bilard, nigdzie cię nie zabierał?

Emily odsunęła się na odległość wyciągniętych rąk.

- Nie kłamie. I nie zabiegam o twoje współczucie. Patrz - rzekła sztywniejac - dziewczyny idą już do drzwi. Chodźmy.

Camp obrócił ją do siebie i zamknął w objęciach.

- Zasługiwałaś na lepsze traktowanie, Em. Za nic w świecie nie chciałbym cię skrzywdzić - wyszeptał jej do ucha. - Boleję nad tym, jak ten samolub cię krzywdził.

Zapach płynu po goleniu i napięte mięśnie Campa, o które opierała policzek, obudziły w Emily dawno nie odczuwany dreszcz.

- Najbardziej raniły mnie uwagi teściów, wygłaszane tak, żebym je słyszała. Na przykład o tym, że sypiamy osobno po przyjściu na świat Marka. Nie mogłam zdobyć się na oskarżenie Dave'a, że sprowadził do naszego domu żonę przyjaciela, gdy ja byłam w szpitalu. Znalazłam jej kosmetyki i szlafrok. Już wtedy bym się rozwiodła, ale zapowiedział, że Mona i Toby postarają się, żeby przyznano mu opiekę nad dziećmi. Miałam podstawy w to wierzyć. Gotowa byłam na każde poświęcenie, byle nie dopuścić do takiego obrotu sprawy.

Camp zatrzymał się, ujął twarz Emily w dłonie i patrząc jej cały czas w oczy, nachylił się i pocałował ją delikatnie. Przynajmniej zaczęło się delikatnie. Gdy ciepło jej ciała zaczęło wnikać porami jego

skóry, zsunął dłonie na jej szyję, ramiona, a potem zachłannie na plecy, całując ją mocniej. Poczul na policzkach muśnięcie rzes, gdy zamykała oczy. Zakręciło mu się w głowie i zapragnął czegoś więcej. Nie wiedział, co sprawiło, że wreszcie oderwał od niej usta i zaczerpnął powietrza. Może zmienił się rytm muzyki, a może odsunęli się inni tancerze. Kiedy się rozejrzał, zobaczył, że stoją sami w niebieskim świetle reflektora. Oszołomionym spojrzeniem przebił rzędzący tłum i napotkał wściekły wzrok Megan. Usta zacisnęła tak mocno, że pobieleły, odznaczając się bladym kręgiem na poczerwieniałej z gniewu twarzy. Obok stała wstrząśnięta Brittany.

W tym samym momencie Emily otworzyła oczy i zamrugowała, jakby nie wiedziała, gdzie jest.

- Co się stało? Poczuleś się zakłopotany? - spytała szybko.

- Ja nie, ale one tak.

Odchyliła się, wciąż bezpieczna w jego ramionach. Rzut oka na nieprzejednane miny wystarczył, żeby jęknęła. Camp uściskał ją mocniej.

- Nie zrobiliśmy nic, czego moglibyśmy się wstydzić, Emily. Ty i ja możemy swobodnie o sobie decydować.

- Masz rację - przytaknęła.

Mimo to natychmiast wycofała się z jego objęć i, czerwieniąc się jak piwonia, poprawiła bluzkę.

- Widocznie kowboje odjechali w siną dal - orzekł. - Nie uważam, że musimy się z czegokolwiek tłumaczyć.

- Też tak myślę.

Jak się okazało, były to ostatnie słowa, które wymienili w czasie długiej drogi powrotnej do obozu. Dziewczyny milczały wymownie, narzucając mordercze tempo marszu. W powietrzu wisały oskarżenia i pogarda. Emily, z wysoko uniesioną głową, szła trzy kroki za dziewczętami i dwa kroki przed Campem. Camp ledwie nadażał, bo dokuczał mu skurcz w prawej łydce.

W oddali zagrzmiało. Co jakiś czas czarne niebo przecinała błyskawica. Nie było widać gwiazd, a księżyc, który do niedawna jasno przyświecał, gdzieś się skrył. Przy każdym wdechu Camp czuł nasycającą powietrze wilgoć. Do tej pory nie myślał o letnich burzach, które często przetaczały się przez równiny. W niesamowitej ciszy, w której słyhać było tylko ich szybkie kroki, przypomniał sobie wydarzenie opisane w dzienniku pioniera. Silny wiatr zerwał woźnicy

kapelusze. Jego konie się spłoszyły i cały tabor popędził w popłochu. Młoda matka i dziecko zginęli, gdy jeden z wozów się przewrócił.

Roztarł obolałe biodro. Widocznie ponury nastrój sprowadza takie myśli. Chociaż grzmiało, burza nie musi przejść nad nimi. Z trudem dogonił Emily.

- Robert na pewno sprawdził, czy zwierzęta są bezpieczne, ale chcę się rozejrzeć. Maizie miała odwiedzić przyjaciół w mieście. Nie wiadomo, czy już wróciła.

Emily skinęła głową.

- Sherry i Gina nocują w mieście. Mark odpowiada za wóz Giny. Brittany powinna zająć się wozem Sherry, ale pewnie o tym nie pomyśli. Ponieważ Megan będzie u niej spała, więc sprawdzę, czy wszystko jest przywiązane.

- Będiesz sama w swoim wozie?

- Nie mówię o tym, żeby dawać ci do myślenia - syknęła. - Pocałunek nie jest od razu zaproszeniem do łóżka.

- Wcale tak nie myślałem - zaprotestował. - Zbiera się na burzę i wszyscy jesteśmy podenerwowani. Chciałem tylko zaproponować, jeżeli nie jesteś śpiąca, żebyśmy zaparzyli kawę i posiedzieli chwilę na dworze.

- Herbatka ziołowa też dobrze mi robi. Muszę się odprężyć. - Spojrzała w niebo. - Może pokropić. Ciekawe, czy wozy przeciekają.

- Oryginalne wozy były zabezpieczone przed przeciekaniem, te chyba też są. Maizie jeździła nimi szlakiem oregońskim, gdzie nieraz musiało padać.

- Ona nie z tych, które odstraszy byle powódź czy głód.

- Powódź? Dlaczego wypowiedziałaś to słowo? Myślałem, że naszym największym zmartwieniem będą pioruny.

Kiedy razem się roześmiali, dziewczyny obejrzały się z niesmakiem.

- I to wszystko z powodu jednego całusa? - mruknął Camp. - Myślałem, że trudno jest zaszokować dzieci, które i tak wiedzą więcej, niż się spodziewamy.

- Megan nigdy nie widziała, jak całuję się z mężczyzną. Ten widok mógł być dla niej wstrząsem.

- Nigdy? Naprawdę? - Camp przytrzymał Emily za łokieć i obrócił ją do siebie. Miała nadzieję, że ciemności skryły falę ciepła, która popłynęła jej od szyi aż na policzki.

- Mówiłam już, że ja i Dave byliśmy sobie niemal obcy, choć mieszkaliśmy pod jednym dachem. Po jego śmierci, gdy prócz pracy i wychowania dzieci miałam jeszcze przeprawy z teściami, nie starczało mi energii na randki.

Camp wziął ją za rękę i pocałował wnętrze dłoni.

- Myślałem, że będę musiał przedzierać się przez tłum mężczyzn oblegających twoje drzwi.

Poculi pierwsze krople na złączony dłoniach. Emily cofnęła rękę.

- Wiem, ile mil dzieli nasze domy. Nie żartuj ze mnie. Camp strząsnął krople deszczu, które spadały coraz gęściej, i przeklął powracający skurcz w nodze.

- Ja wcale nie żartuję, Emily - szepnął zadyszany, z trudem dotrzymując jej kroku. - Od chwili, kiedy cię zobaczyłem, czuję... zainteresowanie. Wiem, że ty go nie poczułaś, ale musisz przyznać, że teraz już coś nas łączy. Nie chciałbym niczego przyspieszać ani cię przestraszyć. Wystarczy jedno słowo, a wycofam się.

Zbliżali się do lasku, pod którym czekały wozy. Emily skuliła się; deszcz padał coraz gwałtowniej.

- Wszystko byłoby prostsze, gdybyś rzeczywiście był męskim szowinistą, o jakim mówiła Sherry - rzekła z westchnieniem. - Że użyję nieco przestarzałego wyrażenia.

Mówiła z taką powagą, że nie odważył się roześmiać. Nigdy tak o sobie nie myślał. Obdarzał koleżanki i kolegów na wydziale jednakowym zaufaniem. Bolesnie go dotknęło, że Sherry przedstawiła go w niekorzystnym świetle komuś, kogo poznała na początku wyprawy. A więc nie w pełni zgadzali się z sobą. Myślał zawsze, że dogadują sobie z siostrą w żartach. Sherry musiała wiedzieć, że zrobiłby wszystko, aby zapewnić jej - jak i pozostałym uczestniczkom wyprawy - bezpieczeństwo.

- Zaskoczyłam cię, przepraszam. Sherry wspominała o rywalizacji między rodzeństwem, a może między płciami.

- Jeżeli jest między nami rywalizacja, to tylko z jej strony. Jestem dumny z osiągnięć Sherry. Myślałem, że ona z moich także. Najwyraźniej każde z nas patrzy inaczej na naszą pionierską podróż.

- Nie powtarzaj jej tego, co mówiłam. Nie chciałabym wywołać nowego konfliktu.

- Nie ma nawet starego konfliktu. Wierz mi, to Sherry wpadła na pomysł tej wyprawy. Muszę z nią pogadać. Dość o tym. Czy nadal masz ochotę napić się ze mną kawy? To znaczy ty piłabyś herbatę, a ja kawę. Sprawdzę konie, a ty możesz przebrać się w dzinsy i wziąć płaszcz od deszczu.

- Dobrze. - Emily zobaczyła, że Megan i Brittany wdrapały się już na wóz Sherry i zapaliły lampę. - Zamienię parę słów z dziewczętami, rozpalę ognisko i nastawię wodę. Sherry ma kawę instant, to od niej pożyczę.

- Emily, ja rozpalę ogień i nastawię wodę - zapowiedział. - Nie myśl, że chciałem cię naciągnąć na zrobienie mi kawy.

- Jak sobie chcesz. Nie będę dawała prztyczka w nos mężczyźnie, który usiłuje czegoś dowieść.

Pobiegła, a Camp westchnął. Najwyraźniej nie wzięła jego słów za dobrą monetę. Wciąż wierzyła Sherry, bo inaczej nie rzuciłaby takiej uwagi na odchodnym. Patrząc na jej kołyszące się lekko biodra, uzmysłowił sobie, że chciałby, aby Emily dobrze o nim myślała. Więcej niż dobrze, przyznał w duchu.

Przeszedł się między niespokojnymi końmi, sprawdzając, czy są dobrze spętane. Zygzak błyskawicy rozdarł niebo, oświetlając trawiaste zbocze, na którym się pasły. Cholera, pomyślał, ta burza tak szybko nadchodzi. Zastanawiał się, czy konie mogą zostać na otwartym terenie. Pokręcił się jeszcze chwilę, ale ponieważ więcej się nie błyskało, obszedł dokoła całe stado i ruszył z powrotem do wozów. Nadlatujący z wiatrem aromat kawy mile połaskotał mu nozdrza.

Ogarnęły go wyrzuty sumienia, że tak długo zabawił przy koniach po tym, jak obiecywał, że rozpali ognisko i zaparzy kawę. Skręcił do strumienia, by umyć ręce, i zaskoczyło go, że fale obmywają górną krawędź brzegu. Gdy brał wodę do golenia, strumień płynął leniwie i ledwie się marszczył, a teraz jego poziom znacznie się podniósł. Maizie nie ma, musi więc zaalarmować Roberta.

Emily powitała uśmiechem wybiegającego spomiędzy drzew Campa.

- Już miałam iść cię szukać. Myślałam, że porwał cię dziki zwierz.

Grube krople wpadały z sykiem w ogień.

- Strumień podniósł się o jakieś piętnaście centymetrów. Zawiadomię Roberta.

- Dziwne, że nie widziałeś jego i Maizie. Poszli sprawdzić stan wody. Maizie wyszła od przyjaciół, kiedy dowiedziała się o burzy. Powiedziała, że jeśli do rana deszcz nie ustanie, skrócimy pobyt w Council Grove. Wiem od Roberta, że nasłuchiwała się z tego powodu wyrzutów.

- Domyślam się czyich. Czy Maizie mówiła, jakie możemy mieć kłopoty?

- Nie rozwodziła się nad tym. Niepokoją ją nisko położone grunty wokół Diamond Springs. Robert mówił o ciężkiej przeprawie przez rzekę Arkansas podczas burzy.

Camp przykucnął i przyjął z rąk Emily filiżankę.

- Myślałem, że właśnie dlatego wyposażyli wozy w opony balonowe zamiast standardowych kół. Żebyśmy nie ugrzęźli przy deszczowej pogodzie.

- Nic więcej nie wiem. Kiedy wrócą, to ich spytasz - powiedziała, zalewając wodą torebkę z herbatą.

- Uhm - mruknął i podmuchał na kawę. Miał nadzieję, że nie wrócą tak od razu. Bo jeżeli Maizie każe jechać, to pojedą. A jeszcze mocno nie padało i chciał spędzić parę chwil z Emily.

- Niewygodnie ci, Camp. Wystawiłam cztery składane krzesła. Nie mogłam znaleźć kawy u Sherry, więc zaparzyłam w garnuszku. Zaprosiłam też Maizie i Roberta, żeby przysiedli się do nas.

- Uhm - mruknął znowu.

Ledwie wziął krzesło od Emily i usiadł, z wozu Sherry wyskoczyła Brittany i skierowała się w ich stronę.

- Zdaje się, że nasz pomysł zatacza coraz szersze kręgi - wymamrotał. - Czego ona może chcieć?

Emily założyła nogę na nogę. Na jej twarzy odmalowało się zaciekawienie, gdy Brittany bez pytania wzięła krzesło i wcisnęła się między Emily i Campa.

- Poczulałam zapach kawy, choć Megan narobiła smrodu zmywaczem do paznokci. Zawsze piję kawę przez północ. Głupio było rozpalać ognisko tylko dla mnie. Chyba nie macie nic przeciw temu, że się do was wproszę?

Z kieszeni kurtki wyjęła filiżankę i napełniła po sam brzeg. Camp okazał irytację, Emily tylko się uśmiechnęła.

- Rodeo było niesamowite - zawołała Brittany, zwracając się do Campa i szczegółowo relacjonując wszystkie konkurencje. Przerywała tylko po to, by złapać oddech i łyknąć kawy.

Emily poczuła się wyłączona z towarzystwa, więc po chwili wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem, wypatrując Roberta i Maizie. Camp poderwał się, żeby dorzucić do ognia.

- Mogłabyś odesłać ją do łóżka? - szepnął błagalnie do Emily.

- Ja? - Zerknęła przez ramię na Brittany, przedstawiającą obraz dziewczęcej niewinności.

- Tak, ty. To oczywiste, że przyszła na prośbę Megan. Żeby być naszą przyzwoitką.

- Tak. - Emily spojrzała na wóz, w którym Megan niby to malowała paznokcie, i dostrzegła ciemną głowę, która szybko cofnęła się do środka. - Rzeczywiście.

- Poczekamy, aż im się znudzi? - spytał szeptem.

- Hej, to nieładnie mieć sekrety - rzekła z wyrzutem Brittany. - Camp, przyniosłam ci moje notatki. - Wyciągnęła z kieszeni pogniecione kartki. - I Sherry też. Aha, Sherry kazała również oddać notatki Giny.

Emily przygryzła wargi.

- Do diabła, nie wypełniłam ankiety. Zrobię to teraz. Camp usiłował przytrzymać ją za rękę, ale było za późno.

Postawiła filiżankę na bierwionie i pomknęła do wozu. Camp poruszył płonące polana i niechętnie usiadł znów obok Brittany. Nalała sobie drugą filiżankę, niedbale przysuwając krzesło bliżej Campa.

- Jakie prace będę musiała napisać w jesiennym semestrze? Chciałabym postarać się lepiej od koleżanek. Z twoją pomocą, oczywiście - dodała.

Zakrztusił się i opryskał kawą džinsy. Brittany ani razu nie oddała w terminie pracy na jego zajęciach.

- Postanowiłam zmienić coś w swoim życiu - rzekła słodko, jakby czytała w jego myślach.

- Świetnie. - Przykleił do twarzy najmiłszy profesorski uśmiech. - Będziemy przerabiać temat „forty”. Nasza wyprawa prowadzi obok kilku. Nie mogę jednak udzielać ci indywidualnych konsultacji, bo to nie byłoby w porządku wobec reszty studentów. Z twojej opowieści o

rodeo wyszłoby nieźle wypracowanie z angielskiego. Idź szybko do wozu i zrób teraz notatki, zanim wszystko zapomnisz.

- Taa, pewnie - rzekła przeciągle. - Chcesz się mnie pozbyć, żebyś mógł się migdalić z panią Benton.

Już chciał jej wygarnąć, że to wyłącznie jego sprawa, ledwie jednak otworzył usta, w krąg światła wkroczyli Maizie i Robert, przynosząc zapach mokrego lasu.

- Witam na Grand Central Station - wymamrotał, śledząc wzrokiem powracającą Emily.

Emily podała mu kartkę, skupiając całą uwagę na matce i synu, którzy oczyszczali buty z błota.

- Zanotowałam pobieżnie wrażenia z naszej wycieczki - rzekła obojętnym tonem. - Jutro dopiszę więcej, jeśli trzeba.

- Wyruszymy o brzasku - oznajmiła zachrypnięta Maizie. - Rzeka przybiera i przelewa się do naszego strumienia. Obudzę wszystkich, żeby im o tym powiedzieć. Robert jedzie do miasta przekazać wiadomość do hotelu. Zabierz z sobą kawę, synu.

- Co z Giną? - spytała Emily. - Powinna chyba odpocząć jeszcze jeden dzień.

- Wolałabym, żeby tu została, ale i tak musimy dojechać jej wozem do Santa Fe. Wszystkie wozy są zamówione na trasę powrotną. Mark zabierze ją rano, kiedy będziemy przejeżdżać przez miasto. Nie ma sensu ściągać jej teraz.

- Mark nie jest doświadczonym woźnicą. Spodziewasz się trudności z powodu pogody? - Emily odruchowo przysunęła się do Campa.

Objął ją w pasie, drugą ręką napełnił filiżanki dla Maizie i Roberta. Robert podziękował, cofając się od ogniska, pomachał ręką i poczłapał przez kałuże. Maizie pociągnęła rozgrzewający łyk.

- Zawsze spodziewam się kłopotów w związku z pogodą - odparła. - Czasem spotyka mnie miłe rozczarowanie, a czasem nie. Jesteśmy o wiele lepiej wyposażeni od pionierów. Jeżeli nie damy rady przeprawić się przez Arkansas, to przynajmniej nie będziemy walczyć z bandą bezwzględnych złodziei. Dzięki za kawę, Campbell. Napełnij termos. To będzie bardzo długa noc.

Camp trącił garnek i rozchlapał kawę.

- Jak to: długa noc?

- Słyszysz, że coraz głośniejsz grzmi? Kiwnął głową.

- Do powrotu Roberta jesteś mi potrzebny przy koniach. Umiesz śpiewać, chłopcze? Kowboje śpiewają ballady swoim koniom w czasie burzy. Bo ja miauczę jak kot, któremu przytrzaśnięto drzwiami ogon.

- Mam nadzieję, że żartujesz - rzekł Camp i w tej samej chwili spostrzegł, że Maizie mówi serio.

- Pożartowałabym, ale nie mogę. Kiepsko będziemy wyglądali, jeżeli konie wpadną w popłoch. Skąd miałam wiedzieć, że Fil do niczego się nie nadaje i że będziemy rozdzieleni, kiedy akurat zebrało się na burzę.

Emily stanęła na palcach.

- Ja pomogę przy koniach.

- Zrobisz to? Dwoje z nas będzie objeżdżało konie w przeciwnych kierunkach, a jedna osoba będzie dokładała do ognia i parzyła kawę. Co pół godziny będziemy się zmieniać, aż wróci Robert.

Camp chwycił Emily za przegub i obrócił do siebie.

- Nie zrobisz tego. Stado spłoszonych koni jest zbyt niebezpieczne dla kobiety.

W oczach Emily zamigotały wojownicze iskierki.

- A Maizie to niby kim jest? Camp nerwowo przełknął ślinę.

- Przepraszam, Maizie, ale ty masz doświadczenie.

- A ty jesteś Clintem Eastwoodem? - sarknęła Emily, wyraźnie rozzłoszczona.

- Bądź rozsądna, Emily.

- Jestem rozsądna. To ty masz za dużo testosteronu. Poza tym, jeśli chcesz wiedzieć, nie fałszuję, kiedy śpiewam.

Maizie wystawiła twarz na deszcz i gromko się zaśmiała.

- Podoba mi się to przedstawienie, ale muszę je przerwać. Ostatnia błyskawica walnęła o tam, w drzewa. Emily, my we dwie obejmujemy pierwszy dyżur. - Maizie wyszczerzyła zęby do Campa. - Będziesz miał czas ochłonać, synu.

Emily złożyła dwa krzesła i oparła je o wóz, żeby nie zamoczyły się siedzenia. Brittany przysunęła swoje krzesło bliżej ogniska.

- Niech sobie Emily odgrywa Annie Oakley. Ja ci dotrzymam towarzystwa, Camp.

Maizie wzięła Brittany pod pachy i postawiła na nogi.

- Jeżeli nie idziesz spać, to też możesz pomóc. Czwarta osoba przyda się nam przy robieniu zmian.

W pierwszej chwili Brittany myślała, że Maizie żartuje. Kiedy stało się jasne, że nie, wyrwała się i czmychnęła. Camp, zdenerwowany uporem Emily i nagłym grzmotem, od którego zadrżała ziemia, przysunął twarz do twarzy Maizie.

- Nie mogę powstrzymać Emily, ale nie będę siedział przy ognisku, kiedy wy będziecie nadstawiały karku.

Oczy Maizie błysnęły.

- Więc przestań głądzić i siodłaj konia. Im więcej jeźdźców, tym mniej prawdopodobne, że te bestie się spłoszą.

Gdy nadszedł ranek, Camp był tak przemarznięty i obolały, że nie wiedział, czy siedzi przodem czy tyłem do łba konia. Strumień wystąpił z brzegów i park zamienił się częściowo w płytką sadzawkę.

W nocy gęsty deszcz wygasił ognisko. Gromy i błyskawice nie pozwalały jeźdźcom, utrzymującym zaprzęgowe konie w zwartym stadzie, przejmować się brakiem kawy. Emily pośpieszyła z pomocą Harvowi, który próbował rozpalić ogień.

- Dajcie spokój - rzuciła ostro Maizie. - Napijemy się kawy w mieście.

Mark i Jared narzekali, że nie będą jedli suma na śniadanie. Kiedy zaprzęgli konie, pojechali do miasta i zabrali Ginę, lecz nawet płaszcze przeciwdeszczowe nie chroniły ich przed ulewnym deszczem.

W południe koła wozów grzęzły po kołpaki, a jak okiem sięgnąć, nie było widać nawet jednego drzewa, pod którym konie lub podróżni mogliby znaleźć chwilę wytchnienia od lejących się z nieba strug wody. Camp zjadł w porze lunchu zimnego hot doga. Bułka przemiękła, nim doniósł ją do ust.

Wszyscy byli tak podminowani, że Maizie zarządziła koniec jazdy, zanim dotarli do rzeki Arkansas.

- I tak nie damy rady się przeprawić - wyjaśniła.

- A jak mamy rozpalić ogień w tej brei? - krzyknął Fil.

- Zaraz pokażę - oznajmiła Emily. - Wszyscy mamy płachty brezentu. Trzeba je rozciągnąć między wozami.

Jej siła zdumiała Campa. Mimo zmęczenia zrobił to, o co prosiła. Wszyscy podziwiali też pomysłowość Emily, która wzięła suche drewno z wozu i rozpałała małe ognisko w największym żeliwnym

garnku. Wkrótce pili świeżo zaparzoną kawę. Potem Emily rozmieszała dużą porcję mąki kukurydzianej z cebulą i kawałkami szynki, ugotowała błyskawiczne danie i wszystkich poczęstowała.

- Nieźle sobie radzisz, dziewczyno - powiedziała Maizie, zajadając, aż jej się uszy trzęsły. - Kazałam Robertowi rozdać suszone mięso, ale przyjemniej jest rozgrzać brzuch ciepłą strawą.

Inni też zachwalali kucharkę, ale nikt poza Campem nie kwapił się do pomocy w zmywaniu.

- Nie wychodź na deszcz! - Emily wyszarpnęła mu z rąk stertę talerzy i wrzuciła je do miski z gorącą wodą. Pogłaskał jej mokry od deszczu policzek.

- Ale to jedyna okazja, żeby być z tobą sam na sam. Emily poczuła w sobie ciepło, gdy nachylił się, by dotknąć jej chłodnych ust. Nawet nie zauważyła, że kapie im na nos z daszków czapek. Nie zwracali uwagi, że miska napelnia się deszczówką. Tulili się coraz mocniej, nie przerywając pocałunku. Rozdzielił ich jękliwy głos Megan.

- Mamo, zamierzasz stać na deszczu całą noc? Oddychając głęboko, Emily chwyciła ręką połę płaszcza, które nie wiadomo kiedy się rozchyliły. Zajrzała Campowi w oczy - ciemne i niebezpieczne.

- Przecież leje - szepnęła. - Co my robimy?

- Nie chcę się z tobą rozstawać. Powiedz Megan, żeby dała ci spokój.

- Chętnie bym to zrobiła, ale jeżeli zostaniemy tutaj, nabawimy się zapalenia płuc.

Widział, że ona tak samo niechętnie myśli o przerwaniu tego, co zaczęli. To mu wystarczyło, przynajmniej na razie.

- Mama przyjdzie, jak tylko pozmywamy - zawołał do Megan. - Chyba że chcesz wyjść i mnie zastąpić.

Zgodnie z oczekiwaniami odpowiedziało mu milczenie. Jeszcze kilka razy ucałował Emily, nim potop z nieba zmusił ich do rozstania.

Nie spał drugą noc z rzędu, ale tej nocy wypełniał mu głowę smak i zapach Emily Benton. Zadurzył się. Może zbyt prędko jak na kogoś, kto podpadł jej pierworodnej.

Rozdział 9

Podobno w czasie przeprawy przez rzekę kobiety zajmowały się robótkami na drutach, a całą brudną robotę odwalali mężczyźni.

Cytat z książki, którą Sherry kupiła w mieście.

Przez pięć dni tabor brnął przez podmokłe tereny uprawne. Koła wozów wpadały w błotniste dziury. Wszyscy, niezależnie od wieku i płci, tonęli po kostki w błocie, by pomóc pchnąć unieruchomiony wóz. Najważniejsze było posuwać się naprzód.

Brittany i Megan jęczały, stękały i narzekały tak głośno, że zniechęcały do siebie nawet tych, którzy mogliby przyznać, że wyprawa przestała być przyjemnością.

Zwłaszcza Camp miał ochotę udusić obie niemrawe panny. Nie dość, że narzekały od świtu do nocy, to jeszcze ubrdały sobie, że będą pilnować jego i Emily. Zawsze znalazły sposób, żeby udaremnić jego starannie przygotowany plan spędzenia kilku chwil sam na sam z Emily, jeszcze zanim wprowadził go w życie.

Emily kwitowała te podchody śmiechem.

- Świetnie się bawię, Camp. Zwykle Megan okazuje mi taką obojętność, jakbym w ogóle nie istniała.

Camp doturlał pustą beczkę na wodę do brzegu wozu Giny.

- Cieszę się, że tak cię bawi technika z „Chłopaków Hardy'ego”.

- Nancy Drew - powiedziała Emily, żeby rozładować jego złość. Chciała mu pomóc zestawić beczki na ziemię.

- Co?

- Wzorują się na dziewczynie detektywie, nie na chłopakach.

- Przed tą wyprawą nie zdawałem sobie sprawy, jak łatwo jest nadepnąć komuś na odcisk w wojnie między mężczyznami a kobietami. Puść tę beczkę. Jest za ciężka dla ciebie.

Nachylił się i zaczął toczyć beczkę do beczkowozu Terrilla Boone'a. Środkowy syn Maizie miał bardzo odpowiedzialne zadanie - dostarczać świeżą wodę na miejsce postoju pod Fort Larned. Sprowadził też weterynarza. Zła pogoda dała się mocno we znaki koniom. Weterynarz stwierdził u kilku naciągnięte ścięgna i kazał dać im odpocząć. Camp czuł, że sam będzie potrzebował dłuższego odpoczynku, jeżeli przetoczy jeszcze kilka dębowych beczek z wodą.

- Kto podsyca wojnę między mężczyznami a kobietami? - spytała Emily. - Na pewno nie kobiety.

- Ciekawe spostrzeżenie. Chętnie je zanalizuję, jeżeli uda nam się kiedyś pobyć sam na sam. Musimy porozmawiać, Emily.

- O czym? O tym, że się zabijesz przy tych beczkach? Może byś podłożył coś, co ułatwiałoby ślizg? - zaproponowała rzeczowo. - Kiedy poszliśmy dziś rano do miasteczka zrobić pranie, widziałam w sklepie ze starociami sanki. Czy nie ślizgałyby się po błocie?

- Może. - Camp zastanowił się chwilę. Najbardziej pociągało go, że Emily byłaby potrzebna, aby wskazać drogę do sklepu. - Napełnię beczkę, a potem pokażesz mi, gdzie widziałaś sanki, dobrze?

- Dobrze. - Jej twarz powoli rozjaśnił uśmiech. - Widzę, że mocno nad czymś myślisz, Campbell.

- Ciii. Nie tak głośno. Tutaj nawet wiatr ma uszy.

- Aa... zamierzasz wyrwać się naszym szpiegom?

- Otóż to - potwierdził. - Spotkajmy się przy moście na odpływie Pawnee.

Emily z nadzieją zerknęła na niebo.

- Wreszcie się przejaśnia. Chciałabym obejrzeć oryginalne koleiny, które gdzieś tu się podobno zachowały.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Sherry wynajęła samochód, żeby zawieźć Ginę, Doris i Vi do fortu. My też moglibyśmy to zrobić. Terrill dziś tu nocuje. Później napełnię beczki. Umyję się tylko trochę, bo może zechcemy zjeść coś w mieście.

- Wyglądam tak nieporządnie, że nie wpuszczą mnie do żadnego szanującego się baru.

- Wcale nie. - Camp ustawił beczkę na platformie do napełniania i powędrował spojrzeniem od twarzy Emily aż do jej stóp. - Wyglądasz... wspaniale.

- Przestań, to krępujące.

Z uśmiechem położył dłonie w ochronnych rękawicach na ramionach Emily i już miał ją pocałować, gdy nagle podskoczył, bo zza beczkowitzu wypadła Megan.

- Mamo! - zawołała, szarpiąc Emily, jakby chciała ją sprzątnąć Campowi sprzed nosa. - Zmieniłam zdanie, chcę zobaczyć fort. Możemy zaraz pojechać?

Emily odgarnęła włosy z czoła.

- Rano tupałaś i nie chciałaś słuchać o zwiedzaniu fortu razem z Sherry, a ja teraz mam inne plany.

- Jakie plany? - Megan rzuciła złe spojrzenie Campowi, który dzielnie dawał jej znaki zza pleców Emily, by umilkła. Ale bezskutecznie.

- Dziś rano - odparła Emily - widziałam w sklepie ze starociami sanki, które mogą się przydać do przeciągania beczek z wodą. I właśnie chciałam pokazać je Campowi.

- No to nie ma problemu. - Megan pstryknęła palcami. - Brittany i ja wybierzemy się razem z wami. Jego zostawimy w sklepie, a same pójdziemy do fortu. Co ty na to, Brit?

Usłyszawszy swe imię, druga dziewczyna wyszła zza beczkowitzu. Camp zajął się napełnianiem beczki. Czuł na sobie błagalne spojrzenie Emily, ale nie miał ochoty stawiać czoła kolejnemu popisowi manipulacji w wykonaniu Megan.

- Pojedźcie we trzy, obejrzyjcie, co jest do obejrzenia, a ja z Robertem uporam się z resztą beczek.

Emily ogarnął smutek. Tak się cieszyła na wspólne popołudnie z Campem. Nie dała się nabrać na okazane przez Megan nagłe zainteresowanie fortem, ale przecież - westchnęła - jedynym powodem wyruszenia na wyprawę była poprawa stosunków z dziećmi.

- Uczeszę się i wezmę torebkę - rzekła z rezygnacją. - A sanki... - zwróciła się do Campa - są na Ósmej Ulicy.

Skinął głową, nie odzywając się z obawy, że głos mu zdrzży. Spojrzał tęsknie w stronę Emily, która obejrzała się na niego rozmarzona. Patrzyli sobie w oczy przez kilkanaście sekund. Wreszcie oderwał wzrok od Emily i gdy stanął twarzą w twarz z zadowolonymi konspiratorkami, z trudem powstrzymał się od wyładowania gniewu. Ale użeranie się z Megan nie było właściwą drogą do serca Emily, zmusił się więc, aby powiedzieć wielkodusznie:

- Bawcie się dobrze, dziewczyny.

- Oczywiście! - odparła Megan, całkowicie panując nad głosem.

Drugi rano w Fort Larned przyniósł czyste niebo i krwistoczerwone słońce, napełniając znużonych wędrowców nową ochotą do życia. Miejscem następnego postoju było Dodge City. Maizie obiecała przerwę obejmującą weekend ze świętem Czwartego Lipca.

Cały dzień posuwali się naprzód przez mgliste opary unoszące się nad mokrą ziemią. Camp zastanawiał się, jak by tu czmychnąć gdzieś

w mieście razem z Emily. Dla miłośników dawnego Dzikiego Zachodu sama nazwa Dodge City - zwanego też stolicą kowbojów - miała romantyczną aurę tajemniczości. Z pewnością powinno tam być dość atrakcji dla dwóch żądnych wrażeń dziewcząt. A w związku z obchodami Czwartego Lipca należało się spodziewać wielkiego pokazu sztucznych ogni.

Gdyby rozrywki nie odciągnęły dziewcząt, mógłby porwać Emily do starego fortu. Dziewczęta długo narzekały, jak nudno było w Fort Larned. Megan oznajmiła, że zobaczyć jeden fort to zobaczyć je wszystkie.

Camp był zdeterminowany postawić na swoim.

Na spotkanie kawalkady wozów wyszedł na skraj miasta burmistrz i tłum ciekawskich. Pierwszy raz Maizie ustawiła tabor w koło i w jego obrębie nakazała zostawić wyprzęgnięte i spętane konie. Burmistrz miał zamiar ofiarować jej klucz do Dodge City.

- Świetnie się składa - szepnął Camp do Emily. - Po tym wszystkim skorzystamy z zamieszania i wymkniemy się. Nikt nie zauważy, że nas nie ma.

- Jesteś pewien? - Emily nie była przekonana.

Camp nie przypuszczał, że rodzona siostra pokrzyżuje mu plany.

- Miłe panie! - zawołała Sherry, obchodząc miejskie szychy i zagarniając w jedno miejsce Emily, Ginę i dwie nauczycielki. - Co powiecie na to, żebyśmy znów wynajęły samochód? W miejscowym college'u jest metalowa rzeźba „Kobieta z Równin”. Stamtąd możemy przejść do Galerii Najsławniejszych Nauczycieli Kansas, a potem do starego fortu.

Emily spojrzała zrozpaczona na Campa, a jemu aż zrobiło się słabo, bo nie mógł sprzeciwić się planom Sherry. Pionierki są przecież tematem jego pracy. Pomyślał szybko i spytał:

- Hej, siostrzyczko, nie masz nic przeciwko temu, żebym się z wami zabrał?

W tym momencie wtrąciła się Brittany, wskazując palcem Sherry:

- Ona zaprosiła najpierw Megan i mnie. Nie starczy dla ciebie miejsca, chyba że usiądziesz komuś na kolanach.

Sherry wetknęła palec w ucho i potrząsnęła nim, jakby miała kłopoty ze słuchem.

- Przepraszam cię, Brittany. Pięć minut temu zaklinałaś się, że za nic w świecie nie będziecie łązić po mieście z tymi „mózgowcami”, jak się wyraziłaś.

- Mam... Omówiliśmy sprawę i doszliśmy do wniosku, że to nam się potem przyda w szkole. - Brittany patrzyła tylko na Sherry, unikając twardego spojrzenia Campa.

- Mam pomysł - rzekł, zakładając przed sobą ręce. - Wynajmę furgon. Wszyscy się zmieszczą. Postaramy się o taki ze spuszczaną platformą na wózek Giny.

Gina rozpromieniła się.

- Wspaniała myśl. W Fort Larned były problemy. Kiedy powiedziałam chłopcom, że dzisiaj nie jadę, poczuli się zawiedzeni.

Camp starał się ukryć zadowolenie, że przechytrzył dziewczyny, które myślały, że są mistrzyniami manipulacji.

- A więc postanowione. Spotkamy się za pół godziny przed budynkiem stacji kolejowej Santa Fe. - Pogwizdując odszedł, nim Brittany i Megan obmyśliły, jak storpedować jego plan spędzenia dnia razem z Emily.

Wszyscy zmieścili się wygodnie w mikrobusie dla dwunastu pasażerów. Camp wiedział, że dziewczyny są wściekle, bo postarał się, by Emily usiadła obok niego z przodu. Inni zajęli się ładowaniem sprzętu fotograficznego Giny, więc nie zauważyli obrażonych min Megan i Brittany. Camp je po prostu zignorował.

- Ale fajnie! - zawołał Mark, kiedy Camp wjechał na parking przy Galerii Najślawniejszych Nauczycieli. - Tu obok jest muzeum rewolwerowców. Czy możemy tam wstąpić z Jaredem, kiedy wy pójdziecie do college'u i fortu? Jesteśmy akurat naprzeciwko skansenu „Umarłych w Butach”. Poszwendamy się po mieście i spotkamy na pokazie ogni sztucznych, dobrze?

Ponieważ prośba była adresowana do Emily, Camp szukał dalej wolnego miejsca do zaparkowania. Kiedy je znalazł, Emily nadal nie odpowiedziała synowi. Chłopcy siedzieli na brzeжку foteli, czekając w napięciu na decyzję. Emily zapewne bała się puścić ich samych na zatłoczone ulice.

- Może Brittany i Megan też wolałyby popatrzeć na woskowe figury rewolwerowców, a potem pobuszować po starych sklepikach w skansenie - rzekł lekko Camp. - Burmistrz zapowiadał walki

rewolwerowców na niby i wiele atrakcji przez cały dzień. - Starał się mówić tak, żeby nie dało się wyczytać z głosu, że ma jakiś ukryty cel.

Tym razem Sherry nieświadomie mu się przysłużyła.

- Chcesz, żeby się gapiły na kankana w wykonaniu panny Kitty i jej tancerek? I to ma im pomóc w nauce? Doprawdy, Nolan, tam jest po prostu jeszcze jedno wesołe miasteczko.

Camp rozłożył ręce.

- Masz rację. Więcej skorzystają z wycieczki do fortu niż z oglądania aktorów dramatyzujących legendy, które być może nie mają pokrycia w prawdzie.

- Nie obejrzałyby starych śladów zostawionych na prerii - dodała Doris.

- I co z tego? - jęknął głośno Mark. - Czy ja i Jared musimy się wlec do głupich kolein, bo Brittany i Megan udają dorosłe?

- Gdyby to nie był świąteczny weekend - wymamrotała Emily. - W mieście jest tylu ludzi.

- Gdybym nie miała kłody zamiast nogi, wybrałabym się z chłopcami - oznajmiła Gina, zadziwiając wszystkich. - Wolałabym przejechać się prawdziwym dyliżansem i nauczyć kankana. Żona burmistrza mówiła, że tancerki panny Kitty będą udzielały darmowych lekcji.

Megan i Brittany popatrzyły po sobie.

- Darmowych lekcji? - powtórzyła słabym głosem Brittany. - Co o tym myślisz, Megan?

Camp wyczuł, że dziewczęta się wahają. Z udaną obojętnością otworzył drzwi mikrobusu.

- Zostańcie i sprzeczczaście się, jeśli chcecie. Ja idę zobaczyć, czym zasłużyli na uznanie nauczyciele w Kansas.

Ta ostatnia uwaga przeważyla szalę. Dziewczęta zaczęły krzyczeć, że chcą koniecznie iść z Jaredem i Markiem.

- Robimy to, żebyś się nie martwiła, mamó - powiedziała Megan do Emily.

Akurat, pomyślał Camp, ale niczego nie dał po sobie poznać.

- Tak, pani Benton - pisnęła Brittany. - To była ciężka decyzja. A może pani pójdzie z nami? Wtedy jutro wybrałybyśmy się do fortu, jak w Fort Larned.

- Brittany! - Megan pokręciła głową.

Camp wstrzymał oddech, pomagając Vi wsiąść.

- Dziękuję, że to zaproponowałaś, Brittany. Okropnie wam się nudziło w Fort Larned. A po drodze są jeszcze inne forty. Idźcie i bawcie się dobrze. Ale o piątej spotykamy się przy wejściu do skansenu „Umarłych w Butach”. Czy... któraś z was potrzebuje pieniędzy?

Lepiej nie wyrywać się z ich ofiarowywaniem... Camp z radością w sercu czekał cichutko z boku.

Kiedy młodzież odeszła, starsi wybrali się do muzeum nauczycieli. Sherry pchała wózek Giny, Vi i Doris szły obok siebie, Campowi nie pozostało więc nic innego, jak kroczyć na końcu u boku Emily. Jeżeli miał jakieś wyrzuty sumienia, bo chciał usunąć dzieciaki z drogi, to utonęły one w radości, jaką dawało mu przebywanie w towarzystwie Emily. Rzadko się do siebie odzywali, ale czasem spotykały się ich ręce albo spojrzenia. Kiedy obeszli już skansen, czuli się razem jak starzy przyjaciele.

- Jestem głodna - oznajmiła Gina, kiedy oddalili się od rzeźby i skierowali w stronę fortu. - O, patrzcie! Bar sałatkowy z podjazdem dla inwalidów.

- Dobra myśl - powiedziała Sherry. Vi klasnęła w ręce.

- To obok restauracji ze stekami, którą polecała moja znajoma.

Emily skrzywiła się.

- Nie jestem bardzo głodna. Po drugiej stronie ulicy jest kawiarenka z mrożonym jogurtem. Chętnie posiedzę przy stoliku na słońcu.

- Mnie to odpowiada. - Camp potarł ręką płaski brzuch. - Niech ktoś wyznaczy czas spotkania.

Emily oderwała wzrok od Campa. Sherry spojrzała na zegarek.

- Najdłużej trwa jedzenie steku. Czy półtorej godziny wszystkim wystarczy? Minęliśmy ciekawy sklep z ciuchami. Zajrzymy tam z Giną, kiedy zjemy. Chcesz iść z nami, Emily?

Camp pogodził się z myślą, że się rozstaną. Jeszcze nie spotkał kobiety, której nie kusiłyby zakupy.

- Niczego nie potrzebuję, a nie chcę wystawiać się na pokusę. Może namówię Campa na wypad do centrum sztuki Carnegiego.

- Świetnie - zgodził się Camp bez wahania. - Chociaż trudno mi uwierzyć, że Carnegie ufundował centrum sztuki w słynącym z bezprawia mieście poganiaczy bydła.

- Bezprawiu położono kres dwadzieścia lat wcześniej, zanim Carnegie przekazał fundusze - wtrąciła Doris.

- Niech będzie - rzekł Camp z uśmiechem. Sherry przewróciła oczami.

- Też mi historyk. Będziemy musiały przeczytać ten artykuł, który pisze. Emily, zajmiesz się poprawkami.

Camp położył rękę na ramionach Emily.

- Trudne zadanie, ale wybrałaś właściwą osobę. Ta pani jest niezłomna jak stal.

Emily ze śmiechem dała mu kuksańca. Nie strąciwszy ręki Campa, poddała się.

- Jeżeli się nie ruszymy, przegadamy cały wolny czas. Do zobaczenia później. - Oboje przebiegli przez ulicę, nie dostrzegając dziwnego spojrzenia Sherry.

W końcu Camp i Emily nie usiedli na słońcu z filiżankami jogurtu, tylko kupili rożki z wafla i zaczęli spacerować ulicami, przystając w cieniu drzew i odczytując historyczne tablice. W oddali zabrzmiały werble. Po chwili orkiestra dęta zagrała patriotyczną pieśń. Muzyka przycichła, kiedy podeszli do centrum sztuki, a potem znów zabrzmiała głośniej, gdy przecięli brukowaną ulicę i zajrzeli do sądu okręgu Ford, gdzie doprowadzono przed oblicze sprawiedliwości tylu przestępców.

- Czujesz krążące tu duchy rewolwerowców? - spytała cicho Emily.

- Ciarki cię przeszły? Czujesz się, jakby owionął cię chłodny powiew, choć nie ma wiatru?

Kiwnęła głową, instynktownie przytulając się do niego. Pogładził jej rękę, w górę i w dół, jakby chciał ją rozgrzać.

- Czuję to samo, kiedy ze szkolnym kołem historycznym pojechaliśmy do jaskiń Meramec pod Sullivan w Missouri.

Przewodnik powiedział, że jaskinie służyły za kryjówkę Jesse'owi Jamesowi. Kiedy zajrzałem do pierwszej jaskini, zobaczyłem skulonych ze strachu niewolników. Widziałem ich, jakby naprawdę tam byli. To mnie zupełnie poraziło. Przewodnik opowiedział, że oddziały Unii przechowywały tam proch podczas wojny domowej, i że jaskinie były częścią „kolei podziemnej” dla przetrzucanych na północ niewolników. Jesse James był tam tylko raz, i to krótko. -

Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Przez resztę wycieczki wszyscy mnie unikali.

- Och, Camp! Musiałeś się okropnie przestraszyć.

- Tak, ale moi rodzice znaleźli wytłumaczenie. Wywodzą się ze szkockiego rodu o wielkiej intuicji. Ojciec wyjaśnił, że silne dusze z dawnych czasów sięgają w przyszłość, żebyśmy mogli wyciągać wnioski z doświadczeń. Mnie się to wydało sensowne.

- Taaak - rzekła zamyślona Emily.

- Nie odstraszyłem cię?

- Nie. A powinieneś? Nie rozumiem tylko dlaczego, mając w żyłach szkocką krew, nie zostałeś napiętnowany rudymi włosami i piegami na twarzy? - Wyciągnęła rękę i potargała mu ciemne włosy.

Camp głośno wypuścił powietrze z płuc, bo zdawało mu się, że słyszy uszczypliwą uwagę Greta.

- Już myślałem, że powiesz „masz nie po kolei w głowie”. Komu przeszkadzają piegi? Ty masz bardzo ładne.

- Ha! Dzieci nie wołały na ciebie rudzielec i piegus.

Camp wpatrywał się w jej uniesioną twarz z takim pożądaniem, że Emily westchnęła. Czar prysł, gdy zza rogu wyszła orkiestra, którą wcześniej słyszeli. Trąbki i puzony grzmiały, aż drżał chodnik. Muzycy szli na czele świątecznej parady, której towarzyszył z obu stron tłum gapiów.

Campa zirytował clown, który podbiegł do Emily i rozśmieszył ją, wyciągając zza jej ucha monetę. A może bardziej zdenerwowało go to, że clown wyciągnął z rękawa bukiet jaskrawych, sztucznych kwiatów i ofiarował go „pięknej pani”.

Uśmiechnęła się z zachwytem, stanęła na palce i pocałowała clowna w umalowany na biało policzek. Z zazdrości zapragnął obsypać ją prawdziwymi kwiatami; zapragnął też czegoś więcej - mieć tyle mądrości i sprytu, żeby odgonić jej troski. Powinna częściej się śmiać!

Emily, wciąż się uśmiechając, puknęła palcem w zegarek i przekrzykując wrzawę przypomniała, że pora wracać. Musieli biec na miejsce spotkania, by się nie spóźnić. W biegu Emily upuściła papierowe kwiaty i potknęła się.

Camp zdążył ją przytrzymać, wziął kolorowy bukiet i - trzymając go tak, by go nie mogła dosięgnąć - zażądał całusa. Jednocześnie zaczął uciekać od niej tyłem.

Emily doskakiwała to z jednej, to z drugiej strony, próbując dosięgnąć kwiatów. Nie zanosiło się na to, że je odzyska, póki nie spełni wariackiej prośby, więc zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała prosto w usta.

Camp omal nie upuścił kwiatów, gdyż w pierwszej chwili dłoń opadła mu bezwładnie. Zaraz potem ścisnął bukiet, przysuwając go do pleców Emily, i wycisnął na jej ustach pocałunek, o którym marzył przez cały dzień. Nie wiadomo, jak długo trzymaliby się w objęciach, gdyby przechodzący młodzieniec nie gwizdnął głośno i przeciągle. Camp powoli oderwał się od Emily, a gdy się niechcący obejrzał, zobaczył skonfundowane uczestniczki wspólnej wycieczki, zebrane koło mikrobusu.

Najbardziej zdumiała się Sherry.

- Co się tu dzieje?

Camp pomachał bukietem pod nosem pań i wyjaśnił, że zakochany clown sprowokował go do takiego całusa dla żartów. Emily wyrwała mu kwiaty tak gwałtownie, że nie był pewien, czy doceniła jego starania. A przecież to dla jej dobra nie mówił nic o łączącej ich więzi - jeżeli można to nazwać więzią. Przede wszystkim nie chciał, by dokuczała jej Sherry. Pomyślał, że dobrze zrobił, kiedy siostra błyskawicznie zajęła miejsce na koźle.

- Dokąd teraz? - spytał żywo, nie zwracając uwagi na to, że Emily i Sherry milczą jak zakłete.

- Do fortu, Romeo! - wykrzyknęła Gina. - Stamtąd pójdziemy zobaczyć koleiny. Będzie jeszcze dostatecznie jasno, żeby zrobić zdjęcia.

Stary fort przetrwał między autostradą 154 i rzeką Arkansas. Budynki postawiono z wapienia wydobywanego na północ od miasta. Kiedy wysiedli z mikrobusu na parking, Sherry wzięła Emily pod rękę.

- Chodź ze mną na cmentarz. Słyszałam, że pochowano tu Bata Mastersona. Pomożesz mi znaleźć jego nagrobek. Nolan, zostaniesz z Giną. Na cmentarzu jest za grząsko dla wózka. Trzymajcie się ścieżek na terenie fortu.

Camp zgodził się, bo co mu pozostało? Rozumiał zachowanie Megan, a nawet zachowanie Brittany, która ubrdała sobie, że się w nim kocha. Ale co ugryzło Sherry? Zachodził w głowę, znajdując tam pustkę.

Kiedy pogodził się z zaistniałą sytuacją, stwierdził, że świetnie rozmawia mu się z Giną. Znała dużo faktów z historii Dodge City. Camp, Gina, Vi i Doris kończyli obchód fortu, gdy pojawiły się Emily i Sherry.

- Tyle łożenia na nic - westchnęła Sherry. - Sprzedawca w sklepie z pamiątkami powiedział, że to nie Bat Masterson jest tu pochowany, ale jego brat, który był szeryfem w Dodge.

- Dlaczego tak cię to interesuje? Chyba nie jesteśmy z nim spokrewnieni? - spytał żartem Camp.

- Nie, ale kiedy byłeś dzieckiem, strasznie cię ekscytowały zatechłe muzea. A mnie interesowały proce. Ucisz się, serce! - dodała ze śmiechem.

Camp prychnął.

- Gdybyś spotkała jednego z tych twardzieli z Dzikiego Zachodu, uciekałybyś, aż by się kurzyło.

- Tak ci się tylko zdaje, braciszku. Dawałam sobie radę, kiedy wybuchały sąsiedzkie awantury. Zapomniałeś pewnie, jak dałam w zęby Royowi Kellerowi i wróciłam na piechotę z potańcówki u Sadie Hawkins.

- Pamiętam tę historię. Biedakowi skończyła się benzyna.

- Próbował mnie wieźć jakoś dziwnie pokrętną drogą. Tłumaczył się też pokrętnie, więc dałam nogę. To nie moja wina, że musiał potem pchać samochód.

Kobiety chichotały, wracając do mikrobusu. Camp z trudem zagonił je do środka. Wesóły nastrój trwał do chwili, gdy wysiedli nieopodal kolein wyżłobionych przez tabory przejeżdżające przez Fort Dodge.

Wiatr hulał tam w najlepsze, nie napotykając na żadną przeszkodę. Weszli w wysoką po pas trawę, falującą na płaskiej równinie jak wody przyboju. Sześć głębokich kolein biegło prosto jak strzelił aż po siny horyzont, znikając z oczu w płynącym morzu traw. Campowi zdawało się, że słyszy płacz dzieci. A może to płakały pionierki rozdzielone z rodziną?

Kiedy napotkał spojrzenie Emily, dojrzał w jej oczach łzy i poznał, że ona czuje to samo. Wyciągnął do niej rękę i stali tak, połączeni z sobą i z przeszłością cienką nicią porozumienia, aż Gina odchrząknęła, a Sherry zakaszłała, przerywając tę wyjątkową chwilę. Camp z trudem wrócił na ziemię.

Powietrze było naładowane silnymi emocjami. Nikt się nie odezwał, kiedy wracali do miasta - zupełnie jakby każdy zaszył się w swoim kokonie. Camp zostawił kobiety przed wejściem do skansenu „Umarłych”, a sam pojechał oddać wynajęty samochód. Był pewien, że Emily zostanie z nim, lecz uległa namowom Sherry i wysiadła.

Zmierzch zagarniał pomarańczowe niebo, gdy Camp wracał na piechotę do skansenu. Kiedy wszedł do zabytkowej wioski, w sklepikach przy głównej ulicy zamigotały elektryczne lampy. Wkrótce znalazł panie. Słuchały wędrownych handlarzy głośno zachwalających towary.

Nadbiegli Mark i Jared, przepaszając za spóźnienie. Megan i Brittany przyszły w momencie, gdy Emily już miała wysłać kogoś na poszukiwania.

- Przepraszamy - wydyszały. - Musiałyśmy obejrzeć do końca strzelaninę. Faceci byli super, padali tak efektownie - wyjaśniła Megan.

- Idź, spraw sobie procę - rzekł Camp, szturchając Sherry.

- Ja zaklepałam tego w czarnym kapeluszu - powiedziała Brittany. - Chcemy go poprosić o autograf. Jeżeli pozwolicie nam tam wrócić, to zajmiemy wam miejsce przed saloonem „Pod Suchą Gałęzią”, skąd będzie dobrze widać fajerwerki.

Mark pociągnął Campa za rękaw.

- A widzieliście starą lokomotywę na końcu ulicy? Camp pokręcił głową.

- To ta sama, która zaczęła jeździć zamiast wozów szlakiem Santa Fe. Właziliśmy na nią razem z Jaredem. Mamo, musisz też ją zobaczyć.

- Gina? Interesuje cię ta lokomotywa? - spytała Emily.

- Wolałabym już być przed tym saloonem. Jestem trochę zmęczona.

- W saloonie podają sarsaparyllę - oznajmiła Megan. - Przyniosę, jeżeli ma pani ochotę się napić.

Wszyscy wybałuszyli oczy na dziewczynę, która nigdy z własnej woli nie proponowała, że coś zrobi.

Sherry położyła ręce na uchwyty wózka Giny.

- Przydałoby się ugasić pragnienie. Zmykajcie, dzieciaki. Ja i Gina dowiemy się, czy „Pod Suchą Gałęzią” podają coś mocniejszego niż sarsaparylla. Co ty na to, Emily?

- Pójdę z chłopcami. Jestem głodna, a dobiegł mnie zapach hot dogów w kukurydzianym chlebie. Zajmijcie dla mnie miejsce, przyjdę popatrzeć na fajerwerki.

- Dobrze - odparła Sherry. - A ty, Nolan? Na pewno chętnie wypijesz zimne piwo.

- Nie - wymówił się bez wahania. - Mark chce, żebym obejrzał lokomotywę. - Odszedł, nim Sherry wymyśliła jakiś inny pretekst, aby rozdzielić go z Emily.

Lokomotywa była rzeczywiście zabytkowa. Chłopcy z powagą opowiedzieli im to, czego zdążyli się dowiedzieć. Emily i Camp z uwagą słuchali objaśnień. Wszystko podziwiali, a potem chcieli iść dalej.

- Możemy jeszcze trochę zostać? - spytał błagalnie Mark. Emily tym razem dała się łatwo przekonać. Kazała im tylko przyrzec, że zjawią się przed saloonem, zanim rozpocznie się pokaz ogni sztucznych, i razem z Campem zaczęła się przeciskać przez tłum.

- Widzę sprzedawcę hot dogów. - Camp wziął Emily za rękę i pociągnął za sobą. - Są też ciepłe kanapki, jeżeli jesteś głodna.

- Patrz - zwolniła kroku - budka z pieczonymi ziemniakami. Jeżeli ja kupię ziemniaka, a ty ciepłą kanapkę, podzielimy się jednym i drugim.

Kupiłby nawet sushi, którego nie cierpiał, gdyby go o to poprosiła. Nie mógł oderwać od niej oczu, kiedy stanęli każde w swojej kolejce. Potem szli drewnianym chodnikiem, zaabsorbowani sobą. Całował ją ukradkowo, kiedy tylko się dało. A może nie były to wcale całusy kradzione? Po którymś Emily stanęła na palce, przytrzymała go za koszulę i nie pozostała mu dłużna. Kiedy oderwali się od siebie po jednym z takich zbliżeń, zobaczyli Sherry, Ginę, Brittany i Megan, zmierzające w ich stronę.

- O nie, tylko nie to! - jęknął Camp.

- Gdzie byliście? - zapytała surowo Megan. - Mark i Jared wrócili dziesięć minut temu. Straciliśmy dobre miejsce do oglądania fajerwerków, bo musieliśmy was szukać.

Camp wyrzucił resztki jedzenia do kosza.

- Nie wiem, jak Emily, ale ja zgubiłem się pierwszy raz, odkąd wyrosłem z krótkich spodenek.

- Zachowujecie się jak dzieci - mruknęła Sherry. Gina wysunęła się naprzód na wózek.

- Miłość zamiesza w najmądrzejszej głowie.

- Miłość? - To samo słowo wyrwało się jednocześnie ze wszystkich ust.

Camp zauważył jedynie, jak szybko Emily zaprzeczyła, że cokolwiek ją z nim łączy i ze smutkiem pomyślał, że znów dała o sobie znać ta druga, chłodna i pełna rezerwy strona jej osobowości.

Nagle zagrzechotały wystrzelone race i rozpoczął się pokaz ogni sztucznych. Camp uzmysłowił sobie z pewnym rozbawieniem, że sam jeszcze nie nazwał uczucia, jakie żywił do Emily. Sprawiała, że czuł się młody i szczęśliwy, a nawet skory do figli. Zaciekawilo go więc, co właściwie czuje do niego Emily. Duszący dym ze spadających dokoła fajerwerków - nie mówiąc o obecności grona znajomych - nie pozwolił mu zadać jej tego pytania.

Kiedy po pokazie całe towarzystwo ruszyło z powrotem do obozowiska, rozdzielono go z Emily i wciąż miał obok siebie kogoś innego. Nie potrafił powiedzieć, czy było to umyślne działanie, czy przypadek.

Postanowił zamienić z nią kilka słów, więc zaprosił ją szeptem na herbatę do jego ogniska, gdy wszyscy pójdą spać. Emily ochoczo kiwnęła głową.

Nie mogąc się doczekać spodziewanego gościa, zaparzył ulubioną herbatę Emily. Nawet przemógł niechęć i trochę się napił, zanim przyszła.

- Fiu! - Zdyszana Emily wzięła z jego rąk parującą filiżankę. - Nie wymykałam się z łóżka na spotkanie z chłopcem od ósmej klasy.

Zaskoczyło go, że kiedykolwiek to robiła. Uzmysłowił sobie, że wcale jej nie zna, nadeszła więc pora czegoś się dowiedzieć.

- Nie jestem chłopcem, Emily. Oboje jesteśmy dorośli. Słyszając jego zmieniony głos, bez słowa odstawiła filiżankę.

Zrobił to samo i w jednej sekundzie znaleźli się w swych ramionach.

- Nie lubię przemykać się chyłkiem i ukrywać. - Camp odchylił się i ujął twarz Emily w dłonie.

Z bijącym sercem przytaknęła i westchnęła, gdy Camp powoli odpiął guzik u bluzki i potarł jej nabrzmiałe aż do bólu piersi. Nagle zapragnęła dotknąć jego ciała i w pośpiechu oderwała mu guzik u koszuli. Ledwie dotknęła ciepłej skóry, gdy rozległy się ciche puknięcia, a potem głośna eksplozja, która zniweczyła nastrój chwili.

- Co u... - Camp wypuścił Emily z objęć.

Głośno zarżał wystraszony koń i w wozach zamrugały zapalane lampy.

- Petardy - wykrztusiła Emily, gdy po kolejnej serii głośnych trzasków potężne belgi zaczęły szarpać się na uwięzi.

- Do diabła z chłopakami! - Camp poprawiał koszulę. - Jak ich dorwę, to uduszę.

- Ja zrobię to pierwsza. - Emily zapięła bluzkę i pobiegła do namiotu, który Jared i Mark postawili obok wozu Giny. Niebawem wycofała się z ogrodzonego placyku, kręcąc przecząco głową. - Śpią jak zabici,

- A więc kto? - spytał Camp, marszcząc brwi.

Nie miało to właściwie znaczenia. Przez całą noc Robert, Terrill, Camp, Emily i Sherry uganiaли się za końmi. Przed świtem sytuacja została opanowana. Wszyscy mieli zaczerwienione oczy i ledwie dowlekli się do wozów, gdzie Maizie powitała ich niepokojącym anonsem.

- Zwołuję zebranie - oznajmiła. - Musimy szczerze porozmawiać o wzajemnych zobowiązaniach i odpowiedzialności. Trzeba też omówić naszą trasę.

Rozdział 10

Słowo przewodnika taboru było na szlaku prawem. Rządził żelazną ręką. Albo go słuchano, albo odchodził.

Cytat wyszukany przez Campa. (We wszystkich źródłach, z jakich korzystał, zakładano, że przewodnikami taboru byli bez wyjątku mężczyźni.)

Maizie usiadła na koźle, a uczestnicy wyprawy zebrali się wokół.

- Zeszłej nocy ktoś mocno narozrabiał. Mamy szczęście, że żaden koń me złamał nogi.

- Wiemy, kto to zrobił! - krzyknął Fil. - To te bachory. Niech rodzice zapłacą za szkody. Naucz się, że jak już ktoś ma dzieci, to musi ich pilnować.

Camp z przyjemnością wywnioskował, że Fil i jego żona nie spłodzili podobnego sobie potomstwa.

Mark zaś z pobladłą twarzą przysunął się do matki.

- Ja i Jared nie rzucaliśmy petardami - rzekł z naciskiem, choć głos mu lekko zadrżał.

Jared powtórzył to samo silniejszym głosem.

Emily przyglądała niesforny kosmyk na głowie syna.

- On mówi prawdę - oświadczyła. - Camp i ja zrobiliśmy sobie... herbatę. Chłopcy spali, kiedy to się stało.

- Ha! - wykrzyknął Fil. - Na pewno udawali.

- Mój syn nie kłamie. - Robert Boone podszedł do krzykacza i nachylił się nad nim, zaciskając wielkie jak bochny pięści. - To mogły być dzieciaki z miasta.

Maizie wsunęła dwa palce między zęby i przeraźliwie gwizdnęła.

- Winowajcy są wśród nas.

Spojrzała na Brittany i Megan, które kuliły się obok wozu Sherry. Camp spostrzegł, że poszarzały na twarzy. Zdziwił się, dlaczego wcześniej o nich nie pomyślał. Wybuch petard w tak ważnym momencie musiał mieć na celu ponowne rozdzielenie jego i Emily.

Wszyscy podążyli za oskarżycielskim spojrzeniem Maizie. Nietrudno było rozpoznać winnych - ich miny mówiły same za siebie.

- W czasach mojej młodości dziewczęta grały na pianinie i szydełkowały na cele dobroczynne. Nie rozrabiałyśmy po ulicach - przemówiła żona Fila. - Trzeba je ukarać.

- Niech przez tydzień czyszczą konie i szorują garnki! - zawołał Fil. - Boją się pobrudzić ręce!

Camp przysłuchiwał się wypowiedzianym uwagom, spodziewając się, że Maizie uciszy zebranych. Ponieważ tego nie zrobiła, sam zabrał głos:

- Drodzy państwo, strzelanie z petard nie jest ciężkim przestępstwem. Na pewno dziewczynom jest przykro.

Buntownicze miny zadawały kłam jego słowom.

- Nolan ma rację. - Sherry wsunęła się między Harva Shawa i dziewczęta. - Minęły czasy piętnowania przestępców szkarłatną literą. Już po wszystkim. Możemy przejść do następnej sprawy. Maizie, chciałaś omówić z nami trasę. Czyżby pojawił się jakiś problem?

- Chciałam jeszcze coś dodać - powiedziała Emily, podnosząc rękę. - Jeżeli moja córka strzelała z petard, poniesie konsekwencje swojego czynu.

- Zamykam sprawę - rzekła Maizie, uciszając szum głosów. Zeskoczyła na ziemię, rozłożyła dużą mapę i przypięła ją do plandeki.

- Długoterminowa prognoza pogody przewiduje burze nad Teksasem, nadchodzące od strony zatoki. Może rozejdą się po kościach, a może nie. W tej chwili nad północno - zachodnim klinem Oklahomy leje jak z cebra i opady zbliżają się do nas. Kiedy tutaj pada deszcz, na przełęczy Raton leży śnieg. Stąd pytanie: czy jedziemy dłuższą trasą północną, czy skrótem Cimarron?

- Na trasie Cimarron jest więcej przepraw przez strumienie i rzeki - odezwał się Robert. - Jeżeli wezbrały, utrudnią nam jazdę. Możemy całymi dniami czekać, aż woda wreszcie opadnie.

Maizie ułamała kawałek tytoniu i już miała go włożyć do ust, gdy podchwyciła spojrzenie Campa. Cisnęła więc prymkę w ogień i wzięła dwa listki gumy do żucia.

- Przy złej pogodzie żadna z tras nie jest łatwa. Jeśli chcecie znać moje zdanie, wolę suszyć wóz niż stracić go w przepaści, bo opony pośliznęły się na lodzie.

- Ponieważ odpowiadam za kobiety, dzieci i cztery wozy, głosuję za skrótem - powiedział Camp cicho, lecz stanowczo.

- Błoto po kostki to dla nas nic nowego.

Do koła wkroczyła Sherry.

- Myślisz, że my, kobiety, boimy się odrobiny śniegu? Jeżeli pionierzy pokonywali przełęcz, my też damy radę.

Camp nie dał się sprowokować.

- Z relacji, które czytałem, wynika, że obie trasy były tak samo uczęszczane. Na krótszej trasie tabory ponosiły straty, ulegając atakom rozbójników i Indian, ale więcej ludzi ginęło w burzach śnieżnych na szlaku przez góry.

- Czy jazda skrótem będzie oszustwem? - spytała spokojnie Emily. - Mam na myśli twój artykuł. - Wzięła głęboki oddech. - Czy zmiana trasy wpłynie na twoją pracę?

Brittany przepchnęła się przez zwarty tłumek.

- Nie słuchajcie jej. Ona chce mieć więcej czasu, żeby być z nim. - Wytknęła palcem Campa. - Spytajcie go, co tych dwoje robiło, kiedy wybuchały petardy.

- Czy nie możemy po prostu wrócić do domu? - Megan spojrzała ze złością na Campa i Emily.

Mark Benton wytrzeszczył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że mama i Camp... Hej, su - u - per.

- Chłopak zadarł głowę i wlepił zachwycone spojrzenie w Campa. - Ale fa - a - jnie!

Sherry gapiła się na Emily, jakby nagle ujrzała dwugłowego węża. Emily poczerwieniała. Ani ona, ani Camp niczego nie potwierdzili ani nie zaprzeczyli.

Maizie pstryknęła palcami.

- Nad rzeką Cimarron pionierzy byli narażeni na powodzie i cyklony. Jeżeli tęsknicie za przygodami, to ich wam nie zabraknie. Tak czy owak, jedziemy do Santa Fe.

- I nie możemy tracić całego dnia na podjęcie decyzji.

- Robert potarł nie ogoloną szczękę. - Popieram Campa.

Doris i Vi szybko dołączyły do głosów mężczyzn.

- Obiecano nam przejazd przez przełęcz Raton i chcę dostać to, za co zapłaciłem - zaprotestował Fil.

Terrill Boone, który zebrał w jednym miejscu okulałe konie, żeby wrócić z nimi do bazy, oznajmił, że odjeżdża.

- Prognozę pogody można jeszcze sprawdzić w Caches - zaproponował. - Tam rozchodzą się szlaki - przypomniał.

- Muszę teraz to uzgodnić - upierała się Maizie. - Nie chcę czekać, aż zaskoczy nas zła pogoda i trzeba będzie decydować w pośpiechu. Popatrzcie na niebo na południu. Będzie padać.

- Jakby na potwierdzenie jej słów czarna chmura zasnuła horyzont i spuściła na ziemię deszcz. - Więc jak będzie?

Gina pokuśtykała o kulach w stronę Maizie.

- Nie chcę, żeby ktoś musiał ciągnąć moje kości przez przełęcz Raton - powiedziała.

Żona Fila zaczęła go namawiać, żeby głosował za krótszą trasą.

- Zgraja niedorajdów - warknął. - Kiedy tylko ja i żona wrócimy do domu, zadzwonię z reklamacją. Żaden z naszych przyjaciół nie da się nabrać na taką oszukaną wyprawę - rzekł, wsiadając do swojego wozu.

- On ma przyjaciół, to dopiero nowina! - bąknęła Emily. Camp zbliżył się do Maizie.

- Skoro decydujemy się na skrót, to czy możemy trochę dłużej zostać tutaj? Niektórym przyda się trochę snu. A ja planowałem, że wpadnę rano do pralni. Mam na sobie ostatnią parę dżinsów. - Pokazał na ubłocone nogawki.

- To zależy od tego, jak po deszczu zachowa się rzeka. Dam ci tyle czasu, ile mogę, pod warunkiem, że bez szemrania złapiesz mokre ubranie, jeżeli ci każe. - Po kolei spojrzała każdemu w oczy. - Niech nikt nie włóczy się bez celu po mieście. Nie rozbiegnę się na dziesięć stron, kiedy rzeka zacznie wzbierać.

- Nie zrobiłam prania w Fort Larned - powiedziała Sherry - ale jestem wykończona.

- Dorzuć swoje ubrania do moich - zaproponował Camp.

- Nigdy w życiu, bracie. Wykorzystałbyś taki smakowity kąsek w swoim artykule.

- Czy każdy drobiazg musi przeradzać się w konfrontację, Sherilyn? Po co mamy oboje siedzieć w pralni? - Minęło kilka sekund, ale nie odpowiedziała. - W takim razie ile byś wzięła za upranie moich rzeczy? - spytał z wesołym uśmiechem.

- Nie starczyłoby ci pieniędzy, nawet gdybyś dorzucił majątek powierniczy od dziadków. Uznaję zasadę całkowitego równouprawnienia. Kiedy wyjdę za mąż, będę prała swoje rzeczy, a mąż swoje. Zapisz to w tym artykule.

- Radzę ci zawrzeć odpowiednią umowę przed ślubem, Sherry! - zawołała Gina.

Camp wyciągnął z wozu dwa płócienne worki z brudnymi rzeczami.

- Zapominasz, jak dobrze cię znam, siostrze. Nigdy w życiu nie oddawałem dżinsów do pralni chemicznej, a ty...

- Robię to, bo dłużej wyglądają jak nowe.

- Dość tego. - Maizie podniosła rękę, - Przestańcie się droczyć. Szkoda czasu.

Camp wycofał się z placu boju. W pralni napełnił kilka pralek i usiadł sam z boku, podczas gdy Sherry i Gina rozmawiały cicho w kącie. Między kolejnymi cyklami prania oddawał się rozmyśleniom. Dlaczego tylu ludzi chce rozdzielić jego i Emily? Megan prawdopodobnie czuje się zagrożona. Rozpada się jedno małżeństwo na trzy i dzieci rozmawiają o związanych z tym przykrych przeżyciach ze swymi rówieśnikami. Sam słyszał w college'u rozmaite historie o złych macochach i ojczymach.

Zaskoczyła go jednak postawa Sherry. Przecież wyrosł w stabilnej rodzinie, w której wszyscy otwarcie okazywali sobie uczucia. Rodzice nadal bardzo się kochali. Kiedy Sherry poszła do szkoły średniej - a on zaczął studiować - kręciło się koło niej mnóstwo chłopców. Teraz każde z nich miało swoje grono znajomych w pracy. O ile wiedział, od paru lat Sherry nie miała poważnego narzeczonego - ale nie słuchał plotek, kto z kim chodzi. Kiedy rzuciła go Greta, odczuł na własnej skórze, jak złośliwe mogą być ludzkie języki.

- Wychodzimy - zaświergotała mu do ucha Sherry, zmuszając do otwarcia oczu. - Zostało mi trochę drobnych, więc wrzuciłam je do twoich suszarek. Zdrowo zabulisz za osiem par dzinsów. Nie zaśnij, bo cię tu zamkną. Na drzwiach jest napisane, że w niedzielę czynne do dwunastej.

Camp stłumił ziewnięcie.

- Jeżeli nie zjawię się mniej więcej za godzinę, wyślesz po mnie psa z butelką brandy?

- Wyślę Maizie. Brr! - wstrząsnęła się, wyprowadzając wózek Giny przez drzwi. - Ależ się rozpadało.

Czterdzieści minut później Camp zapakował do płóciennych worków wysuszone i starannie złożone ubranie. Kiedy minął dwie przecznice, przemókł do suchej nitki - torby także.

Ulice Dodge były niemal zupełnie wyludnione; za to w obozowisku wrzało jak w ulu.

- Co się stało? - zagadnął Camp Jareda, który prowadził dwa dziarskie, nowe perszerony.

- Maizie postanowiła jak najszybciej przeprowić się przez rzekę. Jakiś dziadek jej powiedział, że poziom wody podniósł się o piętnaście centymetrów w ciągu dwóch godzin.

- No to nici z mojej drzemki - wymamrotał Camp.

- Tak. Nie próbuj rozmawiać z moim tatą. Babcia go obudziła i teraz mruczy jak niedźwiedź wypłoszony z gawry w środku zimy.

Jeden z koni prychnął i obiegł Jareda wkoło, zaplatając linkę.

- Trudno będzie zapanować nad tymi perszeronami - zauważył Camp. - Rozdziel je. Może przy clydesdale'ach się uspokoją.

Jared rozplatał linki.

- Miałem je zaprowadzić do starego z Filadelfii. - Łagodne oczy chłopaka zamigotały.

- Dobrze cię rozumiem, ale kto zatroszczy się o to, żeby wszyscy bezpiecznie przeprowili się na drugi brzeg?

- Nie pomyślałem o tym, więc chyba jednego dam tobie, a drugiego tacie.

Camp kiwnął głową i oczy mu zapłonęły na widok Emily. Biegła w jego stronę, z rozwianymi włosami, bez kurtki. Do diabła, niech Jared wreszcie zabierze stąd te konie, pomyślał. Emily zatrzymała się przed nim gwałtownie. Nie dojrzał w jej oczach radości, lecz mroczny niepokój.

- Camp, jak to dobrze, że wróciłeś! Maizie mówi, że musimy jechać, a ja nie mogę nigdzie znaleźć Megan.

Camp upuścił worki na ziemię i ogarnął spojrzeniem wozy, jakby spodziewał się, że Megan ni stąd, ni zowąd się zmaterializuje. Policzył konie pod siodło i trochę się uspokoił, bo żadnego nie brakowało.

- Sprawdziłaś wszędzie?

- Tak. - Nerwowo zacisnęła ręce. - Myślałam, że może widziałeś, jak idzie do miasta. Megan podobno mówiła, że dalej nie jedzie. Wiem to od Brittany.

- Młodzieńczy bunt. Kogo ona zna w Dodge? Nikogo. Emily wzruszyła ramionami z nieszczęśliwą miną.

- Jesteś zupełnie przemoczona - rzekł łagodnie. - Weź jakąś kurtkę, a ja wrzucę worki do wozu. Spotkamy się przy wozie Maizie. Poprosimy, żeby zwołała zebranie. Ktoś może wiedzieć coś więcej.

- Na przykład Brittany?

- Niekoniecznie. Ktoś mógł nie zastanowić się nad tym, że Megan robi coś dziwnego, choć to widział.

- Boże, obyś miał rację. Czuję się okropnie bezradna. Kilka minut później skwaszona Maizie dzwonkiem wezwała wszystkich na zebranie.

- Rzeka wzbiera z każdą sekundą. Kto widział dziś Megan, niech natychmiast powie gdzie i kiedy. Jeżeli nie przeprawimy się przez rzekę w ciągu godziny, to nie przeprawimy się wcale. Nie wolno kryć Megan w takiej sytuacji. - Maizie wbiła stalowe spojrzenie w Brittany, a potem Marka i Jareda.

- Powiedziałam wszystko, co wiem! - krzyknęła Brittany. - Mówiła, że nigdy więcej nie będzie pchała wozów przez błoto.

Mark otworzył szeroko oczy i pokręcił głową. Fil zapiął pas na zaokrąglonym brzuchu.

- Smarkata schowała się pewnie w wozie Terrilla. Wszyscy wiedzieli, że wraca do bazy.

Nadbiegła Emily.

- Megan nie wzięła ubrania, ale grzebała w mojej torebce i wzięła kartę telefoniczną. Zna numer karty kredytowej Mony.

- Dostęp do karty kredytowej, nic z ubrania. Hm. Może zamierza zabrać się autobusem albo pociągiem - rzekł Camp, przesuwając palcem po swędzącym zaroście. - Maizie, ty i Robert poprowadźcie tabor, Emily i ja oblecimy dworce. Jeżeli niczego się nie dowiemy, Jared zajmie się moim wozem, a ja pojedę konno za Terrillem.

- Camp, ledwie trzymasz się na nogach - zaprotestowała Emily. - To moja córka, więc to ja powinnam za nią jechać.

Camp pokręcił głową.

- Porozmawiamy o tym, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Maizie włożyła do ust dodatkowy listek gumy do żucia.

- Nie lubię rozdzielać grupy, zwłaszcza za pomocą rwącej rzeki. Mam nadzieję, że znajdziecie tę narwaną panienkę. Dam ja jej za swoje!

Westchnienie matki było głośniejsze od bębniącego deszczu. Emily i Camp z wdzięcznością przyjęli od Sherry płaszcze przeciwdeszczowe.

- Nie bądźcie dla niej zbyt surowi, kiedy ją znajdziecie - rzekła cicho Sherry. - Brittany mówi, że Megan bardzo się przejęła gadaniną Fila. Zdaje się, że te petardy wystraszyły dziewczyny nie mniej niż konie.

- Módl się, żebyśmy ją znaleźli, Sherry. Wiem, że Megan ma niewyparzoną buzię i udaje, że niczego się nie boi, ale przecież przez całe życie mieszkała w małym miasteczku. - Emily głos się łamał.

Camp dotknął jej ramienia, przypominając, że pora iść.

Usłyszał plusk wody, gdy pierwszy zaprzęg wszedł do wezbranego strumienia.

Przed dworcem autobusowym, obok rzędu telefonów, znalazła się zguba. Dostrzegli ją równocześnie. Mokre, kasztanowe włosy Megan kleiły się jej do szyi. Siedziała skulona pod daszkiem. Była zmarznięta i osowiała. Camp z daleka nie potrafił powiedzieć, czy twarz ma mokrą od deszczu, czy od łez. Na wszelki wypadek powstrzymał Emily od zbyt gwałtownych wyrzutów.

- Posłuchajmy najpierw, co ma do powiedzenia. Emily dała znak, że zrozumiała, i przyśpieszyła kroku.

- Megan, kochanie...

Dziewczynka zakryła twarz dłońmi i zaczęła szlochać. Nie broniła się, gdy matka przytuliła ją do siebie.

Camp, którego łyzy zawsze wprawiały w zakłopotanie, cofnął się bezradnie. Upłynęła dłuższa chwila, nim dotarł do niego sens słów Megan, jękającej się i połykającej łyzy.

- My - y - ślałam, że Mo - o - na przyjedzie po mnie - wyplakiwała się na ramieniu matki - ale umówiła się na jutro na basen. Po - o - wiedziała, że sama powinnam trafić do domu. Toby też jest zajęty. Jutro ma pokera, a - ale przyśle mi pieniądze. Oni na wszystko mają jedną od - odpowiedź.

Emily mogła córce sama to wyjaśnić - próbowała od dawna, na setki sposobów. Może powinna była zaraz po katastrofie, w której zginął Dave, zerwać łuski z oczu dzieci. Bolało ją, że córka tak cierpi.

Camp nie chciał im przerywać, ale coraz mocniej padało.

- Emily, wiem, że macie dużo do omówienia, ale to chyba może poczekać? Jeżeli zaraz stąd nie pójdziemy, nie zdołamy przeprowić się przez rzekę.

Megan potarła oczy.

- Co on tu robi? Mark uważa, że jest wspaniały, a ja chcę, żeby zostawił nas... ciebie w spokoju - jęknęła histerycznie.

Idąca ulicą para obejrzała się i zawahała, jakby rozważając potrzebę interwencji. Camp przestał się chmurzyć i posłał przechodniom uspokajający, jak mniemał, uśmiech. Ponieważ tamci

wciąż stali, zerwał z siebie żółty płaszcz, narzucił Megan na ramiona i poprowadził matkę z córką z powrotem do parku.

Po polanie przechadzała się Maizie. Po tej stronie Arkansas został jedynie wóz Campa.

- Wasz widok raduje moje oczy - powiedziała ochryple Maizie. - Nie mamy czasu na pogaduszki. Rzeka rwie i wezbrała bardzo wysoko. Robert napracował się przy przeprowianiu wozu Emily. Zniosło go niżej, gdzie brzeg był tak śliski, że konie ledwie wylazły.

- No to na co czekamy? - spytał Camp.

Podsadził Emily i Megan na tył wozu i dał znak Maizie, żeby usiadła obok niego na koźle. Starał się kierować końmi tak, by wyszły prosto na ślady opon po drugiej stronie rzeki. Kiedy wreszcie zrównał się z siostrą, bolała go szczęka i wszystkie mięśnie. Jeżeli sądził, że Maizie pozwoli na odpoczynek, grubo się mylił.

- Raz - dwa! - poleciała, zeskakując w błoto. - Chcę widzieć każdego woźnicę we własnym wozie. Nie tylko ta rzeka dziś wyleje. Wiem, że niektórzy z was nie śpią od dwudziestu czterech godzin. I nikomu nie obiecuję, że się wyśpi w ciągu następnej doby. Nie obiecywałam, że zapanuję nad pogodą. Jest to, co jest. W drogę.

Camp chciał zamienić parę słów z Emily, ale nie zdążył. Oddała mu płaszcz, szepnęła „dziękuję” i wdrapała się na kozioł. Megan ze spuszczoną głową wsunęła się do łóżka w wozie matki. Ani się obejrzał, kiedy Emily ustawiła się przed Sherry.

Dzień zaczął się bardzo nieprzyjemnie, a teraz chmury opuściły się jeszcze niżej i chłostały deszczem z diabelskim zapamiętaniem. Wczesnym popołudniem, zamiast zarządzić postój, Maizie rozdała wszystkim torebki z suszonymi owocami. Tego dnia nie było czasu na gorący posiłek.

Lało bez przerwy. Camp powątpiewał, czy przejadą więcej niż dwie mile przez cały dzień. Na płaskiej prerii nigdzie nie można się było schronić. Wozy co chwila grzęzły. Nie sądził, że przytrafi im się aż tak wierne odtworzenie warunków, w jakich podróżowali pionierzy.

Kiedy Maizie wreszcie zgodziła się zatrzymać na wieczorny odpoczynek, nawet Emily nie zdołała rozpalić ognia. Wszyscy padli jak kłody, nie mając nawet siły żuć suszonego mięsa, koniecznego dla uzupełnienia strat energii.

Rankiem deszcz ustał, ale nie było mowy o taryfie ulgowej. Maizie kazała zjeść na śniadanie chleb z dżemem i pogoniła na szlak.

Koło południa wyjrzało blade słońce. Niezliczone komary zebrały się w miejscu, które Maizie nazwała przeprawą środkową. Woźnice męczyli się tam, pokonując wezbraną rzekę Cimarron. Pod mokrymi topolami na drugim brzegu wilgoć wydawała się jeszcze bardziej dokuczliwa. Wszystkich nękał też zły humor - bo pierwsze wozy musiały czekać na pozostałe.

Megan, która od rana jechała z Sherry i Brittany, rozplakała się, gdy jej ładną buzię obsypały swędzące, czerwone plamy. Camp i Robert nasłuchali się jej biadolenia, gdy siłowali się z wozem Sherry, który wpadł do jakiejś dziury na środku rwącej rzeki.

- Chcę do domu! - zawodziła Megan. Brittany i Megan tuliły się do siebie.

- Nienawidzę cię, Nolan! - Brittany pociągała nosem. - Pionierom brakowało piątej klepki, jeżeli pchali się w coś takiego dobrowolnie.

Camp i Robert puszczali mimo uszu te uwagi i obracali koła, zapierając się w wóz ramieniem. Kiedy wjechał wreszcie na brzeg, Megan pobiegła do matki. Camp przypuszczał, że nie chciała nikomu pokazywać czerwonej i zapuchniętej twarzy. Ale on miał większe zmartwienia niż komary. Podczas przeprawy kilka wagonów nabrało wody. Maizie zgodziła się na wcześniejszy postój, żeby wysuszyć rzeczy. Nie chodziło tylko o mokre ubrania. Doris i Vi przepadły zapasy owsianki, Sherry miała zalaną mąkę, a Gina cukier.

Fil upierał się, że obejdzie się bez pomocy. Spuścił z tonu dopiero, gdy omal nie wyrzucił wozu, przejeżdżając wezbraną rzekę.

Upał był nieznośny. Wszystko parowało.

Maizie zebrała zniechęconych członków wyprawy, żeby podnieść ich na duchu. Wskazała nagą, pustą równinę.

- Szykuje się gorąca noc. Radzę nałamać gałęzi topoli; szybko wyschną. Wieczorem rzucicie śpiwory na gałęzie i ułożycie się do snu pod wozami, bo w środku będzie jak w piecu. Mokre płótno nie przepuszcza wiatru, którego zresztą i tak nie ma.

- A zwierzęta? A robactwo? - pisnęła Brittany. - Jared widział nad rzeką ślady kojota.

Emily położyła rękę na ramieniu Brittany.

- Kojoty, borsuki i szopy bardziej się nas boją niż my ich.

- Co ty o tym wiesz! - rzekła naburmuszona Megan.

Camp uśmiechnął się do Emily, by ją pocieszyć. Przebrnęła przez trudny etap podróży bez słowa skargi.

- Słuchajcie Emily - upomniał dziewczęta - i uczcie się od niej. Rozpaliła ogień i gotuje zupę z czarnej fasoli, a dym odstrasza komary.

Spojrzał wymownie na Megan, a ta pokazała mu język i pobiegła na parującą łąkę. Emily rzuciła mu zmartwione spojrzenie; po raz pierwszy od dwóch dni popatrzyła mu w oczy.

- Daj jej trochę czasu, Em. Kiedy zaczniesz się pocić, zrozumiesz, że lepiej jest zrobić posłanie pod wozem. Mmm! Ale ta zupa apetycznie pachnie. Nie wiem, jak ludzie w górach mogli przeżyć na samym suszonym mięsie.

- Zapraszasz się na kolację? - spytała, przechylając głowę w sposób, który już znał.

- Na pewno nie odmówię...

- Przyjdź z talerzem za jakąś godzinę. Dzisiaj częstuję wszystkich.

Uśmiech zastygł mu na wargach. Nie ma co, sprowadziła go na ziemię, kiedy bujał w obłokach. Może spojrzy na niego łaskawszym okiem, jeśli zjedna sobie najpierw przychylność Megan? Ruszył w stronę łąki, licząc, że zdoła porozmawiać z córką o tym, co czuje do matki.

Nagle Megan wybiegła z krzykiem spomiędzy kwitnących kęp ziół. Za nią leciał czarny rój pszczół. Camp chwycił ją pod pachę i pobiegł zakosami w przeciwnym kierunku niż wściekły rój. Gdy postawił ją na ziemię w bezpiecznym miejscu, nawet nie podziękowała.

- Megan, chciałbym...

Szukał właściwych słów, by przełamać dzielącą ich niechęć, ale dziewczynka odeszła, nie chcąc go słuchać. Z braku lepszego pomysłu przy kolacji poprosił Emily o zebranie notatek. Liczył, że kiedy je przyniesie, namówi ją, by została na herbatę. Nic z tego. Emily zebrała notatki, ale przyniósł je Mark.

- Pokłóciłeś się z moją mamą? - spytał wprost.

- Nie. Bardzo lubię twoją mamę. Nawet nie wiesz, jak bardzo. I was też lubię. Po wyprawie chciałbym jak najczęściej się z wami spotykać.

- Su - u - per. - W blasku ognia błysnęły zęby chłopca.

- Powiedz mi, Mark... Czy Megan boi się, że chcę zająć miejsce jej ojca?

Pięgi Marka raptem stały się bardziej widoczne.

- Mona i Toby namęcili jej w głowie. Mój tata...

- Tak?

- To... był mój tata i w ogóle, ale nie był miły dla mamy. Camp wyciągnął rękę, potem cofnął ją i potarł czoło.

- Synu, można kogoś kochać i jednocześnie nie lubić pewnych jego zachowań albo postępów. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale z czasem mnie zrozumiesz.

- Postaram się - odparł Mark drżącym głosem i uniósł wyżej głowę, słysząc, że ktoś go woła. - To Gina - rzekł. - Obiecałem przygotować jej posłanie pod wozem. Powiedz jeszcze, czy tu są robaki, jak mówiła Brittany?

- Czy Maizie radziłaby spać na dworze, gdyby były?

- Nie. Dzięki, Camp. Nie traktujesz mnie wcale jak dziecko. Mam nadzieję, że ty i mama, no wiesz... - Zarumienił się i poszedł.

Dopiero po dłuższej chwili Camp przestał się uśmiechać i pochylił się nad zapiskami, które zostawił Mark. Dopisał jeszcze swoje spostrzeżenia i wczołgał się pod wóz. Kiedy wyciągnął się na trzeszczącej podściółce z gałęzi i wbił wzrok w czarny brzuch wozu, zaczął analizować swe uczucia do Emily i jej dzieci. Megan bardziej od brata potrzebowała bezwarunkowej miłości. Potrzebowała kogoś, kto nieustannie się o nią troszczy, a jednocześnie prowadzi ją twardą ręką. Nim dopadł go sen, Camp poprzysiągł sobie, że w najbliższym czasie lepiej ułoży stosunki z Emily.

Zła pogoda nadal ich prześladowała. W Lower Springs niewiele brakowało, a nie przeprawiliby się przez Sand Creek. Brzydki, żółty muł mlaskał pod butami i kleił się do opon. Maizie nakazała dwa razy dziennie zmieniać konie.

Po czterech dniach stanęli przed najbardziej rwącym odcinkiem Cimarron. Maizie oczekiwała okrzyków radości z powodu dwóch ledwo widocznych głazów, jakie sterczały w oddali na grząskiej, trawiastej równinie.

- Point of Rocks - oznajmiła z dumą. - Pionierzy płakali przy tych skałach. Wiedzieli, że patrzą na Kolorado i że są o rzut

kamieniem od Oklahomy. A my wiemy, że trzymamy się szlaku Santa Fe. - Parsknęła śmiechem.

- A czy były jakieś wątpliwości? - spytał Camp, nie mając siły się śmiać.

- Orientowanie się według słońca i gwiazd jest pełne pułapek, chłopcze. Jutro po południu ostatni raz przetniemy Cimarron. Deszcz nie ustaje, rzeka będzie się kotłowała. Ziemia na tym odcinku jest jak gąbka. Chcę, żebyście nawzajem na siebie uważali.

Camp wziął to sobie do serca i postanowił uważać na Emily. Zamiast jechać - jak do tej pory - na końcu, pogonił konie i minął wóz Sherry. Zrównał się z Emily, posłał jej uśmiech, a ona nieśmiało odpowiedziała mu tym samym. Zabawiał ją wesołymi historyjkami i w krótkim czasie rozśmieszył do łez.

Byli tak zajęci sobą, że nie spostrzegli, jak daleko w tyle został wóz Sherry. Prawdę powiedziawszy, Camp zauważył to dopiero, gdy zatrzymali się na nocleg.

- Gdzie Sherry i Brittany? - spytał Emily, oglądając się na pusty szlak.

- Nie wiem. Och, Camp, czy mogliśmy nie zauważyć, że mają kłopoty?

- Może podziwiają zachód słońca. Jeżeli nie pokażą się za kilka minut, osiodłam Tarana i pojedę.

- Ja z tobą. Tylko nie protestuj! Cztery ręce działają więcej, jeśli Sherry potrzebuje pomocy. Pojadę z tobą i już.

Opuścił ramiona, udając rezygnację.

- Tak, proszę pani - rzekł potulnie i uśmiechnął się. Każda okazja, by być sam na sam z Emily, jest dobra.

Rozdział 11

Około roku 1867 kobiety podróżowały przez równiny w komfortowych warunkach. Było tak bezpiecznie, że jedzono na porcelanie.

Sherry wycięła ten fragment z jakiejś książki, dokleiła do notatek i dopisała, że jest to jedno wielkie kłamstwo.

Zapręg Sherry - dziś składający się z perszeronów i belgów - było znacznie trudniej opanować niż łagodne jak baranki clydesdale'e. Po trudach przeprawy przez rzekę ręce ciążyły jej, jakby były z ołowiu, i zostawała w tyle.

- Brittany, nie widzę taboru. Czy mogłabyś mnie zastąpić? Te bestie tak szarpia, że mdleją mi ręce.

- Mówiłam ci, że źle się czuję.

- Wcale mnie to nie dziwi. Od trzech dni prawie nie jesz.

- Nie znoszę owoców. A przez to okropne suszone mięso mogą mi pospadać korony z zębów. Moi starzy zapłacili za nie majątek.

- Jeżeli dużo zapłacili, to powinny się trzymać, choćbyś jadła skórę z butów. Chyba nie jesteś anorektyczką? - spytała Sherry.

- Nie! Ale jak można jeść, kiedy lata tyle much i tłustych komarów? Komu w ogóle chce się jeść? Wszystko jedzie końskim łaj...

- Nie musisz tak dokładnie tego opisywać. O cholera!

- Co się stało? - Przestraszona Brittany wyjrzała z wozu.

- Konkwistador kuleje. Chyba wbił mu się kamień. - Sherry szarpnęła lejcamy, żeby zatrzymać korne. - Znajdź ten wihajster do wydłubywania kamieni, który dała nam Maizie.

- Nie wiem, gdzie jest. Robiłaś to już kiedyś?

- Nie, ale przyglądałam się, jak robi to Robert. To chyba nietrudne. Jeżeli nie możesz znaleźć dłubaczki, daj pilnik do paznokci.

- Jest całkiem nowy i z diamentem!

- Może być nawet ze złotem i platyną, wszystko mi jedno. Nie pojedziemy dalej, dopóki nie usunę kamienia.

Brittany cisnęła pilnik na siedzenie.

- Spodziewam się, że dostanę od ciebie nowy.

Sherry przekonała się niebawem, że zadanie, którego się podjęła, wcale nie jest łatwe. Koń nie chciał stać spokojnie, a kamyk ugrzązł w skorupie brudu. Ledwie oczyściła część kopyta wokół kamienia, Konkwistador szarpnął nogą i postawił ją na ziemi. Tracąc

cierpliwość, Sherry oparła końską nogę o swoje kolano i spróbowała jeszcze raz.

Wokół rozsnuła się niesamowita mgła, nim wreszcie Sherry uporała się z kamykiem. Dżinsy miała całe w błocie, palce podrapane i zeszywniałe z zimna. Brittany zaś nie przestawała narzekać.

- Jeżeli nie pomagasz, to przynajmniej bądź cicho - nie wytrzymała Sherry.

- Tu jest tak okropnie, aż ciarki przechodzą - jęknęła Brittany. - Kiedy dogonimy tabor?

- Czy ja wyglądam na wróżkę? Myślałam, że Nolan zaraz się zjawi, a wciąż go nie widać.

- Ha! Bo nie widzi świata poza Emily.

Sherry cisnęła pilnik na siedzenie i odplątała wodze.

- Wciąż to powtarzasz. Em przeszła już przez jedno nieudane małżeństwo. Nie zwiąże się z drugim facetem.

- Ślepa jesteś? Nie spali z sobą tylko dlatego, że Megan urządziła komedię. Ale dzieci po pewnym czasie przestają się liczyć.

- Dość tego. Znam Emily. Oho, tam dalej mgła jest gęsta jak zupa. Widocznie jesteśmy bliżej rzeki, niż myślałam. Która godzina? Zdjęłam zegarek, a teraz mam takie brudne ręce, że nie mogę wydostać go z kieszeni.

- Szósta.

- Niemożliwe! O czwartej mieliśmy przekroczyć Cimarron! Brittany podetknęła zegarek pod nos Sherry.

- Szósta, widzisz? Nie zauważyłaś, że się ściemnia?

- Masz rację. Słyszysz? - Sherry poprowadziła zaprzęg kilkadziesiąt metrów do przodu i znów zaczęła nad słuchiwać. - Nie widzę, ale wydaje mi się, że przed nami jest rzeka.

- Ja słyszę tylko psy. Albo kojoty! Słyszysz to szczekanie? Sherry dobiegały niepokojące odgłosy i starała się nie myśleć o tym, co wyczytała w książce, którą kupiła.

- W wozie mamy drewno, rozpalmy ognisko. Na pewno ktoś wkrótce do nas przyjedzie.

- Nikt nie przyjedzie. Zgubiłyśmy się i zostaniemy tu... na zawsze. Umrzemy tutaj, już ja to wiem.

Zgrzytając zębami, Sherry zaczepiła wodze o gałąź topoli. Woląla nie wyprzęgać koni. Histeryczne popisy Brittany działały jej na nerwy. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, gdy drewno, które

wrzuciła do metalowego kociołka, nie chciało się zapalić w gęstej mgle, w której wszystko wilgotniało.

Raptem mgła rozdzieliła się jak kurtyna. Ktoś nadchodzi... Sherry podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć Nolana, i z jękiem przestachu odskoczyła od nieznanego. Olbrzymi mężczyzna miał brodę i był ogorzały. Zwichrzone, spłowiałe włosy opadały na kołnierzyk podniszczonej kurtki. Przetarte spodnie były brudniejsze od znoszonych kowbojskich butów. Naprawdę można się było przestraszyć takiej zjawy we mgle.

Nieznanomy zdarł ubłoconą rękawicę i sięgnął za pas. O Boże, on ma broń, pomyślała Sherry. Strach podszedł jej do gardła, ale to Brittany zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć, zeskoczyła z kozła i zemdląca.

- Jasny gwint! - stęknęła Sherry, uginając się pod ciężarem bezwładnego ciała towarzyszkii.

- A niech mnie kule biją. Dwie kobiety same na takim pustkowiu i w taką noc, że psa nie wygonisz! - Umilkł, dostrzegając conestogę. - Czy któreś z nas wpadło do pętli czasu?

Głos miał tubalny, mówił powoli, zęby błyskały mu groźną bielą w głębi kłębiastej brody. Roztrzęsiona Sherry wepchnęła do kieszeni kurtki szczapkę, którą miała rozpalić ognisko.

- Nie zbliżaj się, bo strzele - ostrzegła.

- Zaraz, zaraz, spokojnie.

Cofnął się i ukrył w gęstej mgle; widać było jedynie jego świecące jak laser niebieskie oczy i zarys zmierzwionej brody. Brittany oprzytomniała na tyle, że stanęła o własnych siłach. Bełkocząc coś histerycznie, podniosła ręce do góry i pobiegła za wóz.

- Wracaj, tchórzliwa dziewczyno - wymamrotała Sherry kątem ust, nie spuszczając z oczu mężczyzny, który znów przemówił tym swoim leniwym głosem:

- Miłe panie zawędrowały daleko od cywilizacji. Może byście zdradziły, co tu robicie, razem z tym niesamowitym pojazdem.

Zachowując przytomność umysłu, Sherry skłamała:

- Jesteśmy częścią wielkiego taboru. Pozostałe wozy przeprawiły się przez rzekę. Nasi mężowie lada chwila po nas wrócą. - Wskazała siebie i schowaną Brittany.

- Częścią taboru, powiada pani? - Nieznajomy przykucnął obok kociołka, w którym Sherry ustawiła piramidkę z gałązek. Pstryknął

zapalniczką i od razu rozpałił ogień, choć Sherry się to nie udało. - Dotrzymam paniom towarzystwa, aż zjawią się mężowie. - Wstał, patrząc chłodno na lewą dłoń Sherry, bez obrączki.

Brittany znowu zaczęła jęczeć i zawodzić.

- Zabije nas, mówiłam ci. Zostawi nasze ciała, żeby rozdziobały je myszołowy. Jestem za młoda, żeby umierać!

Sherry wycofała się ostrożnie, wyciągnęła ręce i poderwała Brittany na nogi.

- Cicho bądź! - syknęła. - Nie podsuwaj mu takich myśli. Brittany rozhisteryzowała się jeszcze bardziej. Sherry chwyciła za połę jej kurtki i potrząsnęła nią.

- Słuchaj. Powiedziałam mu, że nasi mężowie przeprowili się przez rzekę i zaraz po nas wrócą. Przestać beczeć i zachowuj się, jakby to była prawda.

Nieznajomy spojrział na nie, ściągając brwi w jedną groźną krechę. Kobiety wrzasnęły i przywarły do siebie.

- Hola! - Podniósł brudne ręce. - Jestem zwykłym gościem z Huntsville w Teksasie. Szukałem złota w rzece.

Krzywy uśmiech nie przekonał Sherry i nie podniósł jej na duchu. O Huntsville w Teksasie wiedziała jedynie tyle, że mieści się tam więzienie stanowe o zaostrzonym rygorze. A jeżeli stoi przed nimi zbieg? To nie pozwoli nikomu, kto mógłby go rozpoznać, tak po prostu odejść! W panice złapała polano z zapasów drewna, zamachnęła się i walnęła go w głowę. Mężczyzna padł jak podcięty. Usłyszała plusk, a więc są blisko Cimarron.

- Pośpiesz się, Brittany. Wsiadaj! Ruszamy. Chowaj głowę, jeżeli usłyszysz strzały.

Podsadzając dziewczynę, Sherry poczuła, że sama ledwo trzyma się na nogach. Odczepiła wodze, wdrapała się na kozła i zmusiła konie, by weszły do ciemnej wody. Odniosła wrażenie, że powalony mężczyzna zaczął się ruszać. Nie żałowała więc bata i już nie oglądała się za siebie, tylko pochylała do przodu, spodziewając się wystrzałów. Podskakując i rozbryzgując wodę, jechały przez rzekę. Sherry szeptem zwierzyła się Brittany ze swoich obaw.

- Myślisz, że jest przestępcą? - spytała Brittany.

- A nawet mordercą. - Sherry ścisnęła skórzane postronki i zadygotała. - Miejmy nadzieję, że nie ma konia.

W tym momencie usłyszały - oprócz dudnienia ciężkich kopyt koni zaprzęgowych - cichy, wyraźny tętent we mgle. Sherry popędziła zdyszane, parskające konie. Brittany zaczęła piszczeć ze strachu. Ciemna sylwetka jeźdźca na koniu pojawiła się przed nimi tak nagle, że Sherry musiała wyteńczyć wszystkie siły, żeby skrócić zaprzęg w prawo i uniknąć katastrofy.

- O Boże, to on - wrzasnęła Brittany, gdy cień, który je minął, zawrócił i zaczął gonić wóz.

Mroczny jeździec pochylił się w siodle, chwycił uprząż pierwszego konia i zaparł się, by zatrzymać zaprzęg. Dziki wrzask Brittany zagłuszył głos przybysza.

- Już po nas! Już zginęliśmy!

- Sherry, zatrzymaj się. Cholera jasna, stój! Jesteście ranne? - Camp zawisł całym ciężarem na wędzidle. - Co jej się stało, jak pragnę zdrowia? - Spojrzał z ukosa na skuloną Brittany.

Sherry nie wiedziała, kiedy i jak rozpoznała głos brata. Była tak roztrzęsiona, że mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa i nie mogła zrobić, co kazał. Ale za to w szaleńczym pędzie wyjechali z mgły. Księżyc świecił na czarnym niebie i migotały gwiazdy. Wspólnym wysiłkiem zdołali wreszcie zatrzymać konie.

Z drugiej strony wozu podjechała Emily.

- Konie poniosły? - spytała.

Camp zeskoczył z wierzchowca, nie patrząc, że ląduje w kałuży błota. Zadarł głowę, by zobaczyć, dlaczego Sherry nie odpowiada. Ledwie ją złapał, gdy ze zduszonym okrzykiem rzuciła mu się w ramiona.

- Już dobrze - szepnął, tuląc ją i poklepując niezdarnie. - Jesteś bezpieczna. Co się stało, u licha? Nie wiedziałem, że zostałyście tak daleko. Zorientowałem się dopiero, kiedy Maizie zarządziła postój.

- Spotkałyśmy uzbrojonego zbiegłego skazańca - zawołała Brittany. - Mordercę.

Camp odsunął tulącą się do niego Sherry.

- Mordercę? - Widząc bladą twarz siostry, wbił wzrok w kłębiącą się za nimi mgłę. - Zbiegłego skazańca? Skąd wiecie? Nie nabieracie mnie? - Zmarszczył brwi, patrząc ponad głowę Sherry na Emily.

Sherry położyła rękę na szyi.

- Nie był w pasiakach ani w pomarańczowym kombinezonie, jak pokazują w telewizji, ale powiedział, że jest z Huntsville i wyglądał... jak uciekinier. Nolan, chodźmy stąd, proszę.

- Sherry walnęła go polanem. Wpadł do rzeki. Mam nadzieję, że utonął - rzekła Brittany bez cienia współczucia.

- Co takiego?! - Camp znów spojrział na Emily, jakby szukając w jej oczach potwierdzenia, że się nie przesłyszał.

- Wyglądał jak typ spod ciemnej gwiazdy. - Sherry obejrzała się niespokojnie przez ramię. - We mgle wszystko jest takie niesamowite... Powiedział, że szuka złota. No sam powiedz, w taką pogodę? Czy możemy odjechać?

Camp pomógł Sherry usiąść na koźle.

- Emily, poprowadź je do Cold Springs, a ja na Taranie rozejrzę się po okolicy.

- Nie! - wykrzyknęły jednocześnie trzy kobiety.

- Camp... - Emily zajechała mu drogę. - Po co ktoś miałby się włóczyć zupełnie sam po takim odludziu?

Przytrzymał jej wyciągniętą rękę i pocałował w palce.

- To zapewne stary, Bogu ducha winny poszukiwacz złota. Jeżeli Sherry go zraniła albo jeszcze gorzej, ktoś będzie musiał pojechać do Ulysses i zawiadomić policję.

Sherry była blada jak kreda.

- Boże, nie pomyślałam o tym. Nolan, nie chciałam go mocno uderzyć. No i nie był stary; nie tak wyobrażałam sobie poszukiwaczy złota, w tym cała rzecz. Jestem pewna, że miał broń. Och, proszę cię, nie jedź.

- Uważaj, siostrzyczko, bo pomyślę, że się o mnie troszczysz. - Po raz ostatni Camp zwrócił się do Emily i rzekł cicho: - Nic mi nie będzie. Ty też uważaj.

- Możesz na mnie liczyć, Camp.

Odczekał chwilę, by mieć pewność, że odjechały, po czym wniknął w ścianę mgły. Uzbrojony poszukiwacz złota... Nie do wiary? Ale przecież do najbliższego cywilizowanego miejsca jest stąd czterdzieści mil. Coś na pewno się wydarzyło. Nigdy nie widział tak roztrzęsionej Sherry. Uderzyła go. No, no. Dokładnie to samo zrobiłaby prawdziwa pionierka. Musi o tym wspomnieć w artykule. Szkoda, że nie pisze książki.

Z uśmiechem na ustach zapalił mocną latarkę, którą pożyczył od Roberta. Ślady pozostawione przez wóz Sherry odznaczały się wyraźnie w grząskim gruncie. Rzeka przelewała się i wirowała w korycie, spowita w mgłę.

Odnalazł miejsce, gdzie wóz wyjechał z wody, ale snop światła nie przebił się przez gęste jak bawełna opary. Stąpając powoli i ostrożnie, koń wszedł do rzeki. Camp zastanawiał się, co go czeka na drugim brzegu. Zobaczy trupa czy wściekłego trampa?

Ścisnął łydkami boki Tarana, dając mu znak, żeby szedł szybciej. Dostrzegł na brzegu przewrócony kociołek Sherry, poczuł woń świeżego dymu, ale ognia nie widział. Nowa smuga mgły zasłoniła widok. Zsiadł z konia i na piechotę przeszukał brzeg. Na szczęście nie natknął się na martwe ciało. Na prawo od kolein zobaczył ślad, który wyglądał, jakby coś ciężkiego czołgało się po błocie. Nie był tropicielem, ale nachylił się i podążył za wijącym się śladem.

Gdy wreszcie ujrzał ślady stóp, kamień spadł mu z serca. Już nie wypatrywał za każdą stertą kamieni zabitego człowieka. Szedł coraz szybciej, czując na szyi ciepły koński oddech, i potknął się o rzucone na ziemię mokre ubranie. Śmignął snopem światła, które padło na drżącego, nagiego mężczyznę. Mógł być w jego wieku. Skakał na jednej nodze, wsuwając drugą w nogawkę suchych dżinsów. W przydługich jasnych włosach lśniły krople wody. Mężczyzna zamrugnął niebieskimi oczami i rzucił się po wojskowy nóż, który leżał - otwarty - na masce czerwonego jeepa.

- Spokojnie, chłopie - warknął Camp. - Nie masz powodu się mnie obawiać.

Nieznajomy mężczyzna uspokoił się trochę, oparł o jeepa i włożył spodnie.

- Bałem się przez chwilę, że to ta szalona dama, która chciała mnie załatwić. - Ostatnie słowa dobiegły Campa mniej wyraźnie, bo nieznajomy wkładał właśnie bluzę z godłem college'u - Jeżeli jest pan jej mężem, to szczerze współczuję - mruknął już ubrany, wkładając skarpetki i stare trampki. - Kiedy ostatni raz widziałem te dwie wariatki, pędziły na złamanie karku przez rzekę. Pojechałbym za nimi, żeby zobaczyć, czy nic im się nie stało, ale ta czarna nieźle mnie rąbnęła. - Dotknął głowy nad lewym uchem i skrzywił się boleśnie.

- Uhm. - Camp złapał się na tym, że pomrukuje zupełnie jak Maizie. Nie wiedział, kim jest nieznajomy blondyn, ale z pewnością nie był zbiegłym przestępcą.

- Nie dziwię się, że nieśpieszno panu ją dogonić - rzekł nieznajomy z uśmiechem. - Ma pan chwilę czasu? Raz - dwa rozpalę ogień i zaraz będzie kawa. Może być i piwo. Nazywam się Lock. Doktor Garrett Lock.

Wyciągnął szeroką prawicę, którą Camp uściskał.

- Doktor? Lekarz czy naukowiec? - Camp puścił zimne palce, zaczepił wodze o zderzak jeepa i poluźnił popręg.

Doktor Lock przykucnął obok małego, ledwie tłącego się płomienia, by go podsyć, i wskazał godło na bluzie.

- Jestem asystentem dziekana od programów współpracy w Huntsville w Teksasie. W college'u - dodał dla pewności.

- Naprawdę? - Camp obrzucił spojrzeniem długie, brudne włosy, jeepa i stary namiot. - Daleko pan zawędrował.

- Owszem. Co roku w wakacje poszukujemy złota razem z synem. Ma osiem lat. Ale w tym roku moja była żona, Carla, wychodzi ponownie za mąż. Nie widziała Keitha od czasu, kiedy się wyprowadziła. Ponieważ wychodzi za mąż, korzysta z prawa do opieki nad dzieckiem. Uparła się, żebym odesłał syna na lato do Saint Louis, gdzie ma poznać tamtego palanta, który się z nią żeni. Powinienem był zrezygnować z tej wyprawy, ale po dwóch tygodniach objania się po pustym domu... Ma pan dzieci? - Spojrzał na Campa. - Przepraszam, rozgadałem się, a nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

- Nolan Campbell. Nie mam dzieci. Też jestem doktorem. Historii. - Opierając się o jeepa, skrzyżował nogi i wymienił nazwę swojego college'u w Columbii.

- Nie żartuje pan? - Lock zasypał go pytaniami o kampus, wyrzucając stare fusy i parząc świeżą kawę.

Camp odpowiadał na serię pytań, padających szybko jedno po drugim, a na jego czole rysowała się coraz głębsza bruzda.

- Jaki ten świat mały. W przeddzień wyjazdu z Huntsville wysłałem podanie do pańskiego college'u, gdzie zwolniło się stanowisko dziekana wydziału nauk społecznych. - Westchnął. - Niech mnie pan dobrze zrozumie: lubię to, co robię, ale Carla domaga się częstszych kontaktów z Keithem i wypadałoby, żebym

przeprowadził się gdzieś bliżej. Wcale nie chcę mieszkać w tym samym mieście, Columbia to kompromis. Więc zadzwoniłem do informacji o etatach na uczelniach i tak dowiedziałem się o tym wakacie.

- Hm. - Camp wbił wzrok w swoje buty. - Nie wiedziałem, że nasz dziekan odchodzi. - Stanowisko, o którym mówił Lock, zajmował nadal szef Sherry. To by dopiero było, gdyby ktoś, kogo wzięła za przestępcę, został jej szefem! Niesamowity przypadek.

Wyobrażał sobie, jaka burza się rozpęta. Ale niepotrzebnie martwi się na zapas. Wakat na stanowisku dziekana jest niezłym kąskiem, na pewno napłynęły setki zgłoszeń. Nawet jeśli Lock ma odpowiednie kwalifikacje, skąd pewność, że dostanie tę pracę?

- Chyba jednak napiję się piwa - zdecydował.

- Proszę. - Lock uśmiechnął się przeprasząco, odsłaniając równe, białe zęby. - Nie będę panu towarzyszył, bo po przymusowej kąpieli muszę napić się czegoś gorącego.

- Rozumiem. Ja tu często przemierzam do kości.

Camp opowiedział pokrótce o artykule, nad którym pracował, i o tym, skąd się wziął w tej dzikiej okolicy. W ramach samoobrony nie wspomniał, że szalona kobieta o ciemnych włosach jest jego siostrą.

Garrett Lock zniknął w czeluściach wysłużonego namiotu. Wyniósł stamtąd piwo i dwa składane stołki. Podał też Campowi wizytówkę.

- Niezależnie od tego, czy zostanę dziekanem, chciałbym przeczytać pańską pracę. Ja zajmuję się teraz kobietami, które po latach spędzonych w domu podejmują znów pracę zarobkową. Łatwo przyznajemy im stypendia, żeby uzupełniły wykształcenie, a zapominamy o tym, że one same nisko siebie oceniają i są niejednokrotnie mało asertywne. Ale w pańskiej grupie, jak się domyślam, nie ma takich problemów. - Z żalną miną znów dotknął głowy.

Camp zaczekał, aż Garrett naleje sobie gorącej kawy, i wzniósł toast piwem w puszcze.

- Za kobiety na szlaku Santa Fe, te niegdysiejsze i dzisiejsze. Wie pan, moi koledzy spodziewają się, że kobiety nie dadzą sobie tu rady. Ja też z początku miałem wątpliwości, ale zmieniłem zdanie.

Lock nie uśmiechnął się.

- Jestem socjologiem i staram się zachować otwarty umysł, ale w sytuacji, w jakiej sam się znalazłem, cóż, jestem tylko człowiekiem. Złości mnie, że moja była żona zaniedbywała naszego syna, bo tak ją zaabsorbowała kariera w banku. Dopiero teraz jej się odmieniło.

Camp pociągnął łyk piwa i pomyślał o przykrych doświadczeniach Emily z mężem i z teściami.

- Darzę uczuciem pewną panią z dwójką dzieci, przy czym jedno z nich wolałoby, żeby matka miała do czynienia z kosmitą niż ze mną. Przypuszczam, że pańska była żona też ma nielekkko.

- Możliwe. Ale właściwie dlaczego poruszamy takie przygnębiające tematy? Niech mi pan opowie coś więcej o pańskim college'u i Columbii.

Camp spełnił prośbę. Rozmawiali jeszcze o filozofii nauki, Campowi tak się przyjemnie gawędziło z Garrettem, że nie miał ochoty odjeżdżać. Ale skończył piwo, a poza tym wiedział, że inni będą się martwić, jeżeli szybko nie wróci. Wstał i docisnął popręg Tarana.

- Nie mam przy sobie wizytówki. Jeśli zechce pan nieoficjalnie rozejrzeć się po kampusie, znajdzie pan mój telefon w książce.

- Pomoże mi sama świadomość, że mam znajomego wśród wykładowców, jeśli zostaną wezwany na rozmowę. Uważajcie na siebie. Odebrałem na krótkofalówce wiadomość od radiowca amatora spod Houston, że idzie huragan. Zastanawiałem się właśnie, czy wracać do domu, kiedy spotkałem pańskie... przyjaciółki.

Camp ożywił się.

- Huragan? A my musimy jeszcze dwa razy przekroczyć North Canadian i Carizozo.

Lock cicho gwizdnął.

- Nie wiadomo, czy deszcze przesuną się w głąb lądu.

- Dzięki za ostrzeżenie. Staramy się jak najdokładniej naśladować osadników, ale nie będziemy niepotrzebnie narażać niczyjego życia. - Camp uścisnął dłoń Locka. - Życzę powodzenia w polowaniu na pracę.

- Niech pan powie tej kocicy, że może się znowu na mnie natknąć. - Gdy Camp dosiadł konia, dodał: - Nie spytałem, czy mieszka w Columbii. Mogę ją spotkać w jakiejś ciemnej alejce? - Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Camp pomyślał przez chwilę o tym, co zataił - pozycji zawodowej Sherry i łączącym ich pokrewieństwie. Jaka jednak jest szansa na to, że człowiek wyglądający jak Grizzly Adams dostanie pracę na uczelni kierowanej przez stateczną radę nadzorczą? Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

- To dobrze - odparł Lock i zasalutował. - Gdyby spotkała się na ringu z Evanderem Holyfieldem, stawiałbym na nią, że go znokautuje.

Camp ścisnął kolanami konia i wjechał w ciemną rzekę, a Garrett Lock rozplynał się we mgle. Oglądając się za siebie, Camp odniósł wrażenie, że całe to spotkanie mu się przyśniło. Sherry z pewnością nie uwierzy, że człowiek, którego uznała za zbiegłego więźnia, ma chrapkę na stanowisko jej szefa, który chodził zawsze w szytym na miarę garniturze i nosił jedwabne, włoskie krawaty.

Gdy wyjechał z rzeki, pokazały się gwiazdy, a księżyc zaczął muskać srebrzystymi promieniami trawy mokrej prerii. Patrząc na usiany gwiazdami bezmiar przestrzeni, trudno było uwierzyć w nadciągającą burzę.

Nim dojechał do stojących rzędem wozów, Sherry wybiegła mu na spotkanie. Była blada, oczy miała podkrążone.

- Gdzieś ty był? Już się bałam, że ktoś cię zastrzelił. Camp zeskoczył z konia.

- Więc ucieszy cię wiadomość, że nie widziałem ani trupa, ani żywego, uzbrojonego mężczyzny.

Chwyciła go za rękaw.

- Dzięki Bogu! A więc go nie zabiłam. Och, Nolan, tak się martwiłam.

- O mnie czy o niego? - spytał lekko.

- Przede wszystkim o ciebie, ale o niego też. - Zagryzła wargi, a potem rzuciła się bratu na szyję i pocałowała go w policzek. - Ze zmartwienia aż mi słabo, idę się położyć. Wszyscy już poszli spać. Aha, Emily zostawiła dla ciebie duszone mięso z warzywami i prosiła, żebyś wygasił ognisko.

Odruchowo spojrział na jedyne płonące ognisko. Serce zabiło mu szybciej na myśl, że Emily na niego czeka, ale szybko odzyskało miarowy rytm. Położył rękę na szyi Sherry i cmoknął ją w czoło.

- Muszę zająć się koniem. Potem zrobię porządek z ogniskiem. Jestem tak zmęczony, że nie chce mi się jeść.

- Przepraszam, że przeze mnie musiałeś szukać wiatru w polu. Odtąd będę się pilnować i już nie zostanę w tyle.

- Dobrze, a ja będę bardziej uważał. Sherry...

- Tak? - Odwróciła się, słysząc jego poważny głos.

- Wiem, że ciągle się sprzecząmy, ale chciałem ci powiedzieć, dawno tego nie mówiłem... że cię kocham.

- Nic ci nie jest, Nolan?

Podszedł, chwycił ją ręką za szyję i potrząsnął.

- Nic mi nie jest. Czy człowiek nie może raz na jakiś czas powiedzieć rodzonej siostrze, że ją kocha?

Sherry poruszyła się niespokojnie.

- Może. Ja ciebie też, Campbell. Nie mów o tym nikomu, ale przyjemnie jest wiedzieć, że zawsze mogę na ciebie liczyć. - Uśmiechnęła się ironicznie. - Dość tych sentymentalnych gadek. Muszę lecieć.

Camp, przed chwilą zamyślony, teraz poczuł lekkie zniecierpliwienie, patrząc za biegnącą siostrą. Była kiedyś trudnym dzieckiem, a potem krnąbrną pannicą.

- To było bardzo miłe z twojej strony - odezwał się cichy głos w cieniu jego wozu.

- Emily? - spytał radośnie.

- Sherry chce uchodzić za silną i niezależną, ale w środku jest miękka jak stopiony wosk. I bardzo samotna, choć tego nie okazuje.

Zdjął siodło z konia.

- Zdobyłaś się na bardzo wnikliwą analizę kogoś, kogo znasz zaledwie od sześciu tygodni.

- Camp... - Omal się nie wygadała, że zna Sherry o wiele dłużej, że się przyjaźnią i pracowały razem w komisjach międzyuczelnianych.

- No, nie chciałem ci dokuczyć. Zapomniałem, że psychologowie mają wprawę w sondowaniu ludzkich dusz.

Wziął zgrzebło, wycesał konia, a potem odprowadził na wysoką trawę i założył pęta. Emily stała w miejscu ze splecionymi dłońmi, z pionową zmarszczką między brwiami.

- Rozmawialiśmy o kobietach. Nie twierdzą, że znam się na mężczyznach. Raz pokpiłam sprawę.

- Nie oceniaj się zbyt surowo. Naprawdę nie chciałem ci dopiec. Jestem zmęczony. Mam za sobą długi dzień.

- Wiem. - Westchnęła. - Kiedy wróciliśmy do obozu, Brittany przez godzinę nie mogła się uspokoić. Cieszę się, że nikogo nie znalazłeś.

- Ani śladu przestępcy. - Czuł się trochę winien, że nie mówi całej prawdy, ale nie mógł powiedzieć o Garreecie Locku, bo tymczasem chciał to ukryć przed Sherry. Popatrzył w niebo. - Czy Maizie mówiła o tym, że znów może nadejść burza?

Emily podażyła za jego spojrzeniem i otuliła się ciasniej kurtką.

- Trochę mocniej wieje i ochłodziło się. Nie, nic nie mówiła. Przynajmniej przy mnie. Usiądź przy ogniu, na pewno jesteś głodny. Zostawiłam dla ciebie porcję.

Przytrzymał ją za łokieć. Kiedy odwróciła się do niego, przyłożył dłoń do jej policzka.

- Dziękuję, że się tak o mnie troszczysz. Od dawna chcę z tobą porozmawiać. O nas.

Wygięła usta w podkówkę i spojrzała na niego smutno.

- Nie ma żadnych „nas”, Camp. Może ci się wydawać, że Megan tylko robi dużo szumu, ale ona naprawdę jest wstrząśnięta tym, jak została potraktowana przez Monę i Toby'ego. Nie mogę teraz zrobić nic, co naruszyłoby jej kruche poczucie bezpieczeństwa.

- Masz prawo do własnego życia, Emily.

- Mam swoje życie. Mam dom, dzieci, pracę. Poczuł, jak drży.

- Czy to wystarczy, Em? Co będzie za pięć lat, kiedy dzieci wyfruną z gniazda, a praca stanie się rutyną?

- Za pięć lat Mark będzie jeszcze w szkole średniej, a ja będę się rozwijała w swojej pracy - rzekła z rozpaczą.

- Na pewno. Nie będę się z tobą kłócił, Emily. Nie zamierzam utrudniać ci życia. A teraz powiedz, gdzie zostawiłaś posiłek dla wygłodzonego wędrowca.

Spróbowała wycisnąć z siebie śmiech.

- Nie bądź taki cholernie uległy i ustepliwy, Campbell. Kobieta lubi mieć złudzenie, że warto o nią walczyć. A poza tym dobrze wiesz, gdzie gotuję.

Już miała odmaszerować w stronę migoczącego ogniska, gdy chwycił ją za rękę.

- Z kim mam walczyć? Z Megan? Z twoimi teściami? Mam zamiar porozmawiać z Megan. I nie przeczę, że przyszedł mi do głowy pomysł, żeby was wykraść. Całą trójkę.

Z ust wyrwało jej się westchnienie.

- Mówiłam ci to już, ale chętnie powtórzę. Jesteś dobry i taki miły, ale rozmowa z Megan przypomina walenie głową w mur. Wykradzenie mnie to piękna mrzonka, ja jednak nauczyłam się dawno temu, że nie można uciec od swoich zobowiązań. Muszę jednak przyznać, że dobrze na mnie działasz. Byłam taka przygnębiona, użalałam się nad sobą.

- To najgorsza rzecz, jaką możesz zrobić, Emily. Zostaniesz, dopóki nie zjem? Aż wstyd o to prosić, bo pewno też padasz z nóg. Napracowałam się dziś podwójnie.

- Jestem nocnym markiem. Nawet jeżeli wstanę bardzo wcześnie, wieczorem łatwo nie zasypiam.

- A więc i to nas łączy, kłopoty z zaśnięciem. Ale ja, jak już zasnę, mogę spać do południa, a ty zrywasz się z kogutami. Przed kogutami, bym powiedział.

- Zostało mi to z dzieciństwa spędzonego na farmie. Musieliśmy karmić kury i koguty.

- I doić krowy, i brnąć w śniegu dziesięć mil do szkoły.

- Uśmiechając się filuternie, Camp nachylił się nad garnkiem i nałożył jedzenie na talerz. Dzięki dostawom Terrilla jedli obfitsze i bardziej urozmaicone posiłki niż niegdyś pionierzy. - Pachnie wspaniale. Nie przypuszczałem, że jestem taki głodny.

- Wziął widelec od Emily, usiadł i zaczął jeść.

- Wiesz, Camp, nie czułam się pokrzywdzona, że żyję na farmie, choć bez przerwy pracowaliśmy. Czasem na pewno trochę marudziłam, jak wszystkie dzieci, którym każe cię coś zrobić. A ta wyprawa potwierdza wartość wszystkiego, czego się wtedy nauczyłam.

Camp zastygł z widelcem w powietrzu, zapatrzony w kobietę, która podkulila nogi na składanym foteliku. Jej oczy błyszczały jak gwiazdy; policzki jaśniały zdrowym rumieńcem. Nagle wyobraził ją sobie, krzątającą się po jego dużej, wiejskiej kuchni. Jej zręczne ręce sadyliły rośliny, zakładały ogród. Zobaczył Marka, jak biegnie do strumienia z wędką w ręku, a za nim gna Pilgrim, złoty labrador. Megan... nie pasowała do tego obrazka. Nie widział jej wyraźnie, tak jak tamtych dwoje. Potrząsnął głową i szybko doniósł widelec do ust.

- Coś się stało? - Emily poruszyła się na krześle i położyła dłoń na jego ręce. - Niedobre? Mogę zrobić jajecznicę.

- Nie chodzi o jedzenie. Czy chciałabyś znowu mieszkać na wsi, Emily?

Zesztywniała, a potem uniosła do góry rękę.

- Nie brałam tego pod uwagę. Myślałam, żeby uciec na bezludną wyspę albo do chatki skrytej gdzieś w górach. Ale ojciec, który przez całe życie prowadził gospodarstwo i znosił kaprysy przyrody, nauczył mnie, że kłopotom trzeba stawiać czoło. Powtarzał, że można uciec od problemów, ale nie ucieknie się od sumienia.

- A więc marzyłaś o ucieczce, o tym, żeby wyzwolić się z długów męża... i od teściów.

- Ale to tylko marzenie. W dzisiejszych czasach uczciwy człowiek nie może tak po prostu zniknąć.

- A gdyby ktoś spłacił twoich teściów co do centa? Rozpłynęła się w uśmiechach, oczy jej zatańczyły.

- Książę na ognistym rumaku? Wiem, że takich nie ma. Camp zamyślił się, przymierzając tę zbroję, o której tak

lekceważąco mówiła. Nie ruszył jeszcze funduszu powierniczego ustanowionego przez dziadków. Rodzice i Sherry uważali, że powinien podjąć część pieniędzy i wynająć ekipę budowlaną, która dokończyłaby remont, ale on wolał sam wykonywać wszystkie prace. Gdyby więc.

Emily wstała, przeciągnęła się jak zadowolona kotka i wzięła pusty talerz z osłabłych rąk Campa.

- Mamy za sobą wyjątkowo ciężki dzień. Wyglądasz, jakbyś był nieprzytomny. Miło jest siedzieć i rozwiązywać życiowe problemy, ale pora iść spać.

Patrząc na jej błyszczące włosy i szczupłe plecy, gdy zręcznie wkładała garnki i talerze do miski z wodą, uzmysłowił sobie, że nie odgadła, o czym myślał. Skoro tak, postanowił jeszcze zaczekać. Po co się spieszyć, mógłby ją wystraszyć. Zostało jeszcze kilka tygodni na szlaku. Dość czasu, by obłaskawić Megan. Dość czasu, by i jemu wszystko ułożyło się w głowie w jakąś całość. Jego ręce aż się rwały, żeby objąć Emily i nie puszczać przez całą chłodną noc, ale zadowolili się krótkim uściskiem i przyjacielskim pocałunkiem na dobranoc.

Emily patrzyła, jak Camp gasi ognisko, i rozmyślała nad tym, że zwykły całus rozpala w niej gorący płomień. Skryła swoje uczucia, gdy odprowadzał ją do wozu. Podziękowała mu zdawkowo, kiedy pomógł jej wsiąść. Lecz potem dłuższą chwilę siedziała w

ciemnościach, wsłuchując się w równy oddech córki, rojąc sobie, że pożegnała się właśnie z rycerzem na ognistym rumaku.

No nie, jak może tak głupio marzyć! Jeżeli Nolan Campbell przez trzydzieści osiem lat nie znalazł uciśnionej damy, której mógłby pośpieszyć na ratunek, trudno było oczekiwać, że zainteresuje się wdową z dwójką dzieci i masą kłopotów.

Rozdział 12

Nawet największy twardziel, wybierający się na podbój Dzikiego Zachodu, nie lekceważył matki natury.

Camp, obudzony przez burzę, przypomniał sobie to ważne zdanie z jednego ze swoich wykładów.

Silny wiatr wyrwał Campa ze snu. Po rozstaniu z Emily siedział jeszcze dość długo, zapisując relację Sherry ze spotkania z profesorem Lockiem. Sherry pominęła niektóre szczegóły, Brittany zaś udramatyzowała incydent tak, że można by zrobić z niego film. No i jeszcze on sam widział się przecież z tym człowiekiem...

Ziewając, wygramolił się ze śpiwora i od razu poczuł, jak bardzo się ochłodziło. Teraz już wiedział, dlaczego Maizie należała, by zaopatrzyli się w ciepłą bieliznę. Miał długie kalesony; postanowił je teraz odszukać. Brr! Potarł zgrabiałe ręce i po chwili wkładał kalesony, pochwalając w myślach przezorność Maizie.

Kiedy wyszedł na ostry wiatr, zaczął łapać czajniki i aluminiowe foteliki, które sunęły po ziemi. Nim zabrzmiała pobudka, zebrał sporo poniewierających się rzeczy, między innymi plecione krzesła Maizie, którego wóz stał w odległości równej mniej więcej boiska do futbolu.

- Dzięki, synu - powiedziała zdyszana, gdy nadbiegła. - Cieszę się, że wcześniej wstałeś. Nie wiem, czy wichura dopiero się zaczyna, czy zahaczył nas ogon wczorajszej burzy.

- Podobno znad zatoki nadciąga huragan.

- To mi się nie podoba. Ani trochę!

- Czy mamy zamknąć luki i zarzucić kotwicę?

Maizie popatrzyła wyblakłymi oczami w niebo, które zaczęło się nieco rozjaśniać.

- Tu jesteśmy stadkiem bezbronnego ptactwa. Jeżeli zaraz wyruszymy, przy odrobinie szczęścia dotrzemy do Okrągłej Góry lub Zajętych Uszu, zanim nawałnica się rozsialeje.

Ledwie to powiedziała, nadbiegł Robert, który w skórzanej czapce z nausznikami i grubej kurtce wyglądał trochę jak niedźwiedź.

- Na południowym wschodzie widać czarnosine chmury. Co ty na to? Czekają nas kłopoty?

Maizie rozpakowała gumę do żucia.

- Campbell słyszał, że znad zatoki nadciąga huragan. Obliczyłam, że mamy jakieś siedem, osiem godzin jazdy, nim

nabierzemy pewności, czy burza się rozeszła, czy nie. Powiedźcie wszystkim, że ruszamy.

Ale najpierw wszyscy musieli odnaleźć zawieruszone rzeczy. Pośpiesznie wykonano niezbędne czynności i nikt nie napomknął o śniadaniu. Nawet konie poruszały nozdrzami, jakby wachały wiatr, i kładły uszy. Jak zwykle clydesdale'e zachowywały spokój, a belgi i perszerony podskakiwały nerwowo jak źrebaki na wiosnę.

Camp przed wyjazdem zatrzymał Marka.

- Będziemy walczyć z silnym wiatrem, synu. Ustaw się za Robertem. Niech jego wóz cię osłoni.

- A Sherry i nauczycielki? A mama? Powozi czterema belgami.

- Wiem. - Camp położył rękę na ramieniu Marka. - Wszyscy są dobrymi woźnicami. Jared będzie w odwodzie, gdyby ktoś musiał odpocząć. Pierwszy postój jest zaplanowany przy McNees Crossing. Tam się naradzimy.

- Dobra. Dziękuję, że nie kazałeś mi ustąpić miejsca Jaredowi. Wiem, że jest starszy i ma więcej doświadczenia.

- Świetnie sobie radzisz, Mark. Tylko pamiętaj, prawdziwy mężczyzna zna granice swoich możliwości. Nie boi się poprosić o pomoc.

Chłopiec kiwnął głową.

- Rozumiem. Ty nie wygłaszasz kazań jak Toby. Kiedy coś mówisz, wszystko rozumiem. Chciałbym, żebyś był moim tatą, Camp.

Camp rozmasował sobie kark.

- Będę o tym pamiętał.

Gdy stał i patrzył za Markiem, który poprowadził konie na miejsce, z tyłu wozu wyjrzała Gina Ames.

- Masz moje pełne poparcie, Campbell, jeżeli jest ci potrzebne. Przed wyprawą Sherry tyle na ciebie wygadywała, że uznałam cię z początku za męskiego szowinistę. Mile się rozczarowałam. - Schowała głowę i związała brzegi płótna.

Zaskoczony Camp ruszył do swego wozu. Ze słów Giny wynika, że była w kontakcie z Sherry jeszcze przed wyprawą.

- Camp? Czy coś się stało? - Emily wstrzymała konie.

- Nic, nic. - Podeszedł do niej i położył rękę na jej dłoni w rękawiczce. - Czy masz na sobie ciepłą bieliznę? - Poza Emily wszyscy pogrubieli, jakby przez noc przybrali na wadze pięć funtów. Może zapomniała cieplej się ubrać? Nie chciał, żeby zmarzła.

- Co za pytanie. - Dźwięczny śmiech poleciał z wiatrem. - Mam jedwabną - rzekła półgłosem, przeciągając ręką po udzie. - Nie taka gruba jak bawełniana i daje więcej ciepła.

- Błagam cię, mamó! - Megan wysunęła rozczochraną głowę na ostry wiatr, i równie szybko ją cofnęła. - Gdybym ja powiedziała facetowi, jaką noszę bieliznę, byłabym głupią krową.

Emily zaczerwieniła się jak burak, wysunęła spod kurtki szalik i zasłoniła nim uszy. Trzasnęła kilka razy wodzami i wóz odjechał.

Upłynęła dłuższa chwila, odmierzana biciem serca, nim Camp odsunął od siebie obraz jego dłoni sunącej po udzie Emily. Otrząsnął się i ruszył za nią. Konie widocznie czuły, że coś wisi w powietrzu, bo mocniej waliły kopytami w ziemię.

W znoju pokonywali każdą milę, wiatr szarpał ubranie woźniców. Po niecałych dwóch godzinach jazdy oderwało się płótno z wozu nauczycielek. Wiatr wywiał ze środka worki, papiery i ubrania - cięższe rzeczy spadły z łoskotem na ziemię, lżejsze pofrunęły nad prerią. Tabor stanął. Mark i Jared pobiegli łapać trzepoczące ubrania, które wyglądały jak latające duchy i mogły wystraszyć konie. Ciężkie płótno wzdymało się i łopotało, więc Camp i Robert mieli pełne ręce roboty, nim znów je przywiązali.

Emily i Sherry przyłączyły się do pogoni za zbiegłymi przedmiotami. Wróciły ze zdobyczą zdyszane i czerwone.

- Fiu! - Emily odplątała szalik. - Teraz wiem, dlaczego pionierki tak szybko się starzały. Ten wiatr nie daje żyć!

Sherry wyciągnęła krem do ust.

- To na pewno małe oszustwo - powiedziała, robiąc minę pod adresem brata - ale inaczej miałabym po wyprawie skórę jak krokodyl. Na to się nie godziłam.

- Nie przypominam sobie, żebym cię o to prosił.

- Mówiłeś, że kobiety nie potrafią zrezygnować z przyjemności i wygod na czas potrzebny do przejechania z Missouri do Santa Fe.

- Lyle to powiedział. - Camp zdjął rękawiczkę. - Jeżeli użyczysz mi tego specyfiku, obiecuję, że nasza chwila słabości nie zostanie opisana w mojej ponurej opowieści.

- Nie żałuj sobie, ogłoś całemu światu, że jestem wymoczkiem. - Sherry trzepnęła go w ramię, a potem podała krem.

- Auć! - Potarł bolące miejsce. - Rąbnęłaś polanem w głowę jakiegoś biedaczynę, a teraz wyżywasz się na mnie. Może

powiniennem ostrzec świat przed skłonnością do okrucieństwa porywczej Sherilyn Campbell.

Obtańczyła go wokół, grając mu na nosie.

- Wczoraj działałam w samoobronie. - Urwała i popatrzyła na Campa i Emily, którzy śmiali się z jej wygłupów. - Wyglądacie, jakbyście się tutaj świetnie bawili, jakby ta męczarnia była dla was przyjemnością.

Camp oparł czoło o czoło Emily. Oboje uśmiechnęli się głupkowato.

- Właśnie to miałam na myśli - jęknęła Sherry. - Znów to samo. Co z wami? Jesteście zakochani czy co?

Camp pośpiesznie zaczął smarować usta. Emily skuliła się tyłem do wiatru.

- Nie lubię burz, ale... oddycham tu pełną piersią. Czuję się wolna. Wiesz, Sherry, jaka przedtem byłam spięta.

Zakręcając tubkę, Camp popatrzył zaskoczony to na jedną, to na drugą.

- Odnoszę wrażenie, że znacie się od dość dawna.

- Och! - Emily zakryła usta. Po co obiecała Sherry, że nie wygada się przed jej bratem o łączącej ich przyjaźni?

- Nie wydawało ci się, że Emily jest bardzo spięta, kiedy ją poznałeś? - spytała żywo Sherry.

Beztraska siostry nie podobała się Campowi. Już wcześniej zastanawiał się, czy Sherry i Emily przypadkiem nie poznały się w pracy. Może chcą wpłynąć na wyniki jego badań? Albo na to, jak postrzega świat? Musi się zastanowić, czy ta nowa okoliczność coś zmienia.

Ucieszył się, kiedy Maizie przyłożyła dłonie do ust i zawołała swoje słynne: „W drogę!” Chętnie by rozważył, czy słowa Emily pasują do wcześniejszej uwagi Giny. Czy coś z tego wynika? Sherry i Emily mogły poznać się na jakiejś konferencji, to oczywiste, ale skąd jedna albo druga może znać Ginę?

Najbardziej dręczyło go to, że kobiety - jak się domyślał - kłamały; zawiązały spisek pod przewodnictwem - jak przypuszczał - kochanej siostruni. Nie miał jednak teraz czasu się tym przejmować.

- Zobaczmy się przy McNees Crossing - rzekł, żegnając się skinieniem głowy. - Nie podoba mi się kolor nieba.

- Może słońce próbuje przebić się przez chmury - bąknęła Emily.

- Może.

Nie powiedział, że gdy kiedyś widział takie niebo, trąba powietrzna zniszczyła nowy murowany dom wuja. Camp miał wtedy dwanaście lat, a Sherry była całkiem mała. Zjechali się na rodzinne spotkanie. Pamiętał, że piekli steki w ogrodzie, gdy matka zwróciła uwagę na brudnożółty odcień nieba. Ledwie zdążyli schronić się w garażu, gdy ni stąd, ni zowąd pojawiła się chmura w kształcie leja. Nigdy nie zapomniał, jakie wyrządziła szkody.

Żałował, że nie miał kiedy porozmawiać z Maizie o odmienionym niebie. Nie chciał jednak opuszczać swego miejsca w szyku i zostawić Emili bez opieki.

Wszyscy byli niespokojni, przygnębieni, a także głodni, gdy Maizie zarządziła krótki postój przy McNees Crossing. Usiedli na wietrznym cyplu i popatrzyli na kłębiącą się w dole rzekę North Canadian, której wody pieniały się i wirowały, tworząc głębokie wiry.

- Przejeżdżamy na drugi brzeg i bez zatrzymywania jedziemy dalej - zarządziła przewodniczka. - Jeżeli macie pod ręką coś do jedzenia, pojedajcie, ale postój odwołany.

- To nieludzkie poganiać nas jak osły - zawołał Fil. - Musimy odpocząć i zjeść. Powinniśmy się zbuntować.

Maizie zrobiła z gumy do żucia duży różowy balon, który pękł na wietrze.

- Świetnie, zostań sobie. Pokaż wszystkim, jaki jesteś głupi. Gdybyś miał kiedyś przyjemność znalezienia się oko w oko z trąbą powietrzną, panie Filadelfia, trząsłbyś się teraz jak galareta. Nie mam ochoty wystawiać się na taki wichur na środku równiny.

- Trąba powietrzna? - Harv splunął. - Te chmury są bardzo daleko. Nabierasz nas. Chcesz nas zagonić na śmierć, bo straciliśmy dużo czasu przez te bachory.

- Uhm! Wierz w co chcesz, wolna wola. Przejeżdżamy rzekę pojedynczo. Robert, ty pierwszy. Trzymaj się na lewo od tej kępy krzewów i nie daj się znieść z prądem. Mark, dasz radę sam?

Mark skulił się mimo wełnianej kurtki. Rdzawe piegi odcinały się wyraźnie od bladej twarzy.

- Jestem zmęczony. Jeśli Jared nie musi pomagać mamie albo Sherry, to proszę, żeby kawałek poprowadził za mnie.

W czapce lotnika, zapiętej ciasno pod brodą, i puchowej kurtce nałożonej na skórzaną kurtkę z frędzlami, Maizie wyglądała jak nieszczęśliwy troll.

- Przypominam, każdy trzyma parę lejców. Emily, jesteś doświadczonym woźnicą, więc ty siądziesz po lewej, a Megan po prawej. Sherry i Brit, wy podobnie. Doris i Vi, same ustalcie, która ma więcej Siły. Jared, pomóż Markowi.

Camp popatrzył na poważne twarze wymienionych osób. Megan oddychała szybko, jakby się dusiła. Brittany miała twarz zastygłą jak maska,

Robert podjechał do matki.

- Może Camp i ja przywiążemy do naszych wozów wierzchowce, przeprawimy się, a potem przepłyniemy z powrotem na koniach, żeby poprowadzić wozy kobiet?

Maizie spojrzała twardo.

- Nie mamy tyle czasu, Robby.

- Ty tu rządysz - rzekł Camp ochryple.

- Cieszę się, że ktoś o tym pamięta. - Maizie spiorunowała wzrokiem Harva Shawa. - Kolejność jest taka. Pierwszy Robert, za nim Emily z Megan. Potem ty, Camp. Następnie Sherry i Brittany. Jared i Mark. Doris i Vi, a za nimi Harv. Ja przeprawię się ostatnia, zaganiając zapasowe konie. No to jazda! - krzyknęła.

Robert przedostał się na drugą stronę bez przygód. Prowadzący koń Emily potknął się i przykleknął. Camp był za daleko, by jej pomóc. Przeprawiał się nieco bardziej w górę rzeki i zaciskając zęby, parł naprzód. Rozluźnił napiętą twarz dopiero wtedy, gdy przednie koła wozu Emily wjechały na płyciznę. Pobiegł do niej z okrzykiem podziwu. Megan padła mu w ramiona, lecz gdy przytulił ją zaskoczony, zorientowała się, co zrobiła, i raptem go odepchnęła.

Na środku szalejącej rzeki Sherry miała kłopoty. Brittany gapiała się w wodę jak zahipnotyzowana. Prowadzący koń po jej stronie stanął dęba, wrywając lejce z omdlałych dłoni. Osuwające się rzemienie zdezorientowały konie, które wystraszyły się, a potem zaryły w miejscu. Sherry w żaden sposób nie mogła ich namówić, żeby ruszyły.

Robert złapał linę i pobiegł wzdłuż osuwającego się brzegu. Zręcznie, jak każdy kowboj, zrobił pętlę i zarzucił ją na łeb

krnąbrnego perszerona. Camp też chwycił za linę i we dwóch, zapierając się z całej siły, zmusili zaprzęg do wyjścia na brzeg.

Sherry miała ochotę udusić Brittany, lecz kiedy ta się rozkleiła, Sherry zrobiło się przykro.

- Już dobrze, Brit. Udało się. Nie płacz.

Pozostali, poruszeni przygodą Sherry, bezpiecznie przeprawili się przez rzekę.

- Wiem, że jesteście z siebie dumni, i słusznie - Maizie przekrzykiwała wiatr - ale burza posuwa się szybciej od nas. Odłóżcie gratulacje na później, kiedy znajdziemy się pod osłoną Zajęczych Uszu. Przed nami jeszcze kawał otwartej prerii. Ustawcie cztery wozy w szeregu. Ja pojedę na końcu. Jeżeli ktoś zobaczy komin tornada, niech wrzeszczy. Wszyscy mają siedzieć na swoich miejscach, gotowi w każdej chwili zeskoczyć na ziemię i skryć się pod wozem.

- A ja? - Gina postukała w zabandażowaną rękę i nogę w gipsie.

- Ja ci pomogę - zapewnił ją Mark. - Nie zostawię cię. To należy do moich obowiązków.

Emily była dumna z dojrzałej odpowiedzi syna, lecz zaraz potem zmartwił ją szloch Megan. Przygarnęła córkę, by ją pocieszyć, a jej samej dodała sił ciepła dłoń Campa, którą poczuła na ramieniu.

Harv Shaw zapiął niby westernowy pas wyżej na brzuchu i podszedł kołyszącym się krokiem do Maizie.

- W prospekcie nie było ani słowa o tornadach.

- Bardzo mi przykro, nie na każdą wyprawę udaje się je zamówić - odparła z sarkazmem.

Zadrgały nozdrza bulwiastego nosa.

- To nie jest śmieszne.

- A żebyś wiedział, że nie. Ja też nadstawiam karku, więc koniec pogaduszek i w drogę! Im prędzej znajdziemy jakąś osłonę, tym lepiej.

- Dlaczego zabrałaś te kobiety i dzieci? Przez nie jedziemy wolniej.

- Zamknij się! - Camp minął Emily i złapał Harva za poły kurtki.

- Te kobiety nie urządzają takich scen jak ty. Robią, co do nich należy! A poza tym to nie twój interes.

Emily zaklaskała głośno i powoli; Sherry i Gina zrobiły to samo. Fil odtrącił ręce Campa i odszedł, mamrocząc gniewnie pod nosem.

- Jeśli o mnie chodzi, każdy ratuje się jak umie. Nie oczekujcie, że będę niańczył jakieś głupie baby. Ja z żoną ruszamy. Spróbujcie nas dogonić.

- Jedną chwileczkę, do diabła! - Maizie ruszyła za nim. Harv wdrapał się na kozła, zaciął lejce i ruszył na prerię, aż wóz podskakiwał na nierównościach. Maizie wypluła gumę w tę stronę, w którą odjechał. Camp wyjątkowo żałował, że nie strzyknęła tytoniem.

- Chcesz, żebym dogonił palanta i nauczył go dobrych manier? - spytał.

- Nie. Niech jedzie. Na każdej wyprawie znajdzie się ktoś, kto wszystkim zalezie za skórę. Jest jaki jest i raczej go nie zmienimy.

Camp zwrócił uwagę, że wszystkie kobiety, nawet Brittany i Megan, ochłonęły ze strachu, okazując zdecydowanie i hart ducha. Poczuł dumę - choć była to zarazem lekcja pokory - i żałował, że Lyle Roberts nie może tego zobaczyć. Nawet jeśli współczesne kobiety lubią korzystać ze współczesnych udogodnień, to mają też odwagę przez duże O. Kiedy ruszyli, Camp uniósł zaciśniętą pięść, wyrażając nadciągającej burzy.

Fil jechał daleko w przedzie, pozostali uformowali dwa szeregi. Dwadzieścia osiem koni prężyło się w uprzęży, ale silny, porywisty wiatr sprawiał, że chwilami odnosiło się wrażenie, jakby wozy stały w miejscu.

Trawy leżały przygniecione przez deszcz, któremu oparły się tylko krzewy dzikiej bawełny i kępki pierwiosnków. Wcześniej wędrowcy nieraz widzieli w oddali silosy i farmy; teraz czuli się, jakby byli jedynymi mieszkańcami ziemi. Pochylali się, by chronić twarze przed ostrym wiatrem i nie zauważyli, że wóz Shawów wjechał na manzanitę i twarde krzak zrobił dziurę w tylnej oponie. Pierwszy szereg wozów omal ich nie rozjechał.

- Jeźdźcie dalej! - zawołała Maizie, przekrzykując ryk wichury. - Robert i ja zmienimy oponę.

- Pomogę wam! - krzyknął Camp.

- Zostań przy kobietach. Przeszły za nami przynajmniej dwie lejowate chmury. Widzisz? Wprost na południe są Zajęcze Uszy.

Camp zmrużył zaczerwienione oczy i dojrzał sterczące daleko skały. Kiwnął głową i dał znak pozostałym, by jechali. Nie podobało mu się, że zostawia kogoś w tyle.

Belgi Emily wygięły grube szyje i pociągnęły wóz. Konie w zaprzęgu Sherry gryzły wędzidła, zatoczyły koło i omal nie wyrwały lejców z jej rąk. Camp podjechał do siostry.

- Zamieńmy się wozami - zaproponował.

- Nie, Pokażę im, kto tu rządzi. - Napinając mięśnie, Sherry zmusiła konie do zajęcia miejsca w szyku.

- Maizie mówi, że między tamtą okrągłą skałą i płaskim wzgórzem jest przejazd na skróty. Tam się kierujcie. Wyprzęgnijcie konie! - ryknął. - Tak będzie dla nich lepiej. Schronimy się między skałami.

Woźnice jak jeden mąż pokazali uniesione kciuki.

Im bliżej skał, tym groźniej się błyskało. Sypnęło gradem. Zagrzmiało. Raz po raz przetaczał się podniebny huk, a ziemia odpowiadała tętentem galopujących koni.

Oglądając się w lewo, Camp zobaczył formującą się trąbę powietrzną. Unosiła się ponad metr nad ziemią. Przez chwilę goniła za wozem Marka, potem nagle skręciła i pognąła ze świstem przez prerię. Camp z trudem przełknął ślinę i pot wystąpił mu na czoło, choć nagle zrobiło się zimno. Cały czas poganiał spienione konie i od nieustannej szarpaniny rozboleły go ramiona. Nie miał pojęcia, jak radzą sobie słabsze od niego kobiety, ale jakoś sobie radziły.

Wreszcie jadący na przedzie wóz Marka wjechał do ciemnej szczeliny między skałami - jedyne schronienia w okolicy. Camp odetchnął, gdy dotarła tam Emily. Zaprzęg Doris był następny, a tuż przed Campem skręcił w rozpadlinę wóz Sherry. Nie było czasu na radosne powinszowania. Ledwie wypięli konie z uprzęży, gdy rozległo się piekielne wycie i zakłębiły się czarne chmury.

Zakurzeni wędrowcy patrzyli w osłupieniu, jak obracający się lej wciąga małe drzewka koło przejścia. Wszędzie unosił się czerwony pył. Gniewne, czarne chmury połknęły błyskawice i dały laserowy pokaz światła. Dudniące tornado pożerało ziemię jak wygłodzony potwór.

Camp krzyknął: „Chować się!", lecz nikt się nie poruszył. Wszyscy byli sparaliżowani strachem. W końcu Emily zareagowała, pchnęła Sherry i Brittany na ziemię i pobiegła pomóc Ginie wysiąść z wozu.

Czując przyptyw adrenaliny, Camp pobiegł skalistym szlakiem. Upchnął Doris i Vi w skalnej niszy i w ostatniej chwili własnym

ciałem osłonił Marka, Jareda i Megan. Usłyszał rzenie przerażonego konia, ale nie odważył się podnieść głowy - wiatr świstał i zawodził, jakby przelatywały nad nimi złowróżbne duchy.

Wierzchowiec za wozem Campa zerwał się z uwięzi i uciekł. Konie z przynajmniej dwóch zaprzęgów puściły się szalonym galopem w tę stronę, skąd przybyły. Camp modlił się już tylko o to, by nie okazało się, że wprowadził grupę podopiecznych do śmiertelnej pułapki. Co z Emily? Czy się schowała? Kiedy ją ostatni raz widział, pomagała Ginie.

Wydawało się, że całą wieczność wczepia się palcami w ostre skały, słysząc krzyki kobiet i ogłuszające wycie tornada. W rzeczywistości trwało to niecałe dwadzieścia sekund. Kiedy zaległa cisza, wszyscy długo się podnosili i dopiero po jakimś czasie przestali się trząść i mogli przystąpić do oceniania szkód.

- Zerwało beczkę na wodę z boku wozu - zameldowała Gina, kuśtykając po dziurach w ziemi, na której mały wir wyrył głębokie ślady.

- Straciłyśmy jedną trzecią płótna z przodu wozu - doniosła zaniepokojona Vi.

- Nasze konie są oszołomione, ale całe - dodała Doris. Emily, blada i wyczerpana, objęła drżącymi rękami dzieci.

- Najważniejsze, że wyszliśmy z tej przygody bez szwanku. Czy niebezpieczeństwo już minęło i ktoś z nas może pojechać do Roberta i Maizie? - spytała Campa.

- Niebawem do nich pojedę - odpowiedział, ulegając nieodpartej chęci dotknięcia jej włosów. - Musimy najpierw złapać konie, zanim któryś złamie nogę w dziurze po trąbie powietrznej.

- Ja pomogę. - Mark wysunął się z uścisku matki. Camp ostudził zapał chłopca:

- Ty i Jared rozpalicie ogień, żebyśmy mogli się wysuszyć. Niebo na południu trochę się rozjaśnia, ale to nie znaczy, że niebezpieczeństwo minęło. Zakładam, że po tym wszystkim Maizie zechce tutaj rozłożyć obóz.

- Nie dasz rady sam zagonić wszystkich koni, które uciekły - rzekła cicho Emily. - Chłopcy rozpalą ogień, Doris i Vi zrobią zupę z proszku, a ja pojedę z tobą.

Chętnie się zgodził. Bardzo mu się podobało, że dosiądą razem - choćby na krótko - jedyne go wierzchowca, jaki się ostał. Po chwili

przyprowadził ciężkiego wałacha, którego wcześniej przywiązał do wozu Marka, podsadził Emily na szeroki grzbiet, a potem wskoczył i usadowił się za nią. Na odjezdnym poprosił Sherry, żeby spętała i nakarmiła konie, które kręciły się w pobliżu.

- Jak myślisz, czy nikomu z tamtych, którzy zostali na otwartej przestrzeni, nic się nie stało? - spytała z niepokojem Emily, gdy wyjechali poza skały.

- Widzisz? - Wskazał ręką kierunek. - Jadą do nas. Chyba nikogo nie brakuje. - Poczł westchnienie ulgi, które poruszyło ciałem Emily.

- Bogu dzięki. Wyobrażałam już sobie, że będziemy musieli kogoś pogrzebać na szlaku, tak jak pierwsi pionierzy. Rozwinęliśmy technikę, ale kiedy rozszaleją się żywioły, nadal jesteśmy zdani na ich łaskę.

- To prawda. - Objął jej szczupłe ciało. - Nie mogę się doczekać końca wyprawy. Co by było, gdyby coś złego stało się tobie albo dzieciom? Albo komuś, kogo namówiłem?

- Nie namówiłeś nas. Zgłosiłyśmy się na ochotnika.

- Dlaczego się zgłosiłaś? Znacznie więcej byś zarobiła, ucząc latem w szkole.

- Powiem prawdę - nie wytrzymała Emily. - Sherry namówiła mnie i Ginę. Powiedziałam Sherry, że chciałabym wyrwać dzieci spod wpływu teściów. A Gina poznała Sherry, kiedy chodziła do niej na kurs terapeutyczny po rozwodzie. To twoja siostra namówiła ją na wyprawę z plecakiem w Sierra Nevada. Sherry liczy na to, że pokażemy, jakie kobiety są twarde i wytrzymałe. Ale matka natura z nas zażartowała. Wobec jej potęgi wcale nie jesteśmy silne.

- Niech to diabli, więc to Sherry namieszała. Nie przypuszczałem, że potrafi być taka podstępna, ani że ty zgodzisz się na kłamstwo.

- Nie nazwałabym tego podstępem, a wypełniając podania, nie kłamałyśmy. Chociaż przyznam, że nie grałyśmy z tobą całkiem fair. Chcąc mieć w pełni obiektywny obraz, musiałybyś zabrać taką samą liczbę mężczyzn. Oczywiście wybranych losowo.

- Oczywiście - rzekł z rozdrażnieniem. - Jest jedna czwórka uciekinierów. Chcesz je odprowadzić do przesmyku, czy ja mam to zrobić?

Emily zaczęła się zsuwać z konia. W ostatniej chwili obróciła się i spojrzała Campowi w oczy.

- Gdyby nie Sherry, nie poznałabym cię. Jestem jej za to wdzięczna.

Camp poczuł, że opuszcza go napięcie. Zeskoczył z konia, wziął Emily w ramiona i pocałował.

- Odnoszę wrażenie, że Sherry nie jest aż tak zadowolona z naszej znajomości jak my. Ale nie potrafię się na nią za bardzo gniewać.

Emily przyłożyła ucho do jego piersi i posłuchała kojącego bicia serca.

- Pewnie uważa mnie za zdrażczynię. No i jest jeszcze Megan. Gdyby można było zabić spojrzeniem, już byśmy nie żyli. Co zrobimy, Camp?

Pogłaskał ją po plecach.

- Porozmawiam z Megan. Jest jeszcze trochę dziecinna, ale i trochę dorosła. Zaczekam na taki moment, kiedy nie będzie przy niej Brittany. Może wieczorem.

Emily popatrzyła na niego z powagą.

- Moje dzieci dużo przeszły. Nie mogę ich narażać na nowe stresy.

Przygarnął ją tak, że stanęła na palcach, i pocałował gorąco. Potem wypuścił ją z objęć i odszedł, przysięgając sobie, że znajdzie czas na rozmowę z Megan.

Nie znalazł jednak ani jednej wolnej chwili. Było za dużo pracy przy usuwaniu szkód. W całej grupie wzrosło napięcie, chociaż gdy Camp przyprowadził ostatniego czworonożnego uciekiniera, trwały przygotowania do uroczystej kolacji. Mieli do niej zasiąść wszyscy prócz pary z Filadelfii.

Emily upiekła ciasto z ostatniej porcji gotowej mieszanki. Vi dołożyła się, przygotowując polewę z miodu i migdałów. Gina wygrzebała z zapasów zachomikowaną dobrą kawę.

Fil i jego żona zostali ostentacyjnie wyłączeni z uczyty.

- Trzeba się cieszyć, że żyjemy. Nie hodujmy w sobie urazy - powiedział Camp, chcąc załagodzić sytuację.

Gdy przekonał się wreszcie, że wszelkie próby pogodzenia skłóconych na nic się nie zdadzą, przeprosił towarzystwo i poszedł zrobić notatki. Nie mógł znaleźć słów, którymi dałoby się opisać miniony dzień. Zapatrzonej w migotliwą lampę, zasnął.

Emily nie spała długo po tym, gdy wszyscy się rozeszli. Wspomnienie tornada było zbyt żywe. U Campa wciąż paliło się światło. Może on też martwi się, że burza znowu zaatakuje?

Podeszła na palcach do jego wozu i odchyliła z tyłu wilgotną płachtę płótna.

- Camp? - szepnęła.

Nie poruszył się. Zrozumiała, że zasnął przy zapalanej lampie. W trosce o jego bezpieczeństwo ostrożnie podeszła do lampy. Ledwie przykręciła płomień, Camp nagle się poderwał i przewrócił ją prosto na swoje zapasy żywności. Przestali się szamotać, gdy Camp nieco oprzytomniał.

- Emily? - Zamrugał zaspany, sunąc spojrzeniem po bladej twarzy i wilgotnych włosach. Drżącymi palcami pogłaskał jej policzek. - To naprawdę ty? Waśnie mi się śniłaś.

- Nie był to przypadkiem koszmar senny? - Kąciki oczu zmarszczyły się jak do uśmiechu. - Brakowało mi twojej pomocy przy zmywaniu. Inni się do tego nie palą.

Pocałował ją lekko.

- Czemu nie obudziłaś mnie wcześniej? - szepnął, muskając ustami jej szyję.

- Camp, jest późno. Powinam wrócić do siebie.

- Po co? - Połaskotał ją nosem w ucho, wdychając zapach perfum. - Pachniesz jak jaśmin na deszczu. Mmm, jak ja lubię ten zapach.

- Prędzej pachnę koniem - wymamrotała.

Całując jej powieki, ściągnął z niej kurtkę, odrzucił na bok i przyciągnął puchowy śpiwór.

- Napędziłaś mi dzisiaj stracha. Co by było, gdybym cię utracił? - Potarł brodą jej włosy.

Westchnęła, przeciągając się jak kotka.

- Nie mość mi takiego wygodnego posłania. Nie mogę zostać.

- Naprawdę? - Zdjął jej kraciastą koszulę i zawahał się, gdy poczuł pod palcami jedwabną bieliznę. - Do licha... trzeba się nieźle pogimnastykować, żeby wy dostać cię z tego opakowania.

Kiedy ściągała przez głowę koszulkę, Camp całował kawałek po kawałku jej nagą skórę. Emily dotknęła kosmyka ciemnych włosów, który opadł mu na czoło. Nagle ogarnęła ją przemożna chęć, by dotknąć jego ciała, unoszącego się w oddechu pod warstwą grubej

odzieży. Drżącymi rękami wyciągnęła mu koszulę z dżinsów i pogładziła zarosniętą skórę na piersi. Poczowała wzbierającą falę ciepła. Zapomniała, dlaczego tak jej się śpieszyło, żeby stąd wyjść. Omdlewające członki zrobiły się ciężkie. Dawno nie przeżywała takich doznań. Zbyt dawno, pomyślała.

Camp nie brał miłości lekko, ale kiedy obojgu zaczął się rwać oddech i zaparowało szkło lampy, zrozumiał, do czego doprowadzą takie pieszczoty. Emily pojawiła się w jego wozie jak nieoczekiwany dar niebios. Pragnął tym podarunkiem nacieszyć się, ile tylko się da.

- Jesteś pewna? - szepnął tuż przy uchu Emily, gdy jej palce rozpięły pierwszy guzik przy jego dżinsach. - Bo jeśli nie, masz dwie sekundy, żeby odmówić.

Jeszcze nigdy nie czuła, że robi najwłaściwszą rzecz pod słońcem. Ale przecież nie omówili tych ważnych spraw, które kochankowie powinni omawiać, zwłaszcza żyjąc w takich czasach jak dzisiejsze. Pytanie Campa obudziło w niej poczucie winy.

- Nie jestem... zabezpieczona, Camp. Przepraszam - szepnęła z żalem.

Przyciągnął ją do siebie.

- Nie przepraszaj - szepnął, całując ją zachłannie. - To ja powinienem cię przeprosić. Tak bardzo chciałem... miałem nadzieję... Kupiłem coś w Dodge.

Wymacał z tyłu worek. Było w nim pudełko, które gwałtownie otworzył, wysypując połowę zawartości. Potem w gorączce zrzucili dżinsy, ciepłą bieliznę i rozdarli jeden pakiecik. Kochali się powoli, smakując każdą chwilę, dając i biorąc, szepcząc miłosne słowa. Później Emily ułożyła się w otulających ją ramionach Campa. Rozmawiali do późna, snując plany na przyszłość, a chwilami wsłuchując się w deszcz.

Dwa razy Emily powiedziała, że musi się ubrać i wrócić do swojego wozu. Za każdym razem Camp obejmował ją ciaśniej i całował, aż przytuliła się do niego i zgodziła zostać trochę dłużej. Śmiali się, że wiatr kołysze wozem jak kołyską, i ani się obejrzel, gdy zmorzył ich sen.

- Ma - a - mo!

Przeraźliwy krzyk Megan, który rozniósł się w ciszy dżdżystego, szarego poranka, wyrwał Emily ze snu. Przerażona zaczęła zbierać ubranie rozrzucone wokół posłania Campa. Miała kłopoty z

naciągnięciem zimnej jedwabnej bielizny na ochłodzone ciało. Camp nie podzielał jej zdenerwowania. Wychylił się z pośłania i pocałował zagłębienie u dołu jej pleców.

- Wracaj do łóżka - wymamrotał. Odepchnęła go.

- Zwariowałeś? - syknęła, gwałtownymi ruchami wkładając majtki i dzinsy. - Co sobie Megan pomyśli? Nigdy nie spędziłam nocy z mężczyzną.

Camp uśmiechnął się, usiadł i przeczesał palcami jej splątane we śnie włosy.

- Dzieci pewnie łatwiej od nas akceptują seks...

Ponieważ sam zaczął wyszukiwać na podłodze części garderoby, więc nie zauważył, że kiedy określił to, co przeżyli tej nocy słowem „seks”, Emily zeszywniała.

Ubrał się pośpiesznie i wyskoczył z wozu. Uniósł ręce, żeby pomóc Emily, i w tym momencie, rozbryzgując kałuże między wozami, nadeszła Megan. Zatrzymała się tak raptownie, że wpadły na nią idące z tyłu Brittany i Sherry. Megan zbladła.

- Nie wiedziałam, że tu jesteś! - W jej oczach zamiast strachu pojawiło się obrzydzenie. - Spałeś z nim. Jak mogłeś?

- Zakryła twarz i pobiegła na oślep w deszcz.

Camp osłonił Emily. Spodziewał się, że siostra stanie po jego stronie, lecz stało się inaczej. Sherry chwyciła Brittany za rękę i patrzyła w osłupieniu to na brata, to na przyjaciółkę.

- Znajdź Megan i powiedz jej, że na razie może spać u nas - poleciła.

- Dobrze - odparła twardym głosem Brittany. - Co za obrzydliwość. Nigdy więcej nie pójdę na zajęcia Nolana.

- Co za ulga! - szepnął Camp do ucha Emily. - Chyba wreszcie się odkochała.

Ponieważ Emily milczała, nachylił się, żeby spojrzeć jej w twarz. Owinęła się ciaśniej kurtką, zwijając ciepłą bieliznę. Oczy miała martwe.

- Och, co ja zrobiłam! - zawołała. - Mona i Toby wykorzystają to przeciwko mnie.

Camp próbował ją objąć, ale ku jego zdziwieniu odtrąciła jego ręce.

- Nie mam pretensji do ciebie, Camp. Ja zawiniłam w tym samym stopniu co ty. Teraz muszę się zastanowić, co robić. Proszę, zostaw mnie samą.

Patrzył odrętwiały, jak odchodzi do swojego wozu, chlapiąc błotem z kałuż.

W nocy rozmawiali o tym, że po wyprawie będą się nadał widywać, składali sobie obietnice - tak mu się przynajmniej zdawało. A teraz Emily kilkoma słowami sprowadziła wyjątkowe przeżycie do wymiaru przelotnej przygody, co ani trochę mu się nie podobało. Ani trochę.

Rozdział 13

Kobiety wcześniej zaczęłyby jeździć na Zachód, gdyby nie parszywcy i łapserdaki kierujący ekspedycjami.

Tak napisała drukowanymi literami Brittany, pozostawiając resztę kartki pustą.

Z nadejściem poranka rześki południowy wiatr przegonił deszczowe chmury. Nad Zajęczymi Uszami zawisł łuk pięknej tęczy - obietnica ładniejszego dnia. Nikt na nią nie patrzył. Wszyscy zastanawiali się, po czyjej stronie stanąć.

Camp był w posępnym nastroju, ale przynajmniej rozpałił ogień i zaparzył kawę. Emily nawet za to się nie wzięła. Chowiała się, jakby zrobili coś złego. To niedorzeczne, złościł się. Przecież są dorośli. Są niezależni i odpowiedzialni.

Pijąc kawę i oddając się ponurym myślom, spostrzegł samotnego jeźdźca. Nie był to szukający złota profesor; nadjeżdżał ktoś obcy. Uznał, że tym powinna zająć się Maizie. Wstał, wyrzucił fusy i wyciągnął przybory do golenia. Emily wysunęła się z wozu akurat w momencie, gdy oparł lusterko na końskim korycie. Natychmiast się cofnęła.

- Zaczekaj! - Zarzucił ręcznik na ramię, doskoczył do niej i chwycił za przegub. - Emily, ja cię kocham! A ty zachowujesz się, jakbyś chciała unieważnić wszystko, co nas połączyło.

- Nie możesz mnie kochać - odrzekła po długiej chwili. - I ja... nie mogę. Och, Camp. - Łzy zalśniły w jej niebieskich oczach.

- Możemy się kochać! - zaprotestował. - Już nie jesteś sama. - Puścił jej rękę i ujął pod brodę.

Wargi Emily drżały.

- Nie rób tego, Camp. Nie każ mi wybierać między tobą a Megan. Przez wiele lat tkwiłam w złym związku, bo nie mogłam... opuścić dzieci. I teraz też nie...

- Ciii. - Przesunął palcami po jej ustach, żeby nie usłyszeć tego, czego nie chciał. - Jak mogłaś pomyśleć, że cię o to poproszę? Ty i twoje dzieci stanowicie nierozdzielny całość. Jakoś to ułożymy. Bądź dobrej myśli.

Zza wozu wyszły Sherry i Megan. Na widok zbuntowanej miny dziewczyny Camp opuścił ręce. Sherry i Megan zatrzymały się z dala od Emily, jakby była trędowata. Campa ogarnęła wściekłość.

- Megan przysłała po swoje rzeczy - oznajmiła Sherry. Emily zeskoczyła z wozu i oddaliła się. Camp nie ruszył się z miejsca, stojąc twarzą w twarz z siostrą, podczas gdy Megan weszła do środka wozu.

- Traktuję Emily poważnie. Chcę się z nią ożenić, Sherry.

- Ożenić...?

Patrzył na twarz siostry odbijającą uczucia, jakie nią targnęły - wstrząs, zdumienie - i czekał na gratulacje. Na próżno. Megan podała Sherry wypchany worek i kosmetyczkę. Potem obie wyminęły go, jakby w ogóle się nie odezwały, i zniknęły.

A więc to tak... On i Harv Shaw mają być tak samo napiętnowani. Poddani ostracyzmowi. Goląc się, Camp gotował się ze złości. Ale... czy nie czytał w dziennikach pionierów, że kobiety jednoczyły się w obronie jednej spośród siebie, gdy czuły, że została źle potraktowana? Mężczyzn zaś, który się zbyt spoufalali z kobietami, bojkotowano. Przecież to było dawno temu, do cholery! Nie potraktował Emily źle, miał uczciwe zamiary. Gdyby mieli więcej czasu na rozmowę, omówiłby z nią sprawę spłaty jej długów i uwolnienia się od teściów.

- Coś masz dzisiaj kwaśną minę, chłopcze. Co cię ugryzło? - spytała Maizie, zachodząc go z tyłu.

Zaskoczonemu Campowi drgnęła ręka i zaciął się.

- Auć! - zawołał, wycierając krew. - Nie mogłabyś włączyć klaksonu albo syreny, kiedy nadjeżdżasz? Przestraszyłem się.

- Przepraszam. Nie wyglądasz na strachajłę. - Klepnęła go po ramieniu, aż piana do golenia kapnęła na przód jego czystej koszuli.

Zgromił ją spojrzeniem.

- Nie brak ci zapału, więc dlaczego gnuśniejemy? Nie pora ruszać w drogę?

- Po wczorajszym zasłużyliśmy na to, żeby dłużej pospać, ale widzę, że tobie dodatkowa godzinka snu nie poprawiła humoru. Myślałam, że po tym, jak się wczoraj dzielnie spisałeś, będziesz radosny jak skowronek. Mam nadzieję, że nie omieszkałeś napisać o swoim bohaterstwie, kiedy tak siedziałeś do późna w nocy nad swoim artykułem.

Wspomnienie długiej nocy przeszło Campa dreszczem.

- Dzięki za pochwały, ale ja nie piszę pracy o sobie, tylko o kobietach. To one przede wszystkim zasługują na uznanie za to, jak sobie poradziły.

- Tak. Podziel się tytułem do chwały, bardzo ładnie. Słuchaj, przyszedłem z czymś innym. Stąd do Ute Greek będziemy jechać przez teren prywatny. Właściciel, Palmer Jones, przysłał posłańca z zaproszeniem na barbecue dziś po południu. Urządza święto na naszą cześć.

- Skąd wie, że tu jesteśmy?

- O świcie wysłał samolot, żeby sprawdzić, jakie są szkody na polach. Pilot powiedział mu, że tornado przeszło tuż - tuż koło nas. Znam Palmera. Cieszy się, że nie musi ściągać trupów porzucanych po świeżo zaoranej ziemi. - Maizie gruchnęła śmiechem.

Camp wesoło wyszczerzył zęby.

- Nie tylko on się cieszy.

- Słusznie, synu. Pan Filadelfia grozi mi adwokatem, więc kiedy pomyślę, co by się stało, gdybyś nie doprowadził taboru do skał, ciarki mnie przechodzą.

- Nie ma sposobu, żeby uciszyć tego pajaca?

- Kiedy ostatnio sprawdzałam, nadal obowiązywała w tym kraju wolność słowa.

- Fatalnie. - Camp znów osuszył kroplę krwi. - Czy przez to barbecue Harv nie będzie znowu narzekał, że mamy opóźnienie?

- Ziemia grząska jak w zagrodzie dla świń. Co cię trapi, chłopcze? Myślałam, że będziesz szczęśliwy jak opos w truskawkach. Farmerzy na szlaku zawsze urządzali huczne przyjęcia przejeżdżającym pionierom. Trudno o bardziej autentyczną tradycję jak gościnność Palmera.

- Przepraszam. Miałbym większą ochotę na zabawę, gdyby moja siostra i jej młodsze koleżanki nie omijały mnie i Emily z daleka, jakbyśmy mieli ospę.

- Nie są wdzięczne, że uratowałeś im skórę?

Camp łakomym wzrokiem pożerał Emily, która siedziała przy ognisku Marka i szczotkowała świeżo umyte włosy, układające się w lśniące pukle.

- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego, Maizie.

- Uhm! A więc hydra zazdrości podnosi łeb? Camp głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Czy mają prawo się sprzeciwiać? Przecież nie brak nam rozsądku, nie zapłaczymy się w nieodpowiedzialny związek.

- Może to coś dla ciebie znaczy... Kiedy się odwracasz tyłem, ta pani patrzy na ciebie cielejącym wzrokiem. Zaznaczam, to nie moja sprawa, ale dwoje profesorów powinno się uporać z każdym problemem.

Gdy Maizie odeszła, Camp zerknął w stronę Emily. Maizie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Megan go nie lubi. To ona jest główną przeszkodą. No cóż... Kiedyś nieźle biegał przez płotki, więc i tę przeszkodę pokona.

Schował brzytwę. Tymczasem Maizie powiadomiła resztę o przyjęciu w ogrodzie, co wywołało ogólne ożywienie. Tylko Camp wciąż był zamyślony. Brakowało mu żartów Emily i jej śmiechu, nie mówiąc o uczuciu błogości, jakie go ogarniało w jej obecności. Ponieważ pracował dość długo z nastolatkami, wiedział, że nie wystarczy obdarzyć Megan uśmiechem i pluszowym misiem, aby zaskarbić sobie jej przychylność. Dałby wiele, żeby dowiedzieć się, co musi w tym celu zrobić.

Z przyzwyczajenia miał na oku wóz Emily. Kiedy nie widział jej twarzy, odtwarzał w pamięci dotyk jej ust na swojej skórze. Przeżywał na nowo każdą chwilę spędzoną z nią zeszłej nocy.

Tabor sunął przez zniszczone przez burzę pola. Aromatyczna woń dymu dotarła do wędrowców, nim ukazała się farma Jonesa - wielki budynek z kolumnami i szerokimi werandami w stylu rezydencji na plantacjach Południa. Palmer i Evelyn Jones nie prezentowali się tak okazale i bogato jak ich dom.

- Witajcie, witajcie! - zawołał tubalnym, wesołym głosem gospodarz. - Złóżcie z kozłów i usiądźcie na chwilę. Pieczeń z wołu zaraz będzie gotowa! - Biała broda Jonesa kontrastowała z ogorzałą twarzą. - Mój pilot mówi, że macie więcej szczęścia niż wąż w raj. Ta burza przypominała mi tornado, jakie przeżyliśmy w pięćdziesiątym drugim.

- Palmer, kochanie, nie rozgaduj się. Niech goście coś zjedzą, zanim ich zanudzisz.

Palmer obrócił się do żony, pulchnej niewiasty o ciepłych, brązowych oczach.

- Dobrze, Evie. Przynieście te hordewry, które szykowałyście od rana razem z Corą.

Wystrojem parobcy, którzy dotąd podpierali płot, włożyli teraz słomkowe kapelusze i popędzili do wozów, by pomóc kobietom zsiąść.

Camp patrzył na trzech kowbojów, którzy biegli na wyprzódki do Emily i Sherry, potykając się w wyglansowanych butach. Nie było mu przyjemnie, gdy pełen galanterii olbrzym - wyglądający jak młody Clint Eastwood - wygrał wyścig do Emily. Pocieszyło go to, że Megan była wyraźnie zła z tego samego powodu. Ale jej złość mogła wziąć się stąd, że kowboje uznali ją za dziecko.

W wesołym harmidrze kowboje poprowadzili gości do długich stołów rozstawionych na zacisznym podwórku, pozostawiając Campa i Roberta przy wozach. Nawet Mark i Jared skusili się na kanapki, które pani Jones i Cora zaczęły roznosić na tacach. Kiedy jednak Mark przypadkiem obejrzał się za siebie, wrócił, by pomóc przy wyprzęganiu.

Wypuścili konie na łąkę, którą pan Jones wskazał Maizie. Kilka takich ogrodzonych poletek otaczało dom, tworząc oazę bujnej trawy na nie kończącej się prerii.

Wyprowadziwszy na łąkę ostatniego konia, Mark i Robert dołączyli do wesołego towarzystwa. Campowi nie śpieszyło się na podwórko, skąd dobiegał śmiech. Zerwał źdźbło słodkawej trawy i wetknął je między zęby. Wtem spostrzegł zapłakaną Megan opartą o wóz Sherry.

Ponieważ była wciąż wrogo do niego nastawiona, mógł ją zostawić samą. Lecz to było wbrew jego naturze.

- Megan... - Cisnął trawkę i podszedł do dziewczynki. - Wiesz, że czasami pomaga wyżalenie się przed kimś. Jestem nauczycielem i staram się wysłuchać każdego bezstronnie. Jeżeli masz ochotę porozmawiać...

- Daj mi spokój. - Pociągnęła nosem, wpychając piąstki w czerwone oczy.

- Gdybym dostawał dziesięć centów za każdym razem, kiedy jakiś student tak do mnie powie, byłbym milionerem. Nie musisz mnie lubić, Megan, żeby ze mną porozmawiać.

- Co ci tak wesoło? Mama szybko zaprzyjaźniła się z tamtym facetem. O tobie też zapomniała.

Camp usłyszał gorycz w schrypniętym głosie Megan.

- „Zaprzyjaźniła się” to mocne określenie jak na tak krótką znajomość. Przypuszczam, że ten młody człowiek flirtuje z twoją mamą, bo pan Jones prosił swoich pracowników, żeby byli dla nas bardzo mili. To wszystko. - Powstrzymał się od zazgrzytania zębami. - Emily cię wołała. Słyszałem.

- Wcale nie chce mnie widzieć, bo... jestem podobna do taty. Mona tak powiedziała. Nawet nie płakała, kiedy się dowiedziała, że tata zginął.

Znowu Mona.

- Nie mogę się na ten temat wypowiadać, Megan. Wiem tylko, że czasem ludzie są w takim szoku, że z początku nie płaczą. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że twoi rodzice przechodzili burzliwy okres przed wypadkiem. Twoja babcia nie wie na pewno, co działo się w sercu twojej mamy.

- Ale to prawda, że nienawidziła ojca. Nawet nie spali razem! - krzyknęła Megan.

- Kiedy małżeństwo się rozpada, nigdy nie dzieje się to za sprawą jednej strony. - Camp starannie ważył słowa, aż zdecydował się powiedzieć bez ogródek: - Twoja matka kocha cię, Megan, w to nie wątpię. Dziś rano oznajmiła, że gdyby musiała wybierać między tobą a mną, to mogę pakować manatki.

Łzy na policzkach Megan obeschły.

- To dlatego pozwoliłeś, żeby tamten się wtrynił na twoje miejsce?

Nad rozwianymi lokami Megan Camp obserwował mężczyznę, który wypadł przed chwilą z kępy topoli i teraz biegł przez pole sąsiadujące z końską łąką. Campowi wydało się dziwne, że ogrodzenie wokół tej połaci ziemi jest wzmocnione drutem kolczastym. Gdy oderwał wzrok od biegnącego, napotkał oskarżycielskie spojrzenie Megan.

- Nie w tym rzecz. Warto bić się o Emily, nawet gdyby to oznaczało bicie się z tobą do upadłego. Ale ja po prostu nie wyobrażam sobie, że mógłbym jej zrobić jakąkolwiek krzywdę.

- Niech teraz mała to przetrawi, pomyślał.

Odpowiedź Megan udaremniło wołanie o pomoc. Dobiegło z ust zdyszanego mężczyzny, w którym Camp rozpoznał nieprzyjemnego filadelfijczyka. Kilka metrów za nim szarżował z opuszczonymi

wielgachnymi rogami potężny byk. Takiego byczyska Camp w życiu nie widział!

- Szybko, zawołaj pana Jonesa albo któregoś z jego ludzi!

- rozkazał Camp, podnosząc głos, by przekrzyczeć wściekły ryk zwierzęcia. Spodziewając się, że Megan wykona polecenie, puścił się pędem na ratunek.

- Po co pomagasz temu palantowi? - zawołała Megan. Przerażenie na twarzy Harva mówiło samo za siebie, więc

Camp wdrapał się na ogrodzenie i zeskoczył na drugą stronę. Harv, który miał ponad dwadzieścia kilogramów nadwagi, zaczął słabnąć.

- Prędeej, człowieku! - krzyknął Camp. - Nie zatrzymuj się. Podsadzę cię.

Harv miał twarz czerwoną jak koszula, w którą był ubrany. Obiema rękami przytrzymał rozpięte spodnie. Gdy je puścił, opadły mu po kolana. Nietrudno się było domyślić, po co wybrał się do zagajnika.

Camp nie miał pojęcia, jak odwrócić uwagę byka i pokonać wysoki płot zwieńczony drutem kolczastym razem z kimś, kto waży więcej od niego. Pot spłynął mu do oczu, gdy nachylił się i zaczął podsadzać Harva.

- Zaczepiłem o drut - stęknął Harv.

Kątem oka Camp spostrzegł, że byk skręcił. I zobaczył dwie inne rzeczy. Spodnie Harva nadziały się siedzeniem na najwyższy drut, a po drugiej stronie płotu pokładała się ze śmiechu Megan.

Ale o wiele gorsze było to, co działo się kilka kroków dalej - prychnący, spieniony byk groźnie grzebał kopytami ziemię. Camp z całych sił podepchnął Harva. Tłusta pupa zatrzęsała się i opadła z powrotem. Istna komedia, pomyślał Camp.

Krzyki Harva przebiły się przez wesoły gwar biesiady. Jego żona, Sherry i Emily puściły się pędem w ich stronę. W chwili, gdy byk spuścił łeb, szykując się do szarży, Camp zobaczył przeskakującą przez płot Emily.

- Nie stój tak, Campbell! - krzyknęła. - Rusz tyłek.

- Nie ma mowy! Uciekaj stąd!

- Mój ojciec hodował bydło rasy charolaise, a ja urządziłam sobie wyścigi z takimi buhajami jak ten - odparła i wskazała głową byka, który przestał grzebać ziemię.

- No tak. A ja przed laty zdobyłem medal w biegu na sto jardów, więc może ty pomożesz Harvowi? A ja odciągnę uwagę byka i dam nogę przez bramę.

- Za daleko - mruknęła. - Za mało czasu. Nie udawaj supermana. Ja Harva nie ruszę, bo jest za ciężki.

Nim Camp zdążył pomyśleć, podbiegła do buhaja, wymachując rękami. Campowi nie pozostało nic innego, jak wspiać się wyżej, żeby być bliżej przewieszzonego Harva. Przez szum krwi pulsującej w uszach usłyszał krzyki. Chciał się obejrzeć za Emily, ale już prawie uwolnił Harva. Widział Emily w akcji w czasie tornada, musiał więc wierzyć, że nie chwaliła się bezpodstawnie.

I na pewno wykazałaby się swymi umiejętnościami, gdyby szarżujący byk nie skręcił nagle w stronę mężczyzn.

- Ach! - Camp poczuł, że Harv odrywa się od kolczastego drutu i spada prosto w ramiona żony. Powinien był skoczyć zaraz za nim, ale obejrzał się, by poszukać wzrokiem Emily - i owionął go gorący, kwaśny oddech byka. W następnej chwili trzasnęły rozdierane džinsy i ostry ból przeszył mu łydkę. Gdyby nie przeciągnęły go na drugą stronę pomocne ręce, straciłby równowagę i byłby zdany na pastwę ciężkiego, podpalanego byka rasy santa gertrudis.

Chwycił za rozdartą, zakrwawioną nogawkę, widząc z ulgą, że Jones i jego ludzie wydostali zza ogrodzenia Emily.

Pobieliała twarz Megan zaniepokoiła go bardziej niż krew sącząca się przez džinsy. Dziewczynka trzęsła się jak osika. Potem nadeszła Emily i zasłoniła mu widok. Odsunęła jego ręce i zaczęła ocierać krew chusteczką, która pachniała jaśminem. Camp poddał się bez oporów jej zabiegom.

- A bachor tylko stał i się zaśmiewał! - Harvowi oczy wychodziły z orbit. Zapiął spodnie, ale z tyłu wisiał mu kawał materiału naddartego w kształcie litery L, odsłaniając bieliznę.

- Bardzo przepraszam. - Megan przeniosła pełen skruchy wzrok na Campa. - Nie - nie myślałam, że stanie się coś złe - złego - wyjąkała.

Campa ogarnęło współczucie dla małej. Właściwie czemu Harv nie spytał, gdzie jest toaleta? Powinien był się domyślić, że drut kolczasty nie służy ozdobie. Campowi łatwiej było okazać wspaniałomyślność Megan, bo budziła w nim uczucia opiekuńcze - a może dlatego, że Harv Shaw od początku był upierdliwą menda. - Daj

spokój, Harv. Gdzie twoje poczucie humoru? Na pewno wyglądaliśmy bardzo zabawnie. Nie możesz mieć pretensji do byka, kiedy pewnie pieką jego brata. Nie wiem jak ty, ale ja zgłodniałem. Nie kłóćmy się, tylko chodźmy jeść.

Czy mi się zdaje, pomyślał Camp, czy w oczach Megan oprócz skruchy odmalował się szacunek dla mnie? Nie zdołał się o tym przekonać, bo właśnie podbiegł Mark z pytaniem, czy przynieść mu coś do picia.

- Nie, ale dziękuję ci, druhu. Sam o siebie zadbam, tylko trzeba opatrzyć nogę. Wracajcie do stołu, bardzo was proszę.

O dziwo, Megan wystąpiła naprzód.

- Mamo, pójdę po apteczkę.

- Dziękuję, kochanie. Spotkamy się przy wozie. - Emily pomogła Campowi wstać. Odepchnęła rękę kowboja, który chciał podeprzeć Campa - był to ten sam młody Eastwood, który nie odstępował jej na krok. - Wracaj do ogrodu, Dylan. Damy sobie radę, ja i moje dzieci.

Kowboj obrzucił spojrzeniem Emily, Marka i oddalającą się Megan.

- Twoje dzieci? Ale... jesteś na nie za młoda - wykrztusił.

- Megan ma czternaście lat, a Mark dwanaście. Wierz mi, za każdy rok ich życia należy mi się odznaka zasłużonego rodzica. - Znow miała wsunąć ramię pod rękę Campa, lecz tym razem odsunęła ją na bok Sherry.

- Idź z Dylanem, Em. Ja odprowadzę Nolana do wozu, opatrzę mu nogę i znajdę czyste dżinsy.

Radość Emily przygasła, ale przecież nie wypada się kłócić. Tym bardziej że Camp nie powiedział, czyją pomoc woli - jej czy siostry. Przywołała uśmiech na twarz.

- Pozwól, Dylan, że dogonię Megan i powiem, żeby nie przychodziła z moją apteczką.

- Oczywiście, Bardzo proszę, idź. Hm, czy inne panie też mają dzieci?

- Sherry i Brittany nie mają. Sherry właśnie odeszła ze swoim bratem, a żeby dostać się do Brittany, chyba trzeba wziąć numerek.

Z trudem zachowując powagę, Emily wskazała dziewczynę otoczoną adoratorami, po czym zostawiła Dylana samego i pobiegła do czekającej Megan.

- Sherry opatrzy Campa, więc może pójdziemy zjeść?

- Nie jestem głodna. Mamo... czy znalazłabyś później trochę czasu, żebyśmy porozmawiały? Tylko we dwie.

Emily wzięła głęboki oddech, słysząc błagalny głos córki.

- Ależ tak, tak. Kiedy zechcesz. Zawsze znajdę czas dla ciebie i Marka. Wiesz o tym, prawda? Jesteście dla mnie najważniejsi.

- Naprawdę? Więc może porozmawiamy właśnie teraz? Bo później... mogę nie mieć już ochoty.

- To chyba coś ważnego. Przejdziemy się? - Emily wzięła Megan pod rękę i ruszyły spacerkiem tam, skąd przyszły. - Oczywiście byka obejdziemy z daleka - dodała z uśmiechem.

Megan miała zmartwioną minę.

- Camp prosił, żebym poszła po pomoc, a ja nie poszłam.

- Ach tak. - Emily ścisnęła mocniej rękę córki. - A ja się zastanawiałam, o co Harv podniósł taki wrzask. Twoje postępowanie miało w tym wypadku poważne konsekwencje. Musisz zdać sobie z tego sprawę, Megan. Czy właśnie to cię gnębi?

- I tak, i nie. Powiedz mi, dlaczego ty i tata żyliście osobno, choć w tym samym domu? - wypaliła.

- Słoneczko... - Emily miała ściśnięte gardło. - Chyba, hm, chyba masz prawo wiedzieć...

Po trochu odsłoniła prawdę o tym, jak pieniądze, które Dave dostawał od rodziców, przyśpieszyły proces pogrążania się w nałogu. Megan patrzyła na matkę wielkimi, załzawionymi oczami.

- Dlaczego nie uciekłaś ze mną i Markiem? - spytała drżącym głosem.

Emily starała się wytłumaczyć w sposób zrozumiały dla czternastolatki, jak daleko sięgają wpływy dziadka.

- Toby i Mona są okropni - wybuchła gniewem Megan.

- Jak mogłaś dopuścić, żebym im tak długo wierzyła?

- A jaki miałam wybór? Nie rozumiesz, Megan? Oni mogli... nadal mogą rozdzielić ciebie i Marka ze mną.

Dziewczynka rzuciła się w ramiona Emily.

- Mamo, przepraszam. Przepraszam, że im pomagałam.

- Już dobrze, kochanie. - Emily przytuliła ją mocno. Też się rozplakała. - Dlatego wybraliśmy się na tę wyprawę. Miałam nadzieję... Ale co się właściwie dzisiaj stało, że inaczej rozmawiamy? Wcale nie narzekam. - Pociągnęła nosem i otarła łzy - najpierw Megan, potem sobie.

- To przez Campa.

- Przez Campa? - Emily cofnęła się. Serce zaczęło jej łomotać. Czy to znaczy, że rozmawiał z Megan? Zakopali topór wojenny? Aż bała się żywić taką nadzieję.

Megan wysunęła się z objęć matki.

- Przyłapał mnie na tym, jak użalałam się nad sobą. Nie pamiętam dokładnie wszystkiego, co mówił, ale powiedział wyraźnie, że kochasz mnie tak, że kazałaś mu pakować manatki. O rany, mamo, ty chyba naprawdę bardzo mnie kochasz, jeżeli jego odsyłasz z kwitkiem.

Emily ścisnęło się serce; teraz ona rzuciła się w ramiona Megan. Po co, głupia, oczekiwała tyle szczęścia naraz? Dlaczego nie starcza jej radość, że pogodziła się z Megan? To była wielka radość, a przecież...

Cząstka serca, którą rozgrzał Camp, nie chciała znów ostygnąć. Niestety, Megan bez obwijania w bawełnę wyznała, dlaczego tak nagle zmieniła front. Emily nie odważyła się nawet myśleć o tym, że mogłaby zaryzykować utratę świeżo zdobytego zaufania córki. Musi zatem za wszelką cenę unikać Campa.

Reszta dnia upłynęła bez problemów. Megan chodziła krok w krok za Emily, a Camp większość czasu spędził w towarzystwie gospodarza.

Badając kierunek ciepłego, suchego wiatru, Maizie oznajmiła, że wyruszają nazajutrz o świcie. Z początku nikt nie był z tego zadowolony, ale kiedy posprzątano i podziękowano serdecznie państwu Jones, wszyscy chętnie poszli spać.

Rano wiatr był ostrzejszy, lecz nikt nie narzekał. Najważniejsze, że nie groził już monsun. Maizie zapowiedziała trzy dni ciężkiej jazdy do Wagon Mound, skąd przy sprzyjającej pogodzie mieli zrobić wycieczkę w bok od szlaku, do Fort Union.

Camp po cichu oczekiwał, że Emily będzie zmieniać mu opatrunki i wyrażać swoje zatroskanie - chętnie by jej na to pozwolił. Ona jednak była wciąż zajęta, więc nie ruszał bandaża założonego przez Sherry.

Podczas krótkich postojów Camp zauważył, że Emily i Megan nie rozstają się z sobą ani na chwilę i przyjaźnie rozmawiają. Uznał to za dobry znak. Przypuszczał, że odegrał pewną rolę w tym zbliżeniu,

więc nie pojmował, dlaczego Emily tak starannie go unika. Cholera, pomyślał, spytam ją o to wprost przy kolacji.

Pokrzyżowała te plany burza piaskowa, która zmusiła uczestników wyprawy do siedzenia w wozie przez dwa dni. Na trzeci dzień Maizie urządziła pobudkę przed świtem.

- Pobudka wstać, koniom wody dać! - ryknęła tak, że umarły by się zbudził. - Musimy dziś jechać co koń wyskoczy, bo ugrzęźniemy na płycznach North Canadian. Jeżeli będzie tak nawiewało piach, zapadniemy się po pachy.

- Ależ ty masz gadane - burknął Camp, wystawiając rozczochną głowę przez płócienną zasłonę. Spadł na niego piasek, który nawiało w zakamarki na górze wozu. Widząc to, Mark i Jared wybuchnęli śmiechem.

- Nareszcie! - rzekła Sherry. - Jaśnie pan uznał, że przydałoby się wykapać. Rozumiem, że nie chciałeś zamoczyć rany na nodze, ale czy złamałeś rękę, w której trzymasz brzytwę?

Camp prychnął.

- Nie goliłem się tylko przez dwa dni. Poza tym dobrze pamiętam, jak mówiłaś, że George Clooney wygląda seksy z kilkunastu letnim zarostem.

- Ale George ma taką minę, jakby mówił „zaopiekuj się mną” - odparła Sherry. - Przykro mi, braciszku, ty przypominasz raczej goryla.

- A ponieważ jesteśmy spokrewnieni...

Maizie wetknęła dwa palce między zęby i gwizdnęła.

- Zostawcie rodzinne porachunki do czasu, aż dotrzemy do Wagon Mound. Wtedy możecie sobie nawrzucać, ile wlezie. Nadmiar energii wykorzystajcie do przeprawy przez piasek.

Wszyscy ochłonęli. Camp cofnął się do środka, żeby sprawdzić, czy ma dobrze przykryte zapasy. Emily okazywała dziwną rezerwę; za to Sherry odzyskała dawną chęć do przekomarzanek. Co się stało Emily? Camp zrezygnował z rozważań, bo musiał się opędzać od wielkich czarnych much, które obsiadały konie, już i tak zdenerwowane, bo kłuł je piasek. Na każdym postoju Maizie piekliła się jak nigdy dotąd.

- Nie zostawać w tyle! - ryknęła na Campa, gdy zwolnił tak, że konie szły noga za nogą.

Chciał sprawdzić, co dzieje się z Emily, która prawie się zatrzymała. Słyszając uwagę Maizie, stracił panowanie nad sobą. Był zlany potem, a noga bolała go jak diabli.

- Trzema wozami powożą kobiety, Maizie - przypomniał ze złością. - Może ty masz siłę dwóch mułów, ale one nie.

Sherry obróciła się na koźle i wsiadła na Campa:

- Bardzo cię proszę, mów za siebie! Nie dojechałyśmy tak daleko, żeby teraz osłabnąć. Możesz mnie zacytować w swoim artykule.

- Artykuł jest teraz nieważny, Sherry. Nie widzisz, że Emily jest wyczerpana? Kiedy ostatni raz zmienialiśmy zaprzęg, dostały jej się cztery uparte belgi. Na miłość boską, one mnie by wyrwały ręce ze stawów. Tu nie chodzi o płęć.

- Ha! Teraz tak mówisz, ale kto cię wie, czy nie zmienisz śpiewki, kiedy zaczniesz o tym pisać?

Emily spojrzała na poczerwieniałą twarz Sherry i zmarszczki zmęczenia wokół oczu Campa.

- Dlaczego Camp miałby oszukiwać, Sherry? - spytała cicho.

- No właśnie, siostrzyczko. To nie ja namieszałem. Lepiej zadaj sobie pytanie, ile zostanie ci przyjaciółek, kiedy Emily i Gina padną z wyczerpania.

Sherry syknęła, biorąc nagły wdech. Znowu poczuła się zdradzona przez Emily. I brata.

- Myślałam, że to rzeczywiście są moje przyjaciółki - powiedziała drżącym głosem. - Widocznie się myliłam.

Pojechała naprzód. Nie chciała, żeby zobaczyli jej łzy. Camp dostrzegł błysk bólu w oczach Emily. A siostra? Przestał ją rozumieć.

- Emily...

Gdy wyciągnął rękę, poczuł nagłe uderzenie wiatru, a Emily trzepnęła cuglami. I tak jak pierwszego dnia zostawiła go w tumanie czerwonego pyłu.

Kto by pomyślał, że jeden artykuł może wywołać tyle komplikacji? Camp westchnął. Ma czas tylko do Santa Fe, by naprawić to, co zepsuło się między nim a Emily.

Niebawem senność i zmęczenie wyparły wszystkie myśli z jego głowy. Zakurzona kolumna wozów zbliżała się powoli do wielkiej szarej skały. Pierwsi osadnicy nadali jej nazwę Wagon Mound, Skalny Wóz, ponieważ przypominała conestogę ciągniętą przez parę wołów.

Dziwna rzecz, jacyś ludzie, którzy poruszali się bardziej nowoczesnymi terenowymi pojazdami, ubiegli ich i zajęli od dawna wyczekiwane zaciszne miejsce. Kilku mężczyzn kręciło się pod jaskrawym niebieskim daszkiem. Był to widok nie z tej ziemi. Gdy wozy podjechały i zatrzymały się jeden przy drugim, nagle zaczęły błyskać flesze.

- Co to, u licha?

Camp z trudem uspokoił konie. Czyżby wjechali na plan filmowy? Kiedy przestały mu migać plamki przed oczami, jego wzrok padł na kolegę z wydziału historii, Lyle'a Roberta. Potem zauważył Jeffa Scotta. Najbardziej uderzyły go ich czyste ubrania. Przesunął dłonią po zaczerwienionych oczach, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie jakiś miraż. Ale nie, po chwili obiegli wozy nie znani mu z widzenia reporterzy.

Jeden, wyjątkowo napastliwy, zaczął dręczyć Ginę pytaniami o złamaną nogę.

Ponura mina Sherry wyrażała głębokie przekonanie, że to on zaprosił ten komitet powitalny. Z jękiem popuścił cugli, żeby rozmasować obolałą nogę. Taki obrót wydarzeń, nie wiadomo przez kogo zorganizowany, wszystko zepsuł. Po czymś takim na pewno ani Sherry, ani Emily już się do niego nie odezwą.

Jedynie Fil ucieszył się z niespodziewanego nalotu ciekawskich dziennikarzy. Poczul się w swoim żywiole. Narzekał, skarżył się i biadolił. Ale Campowi, który czuł się wykończony, było już wszystko jedno.

Rozdział 14

Wędrówka szlakiem Santa Fe to wciąż wielka przygoda. Nie dla bojaźliwych.

Podpis pod fotografią Campa w gazecie.

Lyle Roberts zaczął poklepywać Campa po ramieniu, ale zetknąwszy się z brudną koszulą, zrezygnował i otrzepał rękę.

- Gratuluję, kolego. Mówią o tobie w wiadomościach. Szef dumny jak paw. Bardzo się ucieszył, że nazwę wydziału pokazały wszystkie stacje telewizyjne. Tylko po co przypisywać zasługi kobietom? Po spotkaniu z tornadem powinny się wystraszyć i wycofać z udziału w wyprawie tak szybko, jak szybko wyskakują z niemodnych szmatek.

- O czym ty mówisz, u licha? Nie byliśmy w telewizji.

- Pośrednio tak.

Camp zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie zauważył, że Lyle fałszywie się uśmiecha.

- Reporterzy z Oklahomy rozmawiali z pilotem. On i jego szef, jakiś farmer, rozwodzili się na temat waszej eskapady. Za bardzo podziwiali kobiety, które same powoziły. Skrzyknąłem więc to bractwo, żeby naprawić szkodę. Te kobiety nie zrobią aż takiego dobrego wrażenia, gdy ci dziennikarze o nich napiszą.

Camp chwycił niższego od siebie mężczyznę za klapy eleganckiej marynarki i omal go nie przewrócił.

- Słuchaj no, mój artykuł nie jest z założenia wymierzony przeciwko kobietom.

Na szyi Lyle'a podskoczyło jabłko Adama.

- Nie? To przynajmniej niech to będzie konfrontacja: one i my. Myślałem, że o to chodziło.

- Masz chore podejście do kobiet. Cała moja grupa cholernie dobrze sobie radziła w każdej sytuacji. Ani mi się waży krytykować kogokolwiek, dopóki sam nie pojedziesz szlakiem!

Camp dopiero teraz puścił Lyle'a, czując, że lada chwila straci panowanie nad sobą. Poruszył zdrętwiałymi ramionami i utykając, poszedł do koni. Jeff Scott, który był świadkiem tej sceny, zbliżył się do niego.

- To nie był dobry pomysł robić koło was szum, kiedy dopiero co przeżyliście spotkanie z tornadem. Powiem o tym chłopakom. Teraz odjedziemy i będziemy was fetować dopiero w Santa Fe.

- Tak właśnie zrób - rzekł krótko Camp.

- Aha, kiedy spodziewacie się tam dojechać? - Jeff odskoczył, bo Camp odczepił przednie orczyki, uwalniając pierwszą parę zakurzonych perszeronów.

- W przyszły piątek, jeżeli nie zatrzyma nas jakaś nieprzewidziana przeszkoda. - Camp ochłonął z irytacji. Zawsze uważał Jeffa za człowieka rozsądnego.

- Jeżeli masz na myśli burze, to mogę cię uspokoić. Pogoda ma się poprawić. Na najbliższe pięć dni zapowiadają słońce, słońce i jeszcze raz słońce.

- Nie chodzi tylko o deszcz - odparł Camp ze znużeniem. - Wozy się psują. Konie mogą okuleć. Słońce powoduje oparzenia. Wiatr sypie piaskiem. Trudno o dobrą wodę. Warunki na szlaku Santa Fe prawie się nie zmieniły od stu lat, i o tym właśnie będę pisał. A my w dodatku mieliśmy udogodnienia nie znane osadnikom. Przejeżdżaliśmy koło miast, byliśmy lepiej zaopatrzeni, i nie musieliśmy obawiać się ataku bandytów.

Jeff zacisnął zęby.

- Ale natknęliście się na zbiega. Tak mówiła Sherry. Camp zeszywniał. Zapomniał o Garrecie Locku, koledze naukowcu. Ponieważ jego sprostowanie mogłoby zawstydzić Sherry, puścił uwagę Jeffa mimo uszu. Nie chciał jednak, by dziennikarze podchwycili tę historię. Albo to wiadomo, co wydrukują?

- Posłuchaj, Jeff, a może ty i Lyle zabierzecie się z nami do Santa Fe? Jutro jedziemy do Fort Union. Zawsze uważałem, że przygraniczna ochrona handlarzy w pionierskich czasach to temat na sporą pracę.

- Bo ja wiem... - Jeff z powątpiewaniem popatrzył na brudną twarz Campa.

- No, zdecyduj się. Zanim Lyle zacznie się rozwodzić o poczynaniach moich ludzi na trasie, powinien zobaczyć ich w akcji.

- Chyba tak. Ale nie mamy wyposażenia.

- Zapraszam was do swojego wozu. Ja mogę spać u Roberta Boone'a.

- Nie mamy żywności - dodał pośpiesznie Jeff, jakby szukał wymówki.

Camp uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma problemu. Mężczyźni są urodzonymi myśliwymi, prawda? Mamy to we krwi. Czy nie tak właśnie powiedziałaś Sherry na tym przyjęciu w college'u?

Jeff zzieleniał.

- Naprawdę tak mówiłem? Nigdy nie polowałem. Kątem oka Camp dostrzegł Emily. Czerwony pył pokrył jej

zwykle lśniące włosy, ale i tak wyglądała pięknie. Kiedy do niego podeszła, powstrzymał się od ciepłego powitania, które miał już na końcu języka. Nie chciał, żeby Jeff przejrzał jego uczucia. Nie wiadomo, jakich złośliwości dopuściliby się zawistni mężczyźni.

- Emily, poznałaś Jeffa Scotta w Boonville - rzekł. - Pozwoliłem sobie zaprosić jego i Lyle'a na ostatni etap wyprawy.

Emily uniosła brwi.

- Maizie nie jest zadowolona z tego, co Fil nagadał prasie. Może...

- Pogadam z nią - przerwał jej Camp.

- Dobrze. Ile osób będzie na kolacji? Robimy wspólnie proste danie. Zupę ziemniaczaną - serową i chleb kukurydziany.

Jeff poklepał się po brzuchu.

- Wyśmienicie! Przez cały dzień jemy przekąski. Spodziewaliśmy się waszego taboru trzy godziny wcześniej. A w ogóle miło panią znów widzieć, pani Benton! - rzekł wylewnie. - Nie jestem dobrym kucharzem, ale z obieraniem ziemniaków jakoś się uporam.

Emily przyjrzała się uważnie Jeffowi, nie zdradzając jednak spojrzeniem, co o nim myśli.

- Świetnie. Na szlaku obowiązuje zasada: chcesz jeść, musisz pomagać. Camp, Maizie prosiła, żebyś razem z chłopcami postarał się o opał. Skończyło się drewno.

- Zrobi się. Tylko najpierw przywiążę konie do palików. Camp z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Jeff nie miał pojęcia, ile trzeba obrać ziemniaków, żeby nakarmić tak liczną gromadę.

- Jeff, wyślij Lyle'a i kolegów z prasy do Maizie po listę obowiązków. Maizie co wieczór rozdziela pracę. Lyle mógłby wyciągnąć kamienie z mojego wozu, obłożyć nimi miejsce na ognisko i zacząć szykować kawę. Kawa jest w płóciennym woreczku. Garnek i młynek też są z tyłu wozu. Woda jest tutaj. - Wskazał oblepioną kurzem dębową beczkę, umocowaną po prawej stronie wozu.

Jeff otworzył szeroko oczy, zerkając na Lyle'a i fotografa, którzy pewnym krokiem szli wzdłuż szeregu wozów.

- Powiem mu, ale nie polecałbym tej jego kawy. Lyle nie umie nawet zagotować wody - powiedział Jeff i odszedł.

Kąciki oczu Emily zmarszczyły się, gdy napotkała spojrzenie Campa. Otworzyła usta, jakby chciała coś rzec, ale zaraz je zamknęła, bo napatoczyła się Sherry.

- Zadajesz się z wrogiem, Em? - powiedziała z pretensją Sherry i obróciła się gwałtownie do Campa. - Napuścić tu na nas tych zapatrzonych w siebie samców to perfidia, bardzo ci się dziwię - rzekła urażona.

- Ależ ja wcale...

- Więc może spadli z nieba? Tak, tak, już ci wierzę. - Odwróciła się plecami. - Chodź, Emily. Urządzimy taką królewską ucztę, że prababka Lyle'a Roberta się zawstydzi. - Sherry niemal na siłę odciągnęła Emily na bok.

Znużenie mocno dawało się Campowi we znaki. Nakarmił i spętał konie, a potem przeciągnął parę razy zgrzebłem, żeby chociaż z grubsza oczyścić z czerwonego kurzu niegdyś tak lśniąca sierść. Był taki zmęczony, że zastanawiał się, czy nie darować sobie kolacji, by wcześniej położyć się spać. Nie miał siły słuchać, jak Sherry i Lyle dogadują sobie przez cały wieczór.

Emily dała się w końcu zaciągnąć do ogniska, bo potrzebna była każda para rąk, by naszykować dodatkowe jedzenie dla gości. Nie podobała jej się bladość Campa, więc postanowiła mieć go na oku. Może bierze go jakaś choroba? Przez ostatnie kilka dni on i Robert odwalili większość fizycznych prac. Jeśli ona trochę się migąła, to ze względu na Megan.

Megan. Gdybyż można ją było przekonać do sprawiedliwej oceny Campa. Ha! Nie ma szans, żeby spojrzała na niego przychylniejszym okiem. Już prędzej przejedzie ją w tej głuszy autobus.

Kiedy Emily wrzucała do garnka składniki zupy, Camp przynosił splecioną trawę, którą można było palić z braku drewna. Obrócił dwa razy, ale nie został na dłużej. Później zauważyła, że przenosi rzeczy ze swojego wozu do wozu Roberta. Umył się, ogolił, włożył czyste ubranie. Czy dokucza mu noga? Trochę utykał.

Gdy Maizie zadzwoniła na kolację, Emily zajęła się nalewaniem zupy i rozdzielaniem chleba. Straciła Campa z oczu. Kiedy wszyscy

usiedli z pełnymi talerzami, zorientowała się, że nie przyszedł. Gdzie on jest? - zastanawiała się z niepokojem. Spytała o to Megan.

- Gdzie jest pan Campbell? - Jej głos przerwał rozmowy i śmiechy wokół ogniska.

Vi spojrzała na nią zaskoczona.

- Przyniósł nam ogromne narecze trawy do spalenia. Potem już go nie widziałam.

- Ja też nie - dodała Gina. - Nappełnił koryto dla koni, kiedy chłopcy splatali trawę.

Robert na chwilę przestał lać miód na chleb.

- O ile wiem, poszedł spać. Śpi dzisiaj ze mną. Oddaliśmy jego wóz tym panom. - Wskazał nożem Lyle'a, Jeffa i młodego reportera z college'u, który postanowił zostać w taborze. - Mówił, że pozostali po kolacji wyjeżdżają.

- Chyba nie jest chory? - wtrąciła Emily, nie mogąc ukryć niepokoju.

- Nic o tym nie mówił. - Robert uniósł pytająco brwi, zwracając się do Marka i Jareda. - Wspominał przy was, że źle się czuje?

Chłopcy przestali wiosłować łyżkami.

- Nie - odparli jednocześnie.

Emily nie przestała się trapić. Kiedy Doris i Vi zgłosiły się na ochotnika do zmywania, poszła sprawdzić, co się z nim dzieje. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, obeszła z daleka rozmawiających przy ognisku uczestników wyprawy. Dziennikarze już odjechali.

Zajrzała do wozu Roberta, ale było zbyt ciemno, by ocenić, czy Camp ma gorączkę. Czy choć oddycha miarowo? Emily zaczęła nasłuchiwać, tak samo jak wtedy, gdy chorowało któreś z jej dzieci. A przecież Camp nie jest dzieckiem ani nikim bliskim, o kogo powinna się martwić. Może sobie tylko o tym pomarzyć. Kiedy już miała odejść ukradkiem, tak jak przyszła, wpadła prosto na Sherry.

- Co tu robisz? - szepnęła Sherry.

Emily odruchowo uniosła rękę do szyi, jakby się osłaniała.

- Zostawiłam trochę zupy dla twojego brata.

- Po co? Megan mówiła, że się opamiętałaś. Czy to prawda, Emily?

Emily spuściła powieki, zakrywając załzawione oczy. Tuląc talerz z zupą, bąknęła coś niewyraźnie i chciała wyminąć Sherry.

- Nic z tego nie rozumiem, Em. Nie chciałabym, żeby tobie czy Nolanowi stała się krzywda.

- Nie widzę tu niczyjej krzywdy, Sherry.,

- Jak to? A ile razy mówiłaś, że chyba nigdy się nie pozbierasz po tak nieudanym małżeństwie? A Nicholas też cierpi z powodu zerwanych zaręczyn.

- Był zaręczony? - Broda Emily zadrżała. - Niedawno? Sherry wzruszyła ramionami.

- Tamta wyszła w zeszłym roku za kogoś innego. Nolan o tym nie mówi. Zupełnie do siebie nie pasowali. Oczekiwała kolacji przy świecach od kogoś, kto nie ma w sobie ani krzty romantyzmu.

Emily przypomniała sobie, jak delikatnie Camp się z nią kochał. Wydawał jej się szalenie romantyczny. Ale właściwie co ona może o tym wiedzieć? Dziwne, że nie wspomniał o zaręczynach. No ale mężczyźni zwykle nie rozmawiają o niepowodzeniach, jakie ich spotkały.

- Zapomniałaś, jak się zdenerwowałaś, kiedy uznałaś tę wyprawę za pretekst, żeby cię wyswatać z Nolanem? Czułabym się okropnie, gdyby któremuś z was stała się krzywda.

Emily poczuła starą, znajomą frustrację. Nachodziła ją zawsze, gdy starała się zaspokoić czyjeś oczekiwania.

- Nie chciałabym za nic narazić na szwank naszej przyjaźni - wyszeptała.

- Ja też nie. - Sherry wzięła Emily pod rękę i odeszły od wozu.

Duszny ranek pogorszył i tak nie najlepsze nastroje. Koledzy Campa i reporter z college'u nic nie robili, tylko wszystkich wypytywali. Uczestnicy wyprawy tak mieli tego dość, że domagali się, aby jak najprędzej wyruszyć w drogę.

Maizie była bliska apopleksji. Reporter nie interesował się tym, co miała do powiedzenia, natomiast skrupulatnie notował każde słowo Harva.

Większość winiła Campa o narastający konflikt, więc trzymał się na osobności.

Emily starała się o nim zapomnieć, lecz mimo woli szukała go wzrokiem. Z troską patrzyła na bruzdy rysujące się koło jego ust. Oczy, w których zwykle było tyle ciepła, straciły blask. Ale jakoś przygotował śniadanie dla kolegów i zaprzągnął konie.

Gdyby wiedziała, ile wysiłku kosztuje Campa każda czynność, miałyby powód do zmartwienia. Tego ranka Camp wreszcie zajął się swoją nogą. Dolna część rany zadanej rogiem byka, gdzie rozcięcie było najgłębsze, była opuchnięta i zainfekowana. Camp oczyścił ją alkoholem, a zabolalo go tak, że omal nie wyskoczył przez płócienny dach. Potem posmarował zakażoną skórę maścią z antybiotykiem i zabandażował. Reszta chyba goiła się dobrze.

Ciągłe narzekanie Lyle'a odrywało uwagę Campa od pulsującej nogi, gdy tabor toczył się po suchej, spękanej ziemi.

- Tyłek mi zaraz odpadnie - jęczał Lyle. - Czemu nie zabrałem się do Santa Fe z dziennikarzami?

- Przymknij się - skarcił go Jeff. - Jak będziesz tak zrzędził, to albo Camp cię zostawi na tym cmentarzu, albo ja. - Wskazał na prawo. - Widzisz te kamienne nagrobki? Przejdźmy się. To by było coś, gdybyśmy natknęli się na stare kości, nie?

- Prędzej nasze kości tu zostaną, jak tak dalej pójdzie - odparł Lyle. - Camp powinien napisać, że słabsi pionierzy umierali, bo ich wytrzymało na śmierć.

Camp otrząsnął się z apatii i dociął koledze:

- A więc kobiety, tak? Mówiłeś, Lyle, że nie ma słabych mężczyzn.

Ta uwaga zamknęła usta Lyle'owi. Zsiadł z wozu razem z Jeffem, mamrocząc, że dobrze mu robi spacer. Camp rozkoszował się ciszą. W czasie krótkiego postoju zauważył, że Emily raz po raz się wychyla, żeby na niego spojrzeć. Pocieszyła go myśl, że gdyby spadł z wozu, ktoś to zauważy.

Dwaj gadatliwi koledzy wrócili nazbyt szybko jak na jego gust, zwłaszcza że Emily przestała się na niego oglądać. Dopiero pięć mil dalej udało mu się zwrócić uwagę kolegów na przestwór błękitnego nieba. Nie dostrzegali piękna krajobrazu. Wreszcie jednak ucichli, gdy tabor zbliżał się do Fort Union.

Pierwszy wóz wypłoszył stadko antylop, pasących się w zbożu. Wszyscy zwolnili, żeby się im przyjrzeć, lecz zwierzęta czmychnęły. Wydając dzikie okrzyki, Mark zrównał się z Campem.

- Gina będzie robić zdjęcia. Ale fajnie! Inne forty zostały jakby połknięte przez miasta, a tutaj wygląda zupełnie tak, jak widzieli to prawdziwi pionierzy.

Camp uśmiechnął się. To jest inny dzieciak, jakże niepodobny do tamtego naburmuszonego chłopaka, który na początku wyprawy nastawiał muzykę na cały regulator.

- Kiedy pojedziemy dalej, antylopy wrócą. Gina będzie mogła założyć teleobiektyw i sfotografować je z fortu.

- Dobra myśl. - Gina wystawiła głowę z wozu i potrząsnęła ręką.
- Hej, Camp, zauważyłeś coś nowego? Wczoraj zdjęłam łupki. Chętnie pozbyłabym się gipsu. Zdjęłabym go sama, ale lekarz powiedział, że nie wcześniej niż w Santa Fe. Ale mam go dosyć!

Camp nie miał nogi w gipsie, ale rozumiał Ginę. Sam bardzo źle znosił choroby i urazy. Obrócił się do uśmiechniętego szyderczo Lyle'a i powiedział:

- Ta pani jest nieugięta i wytrzymała. Jeżeli uważasz, że współczesne kobiety są słabe, to posłuchaj opowieści o Ginie Ames.

Opowiedział koledze o jej wypadku i determinacji, aby jechać dalej mimo poniesionych obrażeń. Urwał, gdy z centrum obsługi turystów wybiegło dwóch strażników, żeby ich powitać.

Chora noga Campa trochę się trzęsła przy zsiadaniu z wozu, ale uznał, że to reakcja na nierówności gliniastej drogi, którą przejechali.

- Idźcie się rozejrzeć - powiedział do kolegów. - Rusty ma kamień w kopycie.

Lecz tak naprawdę chciał się ich pozbyć, żeby mieć swobodny dostęp do Emily. Ależ go wzięło! Powiedziała mu ni mniej, ni więcej, żeby się odczepił, ale on nie potrafił trzymać się od niej z daleka. Kochał jej oczy, które płonęły za każdym razem, gdy przeżywała coś nowego. Nigdy nie spotkał kobiety, która czerpałaby tyle przyjemności ze zwykłych zjawisk - wschodu i zachodu słońca, dziko rosnących kwiatów.

Może nawet ta pasja życia zaczęła się po trochu udzielać Megan i Brittany? Roześmiana Megan skakała teraz po brukowanej drodze obok kruszejących murów kwater oficerskich. Brittany słuchała uważnie, co mówił młody strażnik, i ani jej w głowie nie powstało, żeby z nim flirtować.

Słońce prażyło bezlitośnie w zrujnowanym ceglanym forcie. Camp stwierdził, że coś za często ugina się pod nim noga. Kiedy cała grupa skręciła za róg koło wojskowej strażnicy, został daleko w tyle i uznał, że nikt nie zauważy jego nieobecności. Postanowił zawrócić do centrum obsługi turystów, gdzie była księgarnia i sklep z pamiątkami.

Gdy wszedł do środka, oczy długo przyzwyczajały mu się do sztucznego oświetlenia. Usiadł na podłodze i zaczął przeglądać książki. Wybrał dwie, a potem pokuśtykał do sklepika, gdzie kupił dla wszystkich kobiet pamiątki - małe magnetyty z namalowanymi wozami. Zamierzał obdarzyć także żonę Harva, która zasługiwała na cadillaka ze złota za to, że wytrzymała z takim mężem. Zresztą chciał każdemu dać jakiś drobiazg na pożegnanie. Szkoda, że taki mały był wybór prezentów dla mężczyzn. Gdy zastanawiał się, czy wybrać ołówki ze znakiem Stowarzyszenia Miłośników Szlaku Santa Fe, czy portfeliki ze sztucznej skóry, przywołała go sprzedawczyni.

- Proszę spojrzeć, coś z nowej dostawy.

Camp obejrzał breloczki do kluczy. Wokół burty conestogi biegł napis „Przejechałem szlak Santa Fe”.

- Świetne! - Powiedział, ile potrzebuje. - Czy mógłbym prosić o przysługę? Skoro pani taka miła, czy mogłaby pani schować resztę pamiątkowych kamieni i nie wykladać na półkę breloczków do czasu, aż odjedziemy?

- Proszę bardzo.

Zapakowała kupione pamiątki i przyjęła zapłatę kartą kredytową. Gawędzili o prezentach niespodziankach, gdy zaczęli się schodzić zwiedzający. Najpierw weszła Emily i Sherry, potem Megan i Brittany.

Camp i sprzedawczyni umilkli w pół słowa. Musiało to wyglądać podejrzanie. A powód był taki niewinny...

- Niech się pani nie da nabrać temu przystojniakowi - powiedziała Sherry do sprzedawczyni. - Mój brat przekreśli pani słowa tak, jak mu będzie pasowało. - Mrugnęła do Emily i opowiedziała zdumionej ekspedientce o celu ich wyprawy.

Camp pomachał książkami, które kupił.

- O tobie, siostrzyczko, mógłbym napisać nie artykuł, ale całą książkę. Sama zobaczysz, jak opiszę twoją rolę.

- Chyba żartujesz? - Cofnęła się. - Nie zrobisz tego. Nolan, książki historyczne kłamią o roli kobiet. Dzwonię do Yvette, żeby przyjechała do Santa Fe z reporterką z Centrum Kobiet. Same sobie zapewnimy przychylną prasę. Czy jest tu telefon? - spytała ekspedientkę.

Sherry może myśleć o nim jak najgorzej, ale zależało mu, by Emily wiedziała, że zamierza napisać uczciwą, obiektywną relację z

wyprawy. Lecz Emily i Megan widocznie wymknęły się ze sklepu, bo ich nie widział, za to przy końcu lady stał Lyle. Camp przeklął pod nosem.

- Radzę ci uciszyć te baby, Camp. Zanim dotrzemy do Santa Fe, ta Yvette wszystko tak przekręci, że pewnie ciebie będzie winić za tornado.

- Lyle.... - Camp przytrzymał się stojaka z pocztówkami, żeby nie upaść, gdy nagle przeszył mu nogę ostry ból. - Czy nie możesz wbić sobie do głowy, że ja piszę rzetelną pracę porównawczą, a nie demaskatorski artykuł? Przyznam, że kiedy dałem się wciągnąć w zakład, miałem wątpliwości, czy kobiety dadzą radę. Ale przekonałem się, i to jest moja główna teza, że kiedy sytuacja staje się trudna, kobiety znajdują w sobie siłę, żeby jej sprostać.

Lyle prychnął.

- Nie musisz mi wierzyć na słowo - rzekł Camp. - Sam się przekonasz, kiedy będziemy pokonywali przełęcz Glorieta. Radzę ci dobrze się dziś wyspać, jeżeli nie chcesz wypaść blade przy paniach. - Odsunął Lyle'a na bok i utykając, wyszedł ze sklepu.

Ukryta za regałem książek Emily nie uroniła ani jednego słowa z tej rozmowy. Serce skakało jej w piersi. Dlaczego Sherry nigdy nie ma w pobliżu, kiedy Camp ujawnia piękne cechy, które ona tak w nim szanuje?

Sherry co prawda nie było, ale Megan i Brittany wróciły w samą porę, by usłyszeć wymianę zdań między mężczyznami. Na pewno zrobiła na nich wrażenie. Emily postanowiła na razie nie naciskać Megan, żeby zmieniła zdanie o Campie. Ale niebawem musi to zrobić - jeszcze zanim rozstaną się w Santa Fe. Zamierzała powiedzieć Campowi, że chce się z nim spotykać po powrocie do domu.

Camp wykręcił się od udziału we wspólnej kolacji. Teraz też nie dostrzegał, jak pilnie Emily obserwuje każdy jego ruch. W wozie Roberta zmienił opatrunek. Zezłościło go, że noga nie wygląda ani trochę lepiej.

- Maizie, czy twoim zdaniem Camp dobrze dziś wyglądał? - spytała Emily tak, żeby nikt nie słyszał.

- Chyba tak. - Maizie rozpakowała nową paczkę gumy do żucia. - Może był trochę za spokojny. Nie rozmawialiśmy. Ale wciąż mnie wkurza, że dał okazję do uzalania się temu palantowi z Filadelfii. A czemu pytasz? Coś mu jest?

Emily włożyła do torebki bułki, które zostały z kolacji. - Pewnie robię z igły widły. Parę dni temu mieliśmy nieporozumienie. Może mnie unika.

- Prędzej zjadł coś, co mu zaszkodziło. To się zdarza, kiedy gotuje się ciągle te same potrawy na ognisku. Może jest zwyczajnie zmęczony. Choćby przez ten upał.

- Hm. Możliwe. - Emily stłumiła ziewnięcie. - O Boże. Ledwie żyję po tym zwiedzaniu fortu. Chyba pójdę spać.

- Idź. Najbliższe dni będą cholernie monotonne. Zrozumiesz, dlaczego niektórzy ludzie wariowali w czasie podróży. Ani jednego wzgórza, drzewa, ani wody, aż skęcimy i zaczniemy wchodzić na przełęcz w San Miguel.

Emily zmarszczyła nos.

- To będzie trudny sprawdzian.

- To będzie cud, jeżeli nie uduszę Harva.

- Albo jeśli Sherry nie udusi Lyle'a Roberts'a. Myślałam, że dziś obleje zupą tę jego jajowatą głowę.

- Aha! - zaśmiała się Maizie. - A my byłybyśmy jej za to brawo. No, dobranoc, moja droga. Nie mogę się doczekać dalszego ciągu.

Dalszy ciąg nie nastąpił. Dzień był długi i monotony. Najpierw złamała się oś w wozie Sherry. Maizie, Sherry i Emily naprawiały ją przez trzy godziny; Sherry nie chciała przyjąć oferowanej przez mężczyzn pomocy. Potem prowadzący koń Harva stąpił nogą w norę susła i naciągnął ścięgno. Maizie nawymyślała Harvowi, wyrzucając mu nieostrożność. On nie pozostał jej dłużny, krzycząc, że umyślnie naprowadziła go na tę przeszkodę.

Camp odetchnął z ulgą, gdy Robert ich rozdzielił. Tego dnia Camp czuł, że ma głowę jak bania i poci się jak mysz. Nic dziwnego. Na niebie wisiała czerwona ognista kula - słońce. Emily tyle razy smarowała siebie i dzieci kremem z filtrem, że wszyscy troje aż błyszczeli. Kiedy patrzył na jej palce sunące po opalonej skórze, czuł na przemian radość i dojmujący ból.

Gdy Maizie zarządziła nocny postój, nikt z nikim nie rozmawiał. Nawet moskitiera nie chroniła przed inwazją robactwa. Strasznie dokuczały muchy. Camp spalił brudny bandaż, żeby się do niego nie zlatywały, i postanowił zostawić ranę odsłoniętą.

Przez dwa dni powtarzał na okrągło w dzienniku słowa obrzydliwy, wstrętny, ohydny. Nikt nie uszedł bez widocznych śladów

z powtarzających się owadzych nalotów. Jedyna korzyść była taka, że nikt nie miał siły się sprzeczać, poświęcając całą energię na walkę z muchami i robactwem. Fil choć raz miał zamknięte usta, podobnie jak Lyle.

Trzeciego dnia utrudzeni wędrowcy dotarli do San Miguel. Tutaj wreszcie było na czym zawiesić oko po nużącej monotonii prerii.

- Hi - hi! Czy mnie oczy nie mylą? - zawołała Gina, wskazując stary ceglany kościół, którego sylwetka urozmaiciła płaski horyzont.

- Daję pół godziny na zrobienie zdjęć! - krzyknęła Maizie. - O drugiej powinniśmy już jechać przełęczą Glorieta.

Kobiety zeskakiwały z wozów uradowane jak uczennice, które po trzygodzinnej jeździe wysiadają ze szkolnego autobusu i brykają na swobodzie.

Mężczyźni, zwykle bardziej powściągliwi, pobiegli przez stary plac, a potem w dół nad mulistą wstążkę rzeki Pecos.

Został tylko Camp. Mimo maści z antybiotykiem rana wciąż się paprała. Na szczęście nie było czerwonych pręg, które sygnalizują zatrucie krwi, ale noga nie goiła się dobrze.

Wracając znad rzeki, Emily spostrzegła, że Camp nadal siedzi na koźle w cieniu pustego domu. Przyjrzała mu się, osłaniając oczy opaloną ręką.

- Camp, jesteś chory? Niech Jared cię zastąpi. Zamrugał, widząc miękką linię ukochanej twarzy. Drgające w upale powietrze wokół ciała Emily rozpraszało jego uwagę.

- Nic mi nie jest.

Emily podparła się pod boki.

- Jeżeli popisujesz się swoją wytrzymałością dla potrzeb książki, to jesteś głupi jak osioł. Wołam Jareda. Przesiądź się do środka. No już. - Roześmiała się nerwowo. - Pewnie mówię jak twoja matka.

Nie roześmiał się razem z nią. Z westchnieniem podał jej lejce i wgramolił się do środka wozu.

Nadbiegła Sherry, wytrząsając wodę z włosów.

- Nigdy nie myślałam, że zamoczę głowę w brudnej wodzie, ale to było przyjemniejsze niż seks. - Nie doczekawszy się spodziewanej odpowiedzi przyjaciółki, spoważniała. - Co się stało? Dlaczego pilnujesz koni Nolana?

- Nie czuje się dobrze. Czy mogłabyś poprosić Jareda, żeby przesiadł się na ten wóz i powoził?

Sherry ściągnęła brwi.

- Nolan w życiu na nic nie chorował. Ale... spędził tyle godzin w dwóch rzekach, pomagając wszystkim się przeprawić... Kto wie, może czaiły się tam jakieś okropne bakterie. Spójrz na mnie. Pewnie umrę zaatakowana przez ameby. - Potrząsnęła sztywnymi od mułu włosami. - Dobra, złapię Jareda, zanim się umyję. Nolanowi nic nie będzie? - Mimo woli zamieniła stwierdzenie w pytanie.

- Nie wiem. Pośpiesz się. Słyszę, jak Maizie woła, żebyśmy ruszali.

Emily przygryzła wargi. Camp zbyt łatwo ustąpił. Powiedziała, że jest poważnie chory, gdyby rzeczywiście tak było?

Maizie irytowała się, że mitręzą czas. Wreszcie kolumna wozów ruszyła, rozciągając się na szeroko leżącym odłogiem, suchym polu. Maizie przykazała, aby wozy zachowały duże odstępy na ciężkim odcinku przełęczy Glorieta, ponieważ musieli tam jechać wzdłuż autostrady, bo po obu stronach drogi były urwiska. Na długim męczącym podejździe nieraz trudno się było utrzymać na poboczu. Samochody mijające wozy trąbiły, płosząc konie.

O trzeciej, kiedy znaleźli się w połowie najbardziej stromego zbocza, ruch samochodowy ustał i wszyscy odetchnęli.

Wtem huknęło i zatrzęsała się ziemia. Nawet szczęśliwcy powożący łagodnymi clydesdale'ami musieli się nabiedzić, żeby nad nimi zapanować. Ledwie zrobiło się cicho, rozległy się dwa następne ogłuszające grzmoty. Ostatni wybuch wyrwał Campa z posłania.

- Do licha, co się dzieje? - ryknął, wdrapując się na kozła.

- Nie wiem. - Jared spuścił hamulec na koło i ścisnął lejce. - Dwóch gości w kaskach idzie do Maizie.

Informacja rozchodziła się powoli, aż dotarła do końca taboru. Przełęcz miała zostać zamknięta na dwadzieścia cztery godziny, ponieważ brygada budująca tunel odpalała ładunki wybuchowe w jednym z kanionów. Strażnicy w kaskach okazali niezadowolenie, że żaden uczestnik wyprawy nie zauważył znaków ostrzegawczych.

- Nikt dalej nie pojedzie! - zawołał jeden ze strażników. Maizie poczęła obchodzić wozy, roznosząc nowinę.

- Jestem zła jak osa, ale nawet jak kogoś uządlę, nic to nie pomoże - powiedziała do Campa. - Trudno o gorsze miejsce na wypas dla koni. Róbcie, co się da. Dryblas obiecał, że spyta szefa, czy dałoby się nas przepuścić o świcie.

Gina zeszła z wozu i podeszła po pochyłości, podpierając się kulami.

- Jeżeli zatrzymujemy się na dłużej, poproszę Marka, żeby rozstawił trójnog. W dolinie po lewej widać stare koleiny. Pokazał mi je taki sympatyczny robotnik. Jeśli wezmę najsilniejszy teleobiektyw i zrobię czterokrotne powiększenie, wyjdzie niezłe zdjęcie.

- Proszę bardzo - mruknęła Maizie. - Dobrze, że ktoś skorzysta z tej cholernej, nieprzewidzianej przerwy.

Camp oparł się o wóz, przeklinając w duchu opóźnienie. Dziesięć minut temu zaczęły nim wstrząsać dreszcze. Zdał sobie sprawę, że jego organizm potrzebuje skuteczniejszego wsparcia w walce z infekcją niż maść z antybiotykiem. Narzekania Lyle'a puszczał mimo uszu.

Nagle cała góra zadrżała od najpotężniejszego jak do tej pory wybuchu. Konie zaczęły rżec i wierzgać. Campowi aż zadzwończyły zęby.

Zapręg Marka rzucił się do ucieczki. Zaskoczony chłopiec nie był w stanie zatrzymać spłoszonych koni, które pędziły prosto na wóz jego matki.

Widząc, co się dzieje, Emily zacięła konie, by zjechać Markowi z drogi. Nie zorientowała się, że zaciekawiona Megan wstała, chcąc zobaczyć, co się stało. Dopiero kiedy prawe koło wozu uderzyło w granitowy głaz, syknęła:

- Megan, siadaj.

I w tym momencie poczuła, że gumowa opona pęka; metalowa obręcz zgrzytnęła o skałę nad przepaścią. Emily z całych sił usiłowała skrócić, a Megan podskoczyła na podłodze, wypadła z wozu i wyleciała poza obrzeże drogi. Pisk dziewczynki zmieszał się z rżeniem wystraszonych koni i rozdzierającym krzykiem Emily.

Camp, naładowany adrenaliną, pierwszy przypadł do skalnej półki, podczas gdy inni, zaskoczeni wypadkiem, kulili się przerażeni.

- Ostrożnie, cofnij się - ostrzegł Emily, która ni stąd, ni zowąd znalazła się tuż obok niego.

- Zajmę się końmi i wozem Emily! - zawołał Robert. Camp wysunął się kawałeczek do przodu, by spojrzeć w dół, do kanionu. Podziękował Bogu, że jego pośpieszna modlitwa została wysłuchana. Megan upadła na krzak, który rósł na występie skalnym jakies

pięćdziesiąt metrów pod nim. Kiedy oceniał sytuację, Megan poruszyła się i chciała rozetrzeć sobie łokieć.

Przyłożył dłonie do ust.

- Leż spokojnie, Megan! Błagam, nie ruszaj się. Raz - dwa po ciebie przyjdziemy, obiecuję.

Emily, obok której stali Mark i Sherry, odjęła drżące ręce od ust i powoli je opuściła.

- Ona żyje - jęknęła. - Jak my ją stamtąd wydostaniemy? Tam jest tak stromo, jak nożem uciął.

Camp szybko odczołgał się do tyłu. Strach mroził mu krew w żyłach. Jeden wybuch dynamitu i wisząca niemal w powietrzu Megan spadnie. Trzeba ścigać się z czasem, więc poderwał się z ziemi. Wstrząs adrenalinowy minął, pozostawiając równoczesne uczucie zimna i gorąca. Nie zwymiotował tylko dlatego, że przejął go lęk o życie Megan. Przytulił Emily, by ją uspokoić, i zaczął wydawać rozkazy niczym sierżant w czasie musztry.

- Em, ty i Sherry powiedzcie tym dwóm robotnikom, żeby przez radio wstrzymali odpalanie ładunków. Robert, przynieś najdłuższą i najmocniejszą linę. Jared, znajdź mocne drzewo albo skałę, do której można przywiązać linę.

Emily, blada jak ściana, chwyciła Sherry za rękę. Obie wyglądały, jakby były w szoku. Camp zdobył się na uśmiech dla otuchy.

- Spuszczę się na dół - mruknął tak, żeby Emily nie usłyszała. - Ta półka, na której leży Megan, może się w każdej chwili urwać.

Rozdział 15

Wszystko dobre, co się dobrze kończy... Szczęśliwych szlaków...
Kobiety potrafią wszystko!

Zdania, które mogłyby kończyć pracę - albo... hm... książkę? -
Nolana Campbella.

Camp zaczekał z omówieniem akcji ratunkowej z Robertem, aż Emily i Sherry odejdą wypełnić jego polecenie. Na szczęście nauczycielki odwróciły uwagę Marka i Brittany, gdy nadbiegła Maizie z trzema linami. Camp związał je solidnie razem. Nikomu nie pozwolił ich dotknąć.

- Zjeżdżałeś kiedyś na linie, chłopcze? - spytała Maizie. Camp pokręcił głową.

- A ty?

- Nie. A może ta brygada przy tunelu mogłaby przysłać helikopter z sanitariuszem? Nie chcemy mieć dwóch ofiar wypadku.

Camp nawet okiem nie mrugnął.

- Wiesz, jak dzieci lubią się wiercić, a ją trzyma jeden mizerny krzaczek. Gdyby spadła, a ja nie próbowałbym jej ratować, jak mógłbym spojrzeć w oczy Emily?

- Ależ z was dobrana para. Może po tej przygodzie przestaniecie obchodzić się naokoło i powiecie sobie, jak jedno za drugim szaleje.

On już to zrobił, ale Emily nie. I wszystko teraz zależy od krnąbrnej dziewczynki wiszącej nad przepaścią, od tego przerażonego dzieciaka, który potrzebuje pomocy. W ciszy Camp przewiązał się liną w pasie. Skupił się na czekającym go zadaniu, nie zwracając uwagi na pobladyłych ludzi, którzy go otoczyli i śledzili każdy ruch.

Jeff, Lyle, reporter i małżeństwo z Filadelfii stali z boku. Robert owinał linę wokół sporego głazu, włożył skórzane rękawice, zaparł się o ziemię i zarzucił linę na ramiona, szykując się do powolnego jej popuszczenia.

Zanim Camp zrobił pierwszy krok w przepaść, zobaczył, że Jeff Scott ustawił się obok Roberta. O dziwo, potężny filadelfijczyk zrobił to samo. Cudom nie ma końca, pomyślał.

Wisząc w powietrzu, Camp przytrzymał się rosnących tu i ówdzie krzaczków, żeby nie odskoczyć od granitowej ściany, i myślał gorączkowo. A jeżeli Megan coś sobie złamała albo odniosła wewnętrzne obrażenia? Może nie powinien tak się spieszyć z odgrywaniem bohatera. Ruszając ją, może wyrządzić krzywdę. Nie

ukończył kursu ratownictwa. Do licha, nawet nie potrafi wyleczyć rany na nodze!

Ale za to usłyszał jej radosny okrzyk. Ucieszyła się, że ktoś - nieważne kto - śpieszy jej na ratunek. Poza tym nie miało sensu zostawiać jej samej do czasu, aż nadejdzie bardziej fachowa pomoc. Był już tak blisko, że Megan zaczęła udzielać mu wskazówek:

- Trochę na lewo. Dasz radę chwycić ten mały krzaczek?

- Dzięki. Będę miał na czym postawić nogę?

- Pewnie. Ale się cieszę, że cię widzę! Głupio zrobiłam, że stanęłam w wozie, nie?

- Koniec liny, Campbell! - krzyknął z góry Robert.

Jego wołanie odbiło się trzykrotnym echem od dna pieczary. Camp postawił obie stopy na wąskiej półce i odkrzyknął:

- W porządku, Robert! Jestem na dole. Daj mi chwilę, żebym złapał oddech i sprawdził, czy Megan jest cała.

- Czekam!

Stłumione echo skakało w przepaści jak duch. Krawędź, na której oparł stopy, jakoś dziwnie uciekała mu spod nóg, a niebo i poszarpane skały kołysały się, wywołując zawrót głowy za każdym razem, gdy spojrzał w dół. Poczul przyspieszony puls. Ogarnęła go obawa, że zemdleje.

- Czy mogę usiąść? - spytała błagalnie Megan. - Och - głos jej zadrzał - masz tylko jedną linę. Jak zabierzemy się oboje na górę?

Usiłując zapanować nad uczuciem, że jest człowiekiem pajakiem uczepionym pionowej ścianie, Camp roześmiał się z trudem.

- Dobre pytanie, Megan. - Nie mógł uwierzyć, że tylu jest na górze inteligentnych ludzi, a nikt nie pomyślał o tym drobnym, ale jakże ważnym szczególe. - Tak nas przestraszyłaś tym fikołkiem, że potraciliśmy głowy. Nie siadaj, aż sprawdzę, czy można cię ruszyć. Czy mam gdzie uklęknąć?

- Jeżeli obrócisz się trochę w moją stronę, chyba znajdzie się miejsce. Uważaj. Skały są ostre.

Były ostre jak noże, i śliskie. Kiedy obracał się powoli, but obsunął się na luźnym kamyku, który wystrzelił poza krawędź półki. Usłyszeli, jak odbił się - ping! - od ścian, potem jeszcze raz - dalej, z głuchym odgłosem - i jeszcze raz. A potem słychać było już tylko westchnienia wiatru.

- Oho, daleko do dna - szepnęła Megan.

- Nie myśl o tym - rozkazał. - Twoja mama mnie zabije, jeżeli nie wydobanę cię stąd cało.

- Pewnie zaczęła świrować?

Usłyszał w jej głosie poczucie winy, ale przynajmniej mówiła głośniej. Pamiętał, jak serce w nim zamarło, gdy wypadła z wozu poza krawędź drogi. Omal nie rzucił się w przepaść, wyobrażając sobie, że chwyci w locie córkę Emily i uratuje ją gołymi rękami. Jeżeli na tym polega świrowanie, nie tylko matkom się to przydarza.

- Twoja mama, Mark, ja, wszyscy śmiertelnie się przeraziliśmy, więc pozwól się obejrzeć, a potem pomyślimy, jak cię stąd wydostać.

Zaczął oględziny. Zadrapanie na policzku zaczęło podbiegać sińcem. Lewa ręka też była podrapana, ale niezbyt głęboko, krew już zdążyła zaschnąć. Koszulę i dżinsy miała rozdarte, ale kiedy ostrożnie zginał kończyny, Megan ani razu nie krzyknęła z bólu.

- Bolało cię w środku? Brzuch? Klatka piersiowa? Pokręciła głową.

- Plecy? Szyja? Mów prawdę, Megan.

- Trochę bolało, ale mogę poruszać palcami u nóg... i uszami. - Czerwone usteczka uśmiechnęły się szelmowsko.

Camp uniósł twarz w stronę wychylających się zza skalnej krawędzi twarzy i zawołał:

- Nie ma poważnych obrażeń. Kiedy trzy razy szarpnę za linę, możecie ją ciągnąć w górę.

- Jo! - dobiegło z góry potwierdzenie.

Megan pociągnęła nosem, trąc go brudnym przegubem.

- Mam wjechać na górę sama? Campowi znów zakręciło się w głowie.

- Nie potrzebowałaś towarzystwa w drodze na dół, co? - spytał ostro.

- Nnnie. - Dwie wielkie łzy spłynęły z oczu podobnych do oczu Emily. - Ale wtedy nie miałam czasu myśleć.

- Przepraszam, kochanie. Nie chciałem ci dokuczyć. Byłaś bardzo dzielna. Wytrzymaj jeszcze trochę.

- Do...dobrze.

Palce miał takie śliskie od potu, że z trudem rozwiązywał węzły. Kiedy odwiązał linę, ogarnęło go dziwne uczucie niemocy. Był bezbronny. I w tej właśnie chwili błysnęła mu myśl. Już wiedział, co napisze. Nie będzie porównań, kto silniejszy, mężczyzna czy kobieta.

Napisze o tym, że - aby przeżyć - wszyscy musieli pracować razem, budować na wspólnym doświadczeniu. Na tym polegało bycie pionierem.

- Już czas - szepnął. - Wciągniemy cię na górę, żeby twoja mama mogła odetchnąć.

Ostrożnie oplótł linę wokół szczupłej piersi Megan. Kilkakrotnie sprawdził każdy węzeł prymitywnej uprząży.

- Wiem, że nie musiałeś po mnie przyjść - powiedziała, trzymając go za rękę.

Pociągnął drugi raz za linę.

- Musiałem. Kocham twoją matkę, Megan. I wszystko, co jest jej. To znaczy także jej dzieci. - Coś mu kazało przytulić dziewczynkę i dodać: - Powiedz jej o tym w moim imieniu, dobrze?

- Bo - boję się. Chodź ze mną, proszę, razem jej powiemy.

- Nie dadzą rady wciągnąć nas razem, za ciężko. - Ostatni raz szarpnął linę. - Kiedy będziesz już na górze, zrzucą linę z powrotem dla mnie.

Wyprostował się, żeby pomóc jej ominąć występ skalny, bowiem lina naprężyła się i powoli zaczęła unosić dziewczynkę z półki. Ostry ból przeszył mu łydkę. Był tak silny, że Camp stracił równowagę, puścił Megan i złapał się za nogę. Lina zakołysała się, Megan trąciła go stopami w ramię tej ręki, którą ledwie trzymał się krzaka. Trzasnęła mu w palcach gałązka i poczuł, jak obsuwają mu się nogi.

Zamachał rękami, żeby się czegoś złapać, ale chwycił tylko powietrze. Ponad nim i pod nim niósł się przeraźliwy krzyk Megan. Śmierć zajrzała mu w oczy, wiatr szumiał w uszach. Cholera, pomyślał, nie chcę umrzeć, dopóki nie usłyszę, że Emily mnie kocha. Zaczepił stopami o skałę, potem dotknął twardej skały kolanami, a wreszcie głową. Niebo, słońce i uśmiechnięta twarz Emily pograżyły się w ciemnościach.

- Mamo, mamoo! - krzyczała Megan, gdy kilka par rąk wyciągało ją z powietrznej studni na twardy grunt. - Och, mamoo! - zaszlochala, gdy objęły ją silne ramiona Emily. - Camp spadł z półki. Musimy mu pomóc.

Ludzie, którzy cisnęli się do uratowanej dziewczynki, rozproszyli się. Robert, Sherry i Maizie podbiegli na skraj przepaści, padli na brzuch i wystawili głowy.

- Nolan! - zawołała rozpaczliwie Sherry.

Nie usłyszeli odpowiedzi. Zaskrzeczał tylko ptak i zaszeleścił wiatr w karłowatych cedrach na zboczu wzgórza. Głos Sherry, załamujący się z przerażenia, śmigał na prawo i lewo, roznosząc imię brata po kanionie.

A potem... nic.

Robert przyłożył dłonie do ust i trzy razy głośno zawołał Campa. Z tym samym rezultatem. Odpowiadało tylko echo.

Po policzkach Megan popłynęły łzy.

- Mamo, on powiedział, że cię kocha. I Marka, i mnie... chociaż byłam taka okropna. To moja wina. Nie musiał mi pomagać, a jednak pomógł.

Mark ścisnął ramię siostry i rękę matki. Emily zwróciła uwagę, że dzielnie powstrzymywał się od płaczu, chociaż ona nie potrafiła postawić tamy łzom, które napełniały jej serce i oczy.

- Trzeba znaleźć więcej lin i przynieść apteczkę - powiedziała, skupiając się na tym, co należało teraz zrobić. - Camp nas potrzebuje. Zjadę na dół.

Maizie położyła sękatą dłoń na ramieniu Emily.

- Powiemy tamtym, żeby natychmiast sprowadzili helikopter z Santa Fe. Doleci tu przed zmierzchem.

Emily przywołała na twarz pełen determinacji uśmiech.

- Tracimy czas.

- Em, na litość boską. - Sherry podeszła do przyjaciółki, przebijając się przez otaczający ją tłumek. - To jest mój brat, ale zgadzam się z Maizie. Helikopter jest w drodze. Zamówili go dla Megan. Zawsze dużo mówiłam i chwaliłam kobiety, że są dzielne i chwackie jak pionierzy, ale to, co proponujesz... Posłuchaj, Em. To zadanie dla służb ratowniczych.

- Po co ta przemowa, Sherry - prychnął Lyle Roberts. - Spójrz na jej oczy. Ta kobieta oszalała.

- Oszalała z miłości do Campa - rzekł Robert. - Chodź, Jared... Mark. Poszukamy lin.

Odeszli we trzech.

Sherry wpatrywała się w Emily i straszliwa żałość ścisnęła jej serce. Jej brat i najlepsza przyjaciółka. Poczuli się nagle jak ktoś wyrzucony poza nawias. Stała bowiem wobec uczuć, o których nie miała pojęcia. Ale może jeszcze mogłaby je poznać?

Musi zrewidować swoje poglądy i przekonania. W tej chwili jednak to wszystko nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby uratować życie brata. Nieszczęśliwa, chora ze zmartwienia, odeszła na bok.

Robert i chłopcy wrócili z siedmioma kawałkami mocnej liny. Syn Maizie powiązał je z sobą, sprawdzając każdy węzeł. Gdy skończył i lina leżała zwinięta u stóp potężnego cedru, Emily przywdziała uprząż, która posłużyła wcześniej Campowi i Megan. Włożyła rękawiczki i stłumiła w sobie niepokój, którego nie kryli obserwujący ją ludzie.

Maizie założyła jej na szyję lornetkę.

- Pora spojrzeć prawdzie w oczy, dziewczyno. Nie mamy pojęcia, jak daleko spadł. Jeżeli nie znajdziesz go, kiedy spuścimy cię na całą długość liny, spróbuj go wypatrzeć przez lornetkę. Zapamiętaj punkty orientacyjne. To może oszczędzić ratownikom błędzenia w ciemnościach.

Emily poczuła, że przebiega ją zimny dreszcz. Zaciążyła jej i lornetka, i apteczka przypięta do pasa. Przerazenie chwyciło za gardło. Podeszły dzieci, aby ją uścisnąć.

- Trochę strasznie tak bujać się na linie, ale chłopcy nie pozwolą ci spaść. - Megan popatrzyła ufnie na mężczyzn trzymających linę. - Wiem, że Camp poczuje się o wiele lepiej, kiedy przy nim będziesz. Nie mógł upaść daleko, mamó. Słyszeliśmy kamień, który spadał i spadał. A kiedy spadł Camp, nie było echa. Tylko jedno ciche stuknięcie. Emily zapamiętała tę informację.

- Obiecacie tylko, dzieci, że będziecie trzymały się z dala od krawędzi skały.

Pogłaskała kochającą ręką poważne buzie. Dzieci kiwnęły głowami, a wtedy nieoczekiwanie wystąpiła Brittany, zapowiadając, że pójdą we trójkę dowiedzieć się dokładnie o helikopter. Emily wiedziała, że teraz już naprawdę musi ruszać.

Oglądała w telewizji ludzi spuszczających się na linie, i w taki sam sposób zeszła w przepaść: przodem do tych, których zostawiała na górze, mocno opierając stopy o granitową ścianę.

- Powodzenia! - zawołała Gina. - Powiedz temu cymbałowi, żeby wracał jak najszybciej i zebrał takie notatki, jakie mu się nawet nie śniły. Powiedz, że nie policzę mu za zdjęcia, jeżeli zechce napisać książkę.

Na usta Emily przybłąkał się uśmiech. Kochana Gina. Emily już nie czuła macek strachu, palących ją od środka. Na pewno znajdzie Campa żywego. Jeszcze nie wypełnił swojego zadania - nie opisał tej historii. Ma przecież powiedzieć prawdę o kobietach i mężczyznach - współczesnych i żyjących dawno temu.

Kroczek za kroczkiem zniżała się do kanionu. Zaczęła lżej oddychać, gdy minęła półkę, na której zatrzymała się spadająca Megan. Poniżej trawiaste zbocze szerokości ponad metra podchodziło do skalnego wału. Z bliska Emily ujrzała, że jest w nim pełno pieczar. Nieoczekiwanie - ponieważ nogi miała wyżej niż siedzenie - klapnęła na twarde dno kanionu. Uderzenie było tak silne, że łyzy stanęły jej w oczach. Lina zawinęła jej się na kolanach.

Rozejrzała się wokół i zobaczyła po prawej ręce, metr niżej, Campa. Leżał nieruchomy, bezwładny, do połowy schowany w granitowej jaskini. Był blady jak śmierć, tylko od czoła do brody rysowała się czerwona plama.

Serce Emily zabiło niespokojnie, puls szumiał w uszach jak wodospad. Czerwień na twarzy Campa to krew, nie całkiem zaschnięta. Z trudem wykrzesła z siebie siły, by unieść ręce do ust i krzyknąć:

- Znalazłam go. Nie spuszczać więcej liny. - W echu własnych słów rozpoznała strach, który krążył jak stado sępów. Zanim sfrunęło z góry pytanie Roberta o stan Campa, Emily, przygotowana na najgorsze, zsunęła się na czworakach do leżącego i przyłożyła trzy palce do jego szyi. Nie zwracała uwagi na ostre skały, przebijające się przez džinsy i rękawiczki. Wszelkie niewygody zagłuszyła wielka radość, że wyczuła pod palcami słaby puls.

- Jest nieprzytomny! - zawołała i słone łyzy spłynęły jej aż do ust. - Ale żyje. - Te dwa jakże wspaniałe słowa wyrwały jej się wraz ze szlochem płynącej z głębi serca ulgi. - Postaram się sprawdzić, czy jest ranny.

Ryk zachęty, który spadł na Emily z góry jak deszcz, pobudził ją do działania. Szybko przykryła Campa cienką płachtą izolacyjnego materiału, który chronił przed utratą ciepła i szokiem. Słońce akurat chowało się za górami i zerwał się chłodny wietrzyk. Zbadała ręce i nogi Campa, nie wyczuwając złamań. Dżinsy miał podarte na kolanach, ale ona też. Nie da się tego uniknąć na ostrych skałach.

Rozdarła opakowanie jałowej gazy i otarła mu twarz. Kiedy dotknęła wielkiego guza na skroni, skąd nadal sączyła się krew, Camp zamamrotał i przekręcił się na bok. Ostrożnie dotknęła bolesnego miejsca chłodną gazą. Camp jęknął cicho, zamrugał i popatrzył na nią oczami o źrenicach tak rozszerzonych, że wyparły niemal całkowicie brązowe tęczówki.

- Odejdź, aniele - rozkazał schrypniętym głosem.

- Camp, to ja, Emily. Uratowałeś Megan, a potem obsunąłeś się ze skalnej półki. Masz wielkiego guza na głowie. Czy jeszcze gdzieś cię boli?

Zamknął oczy i przez chwilę myślała, że znów stracił przytomność. Z bijącym sercem odsunęła płachtę i zaczęła dokładne oględziny ciała, a zwłaszcza brzucha.

- Emily? - Jej imię jakby kleiło mu się do języka. - Jak na anioła obchodzisz się ze mną zbyt bezceremonialnie.

- Och, Camp. - Pochyliła się, przesuwając palcami po jego ustach. - Przestraszyłeś nas. Mnie!

Oboje drgnęli, gdy do kanionu wleciał helikopter i z głośnym hurgotem wirnika wzbił tuman kurzu. Niczym ogromny, hałaśliwy ptak zawisł tuż przed nimi, po czym równie szybko wzniósł się w górę i zniknął im z oczu. Nim zdążyli to skomentować, dobiegł ich donośny głos Maizie:

- Ratownicy was namierzili, Emily! Czy Camp z twoją pomocą wsiądzie do kosza, kiedy spuszcza go na dół?

Emily rzuciła Campowi pytające spojrzenie. Nie odpowiedział. Ponieważ wciąż uporczywie mu się przypatrywała, westchnął i kiwnął głową.

- Nie chcę stąd wyjeżdżać jak indyk na Święto Dziękczynienia, ale chyba nie ma innego wyjścia.

Emily pokręciła głową.

- Jestem przytomny! - huknął. - Jeżeli zrzucą podwójną uprząż, mogą zabrać nas oboje za jednym razem.

- Och, Camp. Jesteś pewien, że chcesz tego? Zraniłeś się w głowę.

- Bardziej ucierpiała moja duma i godność. Miałem zamiar uratować Megan i w ten sposób zaskarbić sobie waszą dozą miłości.

- I zrobiłeś to.

- Co? - Camp podniósł wzrok i spojrzał w spokojne oczy Emily.
- Zaskarbiłeś sobie naszą dozgonną miłość.

Odgłos startującego helikoptera zagłuszył jego okrzyk. Camp uściskał ramię Emily i zawołał, chcąc usłyszeć odpowiedź, nim zabierze ich helikopter:

- Więc Megan już się nie buntuje? Emily, czy wyjdiesz za mnie?

Akurat w tym momencie silnik helikoptera ucichł i pytanie Campa odbiło się echem od skalnych ścian. Twarz Emily poczerwieniała w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Campowi też zrobiło się gorąco.

- Co powiedziała? - spytał chór głosów na górze.

- Mamo! - rozległy się cienkie głosy Megan i Marka. - My się zgadzamy.

- Małżeństwo to taka poważna decyzja - szepnęła Emily. - Jest jeszcze Mona i Toby. I ten wielki dług.

Helikopter obudził się z rykiem do życia i nadleciał nad kanion. Camp obawiał się, że jeżeli nie zażąda deklaracji uczuć teraz, kiedy Emily zmiękła, łatwo może stracić wszystko, kiedy sytuacja wróci do normy. Przyciągnął ją do siebie i wycisnął na jej ustach pocałunek wyrażający wszystkie jego nadzieje i obietnice. Nie zwracali uwagi na pęd powietrza, wyrywający z jego rąk włosy Emily. Nie wypuścił jej z objęć, aż pierwsza lina z uprzężą opadła jej na kolana.

- Zgódź się! - krzyknął jej do ucha. - Tyle przeszliśmy, to chyba nie ma przeszkody, której nie przezwyciężymy?

Drżącymi rękami Emily zapięła uprzęż Campa i wyciągnęła rękę po drugą, która opadła z brzucha helikoptera. Kazała mu czekać tyle czasu, ile zajęło jej odrzucenie poprzedniej liny i przypięcie nowej. Objęli się, gotowi na porywające w górę szarpnięcie, od którego serce podskakuje do gardła, i wtedy odrzekła:

- Wyjdę za ciebie, Camp, jeżeli publicznie przyznasz, że współczesnym kobietom nic nie brakuje. Jestem to winna twojej siostrze.

Próbował ją pocałować, ale po chwili zrezygnował, bo za szybko się kręcili i Emily miała zamknięte oczy.

- Wiesz, że i tak bym to przyznał - mruknął.

Poczuł, że wzbiera w niej śmiech. A więc wiedziała! Po raz pierwszy od bardzo dawna - od tak dawna, że wołał o tym nie myśleć - poczuł, że świat jest piękny.

Po wylądowaniu zaczęło się zamieszanie, tak jak się tego spodziewał. Ledwie dotknęli stopami ziemi, rozdzieliły ich ręce członków rodziny, przyjaciół i obcych. Ratownicy zbadali Campa w jednym wozie, a Megan i Emily w drugim.

Emily protestowała, uparcie twierdząc, że nic jej nie dolega. I tak rzeczywiście było. Megan też puszczono wolno po opatrzeniu drobnych skaleczeń. Gorzej było z Campem. Głowa wciąż krwawiła w miejscu uderzenia, jednak ratowników bardziej zaniepokoiła rana na nodze.

- Powinniśmy go przewieźć do Santa Fe - powiedział Maizie szef ekipy ratunkowej. - On chce zostać z taborem, ale musi przejść intensywną kurację antybiotykową, bo ta rana na głowie też może ulec zakażeniu.

Maizie odwinęła z papierka listek gumy do żucia i włożyła do ust.

- Słyszę, jakie jest jego zdanie na ten temat - rzekła z uśmiechem.
- Cały świat słyszy.

Aż się skrzywiła, słuchając głośnych i pełnych oburzenia protestów Campa.

- Rozumiem cię, synu - rzekła ze współczuciem do ratownika - ale ja hołduję pewnym zasadom. Na przykład, że klient ma zawsze rację. Dostaliśmy zgodę na przejazd przez przełęcz o świcie, a potem czeka nas jakieś osiem godzin jazdy do Santa Fe. Wyruszyliśmy razem na wyprawę i chcielibyśmy razem dotrzeć do celu. Czy moglibyście dać mu zastrzyk, żeby przetrzymał do czasu, aż dojedzie do lekarza? Mamy jeszcze jedną poszkodowaną, która wybiera się do lekarza na zdjęcie gipsu.

Po przydługiej jak na nią przemowie Maizie wetknęła do ust jeszcze dwa listki gumy i czekała na odpowiedź.

Inni uczestnicy wyprawy podeszli bliżej. Nauczycielki wstawiły się za Campem, a potem poparł je Robert.

- Campbell oddał mi przysługę - odezwał się Fil ochryłym głosem. - Nie pojmuję, dlaczego koniecznie chce wytrwać do końca. Jeszcze nigdy nie znosiłem tylu niewygód na wakacjach. Ale skoro chce zostać, to powinien zostać.

Emily nie wierzyła własnym uszom.

- Zaopiekujemy się nim - przyrzekła. - Prawda, Sherry? Tak zrobiłyby prawdziwe osadniczki.

Lyle Roberts uniósł ręce w górę.

- Pozwoliłybyście mu umrzeć, żeby dowieść swego. Poddaję się. Wygrałyście. Jesteście twarde jak skóra na buty. I szalone też. Powiem szefowi wydziału, że powinno się was zamknąć u czubków.

Ledwie wypowiedział te słowa, a skrupił się na nim gniew kobiet.

- Czy ktoś wie, że on tu jest? - wymamrotała Gina.

- Mogłybyśmy niechcący zepchnąć go do przepaści - zaproponowała wesoło Brittany. - Studenci by się ucieszyli. Z tego, co słyszałam, prowadzi okropnie nudne zajęcia

Lyle cofnął się.

- Jeff, zrób coś.

- Hm. - Jeff udał, że się namyśla. - A jeżeli Lyle obieca, że zamknie buzię na kłódkę?

- Dobrze by zrobił. - Mark nadał się jak paw. - Camp będzie nowym tatą dla mnie i Megan. - Powiedział to takim tonem, jakby nic więcej nie trzeba było wyjaśniać.

- Więc biedaczyna dostanie to, na co zasłużył - rzekł Lyle. - Niech napisze ten swój artykuł. Nie uwierzy mu nikt, kto poważnie zajmuje się historią. - Odszedł, odpychając Roberta i Jareda.

Ratownik zamknął walizkę i rozejrzał się za kolegami. Emily odciągnęła go na bok.

- Proszę nie słuchać Lyle'a. On się myli, historia kobiet to nowa dziedzina nauki. A ta wyprawa jest właśnie studium historycznym prowadzonym przez Campa. Zadał sobie wiele trudu, poniósł koszty. Jak by to wyglądało, gdyby nie ukończył swojej wyprawy?

- Nie pracuje pani przypadkiem w reklamie? - rzekł ze śmiechem ratownik. - Dobrze. Dam mu końską dawkę leku.

- Dziękuję. Będę przy nim siedziała w nocy, a jeżeli zajdzie potrzeba, zmienię opatrunki. - Emily wyszukała wzrokiem Sherry, gotowa odeprzeć sprzeciw.

Sherry skinęła głową. Wyglądało na to, że zyskała siostrę. Czemu więc czuła się tak, jakby straciła przyjaciółkę i brata?

Maizie świsnęła przez zęby.

- Jeszcze nie dojechaliśmy do Santa Fe, moi drodzy. Nie myślcie, że z powodu tego zamieszania możecie sobie odpuścić wypełnienie obowiązków.

Gdy Camp dostawał zastrzyk, inni przywiązywali konie do palików i szykowali na noc postania. Po męczącym dniu każdy najchętniej siedział przy swoim wozie.

Emily szykowała kolację dla siebie, Megan i Campa. Nie wiedziała, kto żywi Lyle'a, Jeffa i reportera. Może Sherry dała im jeść? Zauważyła, że młody dziennikarz biega za Brittany jak pies.

Camp zapadł w sen, nim skończył jeść. Emily po cichu zabrała talerz oraz kubek i zdmuchnęła lampę.

- Wezmę śpiwór i będę spała pod jego wozem na wypadek, gdyby potrzebował mnie w nocy - powiedziała córce.

- Ja też tam będę spała. Bo może tobie będę potrzebna - odparła Megan. - Przeprosiłam go za wszystko, wiesz?

Emily przytuliła córkę i pocałowała ją w czoło. Pierwszy raz od ponad roku Megan nie odsunęła się. Emily długo nie spała, wsłuchując się w miarowy oddech śpiącej córki. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie, ale dobrze się z tym czuła. Od lat nie było jej tak dobrze. Jej pierwsze małżeństwo zaczęło się od ucieczki do Atlantic City. Po pośpiesznej ceremonii zaślubin Dave chodził na spotkania z budowniczymi kasyn. Taki był ich miódowy miesiąc.

Ziewając, zastanawiała się, czy Camp będzie miał coś przeciwko ślubowi w kościele. Ślub w zimie, bardzo uroczysty... Sherry wyglądałaby cudownie w ciemnoczerwonym aksamicie - gdyby została pierwszą druhną. Megan i Mark odprowadziliby ją do ołtarza. Emily zasnęła, marząc o czerwonych różach i białych goździkach.

Rano Camp oznajmił, że czuje się zdrów jak ryba i będzie powoził.

- Myślałam, że pojedziesz ze mną - rzekła Emily. - Powiedziałam Jaredowi, że może poprowadzić twój wóz. Na poprzedniej wyprawie poznał w Santa Fe pewną młodą damę. Wyobraź sobie, jakie zrobi na niej wrażenie, kiedy zobaczy go na koźle.

- Była zdenerwowana, mówiła urywanym głosem. - Zostało nam już tylko kilka godzin, które spędzimy razem. Musimy omówić wiele rzeczy.

Camp wsunął dłonie w jej gęste włosy.

- Mamy przed sobą resztę życia, Emily.

- Tak, wiem. Och, Camp. Rób, co chcesz. Możemy później porozmawiać o dacie ślubu.

- Jesteś gotowa ustalić datę? W takim razie Jared, mój drogi, wsiadaj na kozła.

Emily zaśmiała się trochę skrepowana. Umilali sobie ostatni etap podróży pogawędką. Ustalili, że pobiorą się w Dzień Dziękczynienia. Oboje uważali, podobnie jak Megan, że święta Bożego Narodzenia powinni spędzić razem, już jako rodzina.

- Chcę, żebyś od razu przeprowadziła się do Columbii. Zajmę jeden pokój rodzicom, a ty i dzieci zamieszkacie w domu. Oczywiście, najpierw go urządzimy.

- Mam cię wyrzucić z twojego własnego domu? - Emily pokręciła gwałtownie głową. - Czemu nie możemy zamieszkać razem?

- Zrobimy wszystko jak należy, Em. Tak żeby teściowie nie mieli najmniejszych podstaw, aby cię oskarżyć o złe prowadzenie się. A pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, będzie spłata długu.

- Skąd na to weźmiemy?

- Dziadek zapisał mi pieniądze, ale postawił jeden warunek: mam je wydać na coś, co mnie uszczęśliwi. A moim szczęściem jesteś ty i twoje dzieci.

Oczy Emily wypełniły się łzami. Ofiarowywał jej miłość i wolność zarazem. Nikt jeszcze tak hojnie jej nie obdarzył. Przez resztę drogi omawiali zawiłe szczegóły. Emily nie chciała wracać do miasta, którym trzęśli teściowie. Camp ją poparł. Pozostawiał jej także decyzję, czy złożyć podanie o pracę w jego college'u.

Wjechali na pagórek i ze zdziwieniem zauważyli, że pierwsze wozy już wjeżdżały do przedmieścia Santa Fe. Na powitanie wyległ tłum. Grały orkiestry. Psy czekały. Dzieci gapily się na zakurzone wozy z otwartymi buziami.

Camp dojrzał reporterów, którzy rozmawiali z nimi po przejściu tornada; biegli do pierwszych wozów, ciągnąc za sobą kamerzystów.

- Chodź, Em. Niech Megan chwilę przypilnuje koni, a my dopilnujemy, żeby ci głupcy napisali, jak to było naprawdę. Musieliśmy połączyć wysiłki i pracować jak zgrany zespół, żeby dotrzeć do Santa Fe. Nawet Fil się dostosował. Taką opowieść chcę usłyszeć.

- Powodzenia. Będziesz musiał uciszyć Lyle'a. Ale patrz, czy to przypadkiem nie Yvette? Sherry prosiła ją o sprowadzenie reporterki z Centrum Kobiet.

Patrzyli, jak Yvette wita się z Sherry, lecz byli za daleko, by usłyszeć, o czym przyjaciółki rozmawiają.

- A więc wytrzymałaś do końca! - zawołała Yvette. - Wyglądasz znakomicie, Sherry, nie licząc tych potwornie brudnych dżinsów. I schudłaś.

- Jakieś trzy kilo. - Sherry zmarszczyła nos. - Czuję się świetnie. Nie uwierzysz, jakie przeżyliśmy przygody.

Yvette przytrzymała ją za rękę.

- A ja mam dla ciebie nowinę. Twój szef ogłosił, że odchodzi na emeryturę, tak jak się spodziewałaś. Dobrze, że napisałaś to podanie i zostawiłaś u mnie, bo inaczej nie zdążyłabyś złożyć go w terminie.

Sherry klasnęła w ręce. Rzeczywiście spodziewała się odejścia dziekana. Teraz wszystko wygląda inaczej. Serce zabiło jej szybciej. A więc nie tylko Nolan ma do ogłoszenia dobrą nowinę. A jeżeli nie zostanie poproszona na rozmowę kwalifikacyjną? Lyle i jemu podobni wypominaliby jej to do znudzenia.

- Yvette, nie mówiłaś nikomu, że złożyłam podanie o stanowisko dziekana?

- Nie. Ale dlaczego nie chcesz o tym mówić?

- Dlatego. - Sherry spostrzegła nadchodzącego brata i Emily. - Później ci wytłumaczę. Proszę cię, Yvette, nie wygadaj się przed nikim. Posłuchaj Nolana, wtedy zrozumiesz.

- Bierzecie ślub? - Yvette patrzyła to na Campa, to na stojącą obok kobietę, i cmoknęła współczująco. - Kolejna dobra kobieta idzie na stracenie. Chyba wypada pogratulować.

Zerknęła na Sherry, która ruszyła w stronę swojego wozu. Camp i Emily poszli do reporterów.

Przez godzinę wszyscy trajkotali jak najęci. Dopiero kiedy zjawił się człowiek, który miał zabrać wozy w drogę powrotną do Missouri, wszyscy poczuli ból rozstania.

- Nie będę zgłaszał skargi do Biura Ochrony Konsumenta - obiecał Maizie bardzo spokojny, wyciszony Fil. - Na tej wyprawie każdy mężczyzna mógł się sprawdzić. No i kobieta też - dodał, gapiąc się głupkowato na Sherry. - Jeżeli ktoś z was będzie kiedyś w Filadelfii, niech się odezwie. - Rozdał wszystkim wizytówki.

Camp wetknął wizytówkę do kieszeni.

- Jak ja nie znoszę pożegnań. Zapraszam was wszystkich na mój ślub z Emily. - Podał listopadową datę. - To będzie naprawdę wspaniały zjazd koleżeński. Prześlę wam mój artykuł. Co wy na to?

- Mnie pasuje - rzekła Maizie. - Chcę wam powiedzieć, że ta wyprawa aż się prosi, żeby napisać o niej książkę. Jestem ci winna podziękowanie, Campbell. Od kilku dni nie czuję, że brak mi tytoniu. Robert kupi mi roczny zapas gumy do żucia, nim wyruszymy do domu.

- Hip, hip, hura! - wzniosły okrzyk Vi i Doris. Brittany i Megan przecisnęły się do środka.

- Chcemy się przyznać do podłożenia tych petard. Bardzo przepraszamy. - Uśmiechnęły się do siebie. - Uważamy, że mimo wszystko to były świetne wakacje.

Wystąpiła Gina, podpierając się laską.

- Camp i ja jesteśmy umówieni u lekarza, a ode mnie każdy dostanie oprawione zdjęcie. Prześlę je pocztą.

- To mi o czymś przypomina. - Camp strzelił palcami. - Hej, Mark, daj mi ten niebieski worek.

Patrząc z uwielbieniem na człowieka, którego niedługo miał nazywać tatą, Mark przyniósł worek. Camp wyciągnął z niego pakunek z upominkami kupionymi w Fort Union. Podarował breloczki nawet trzem kolegom, którzy dołączyli do wyprawy na samym końcu. Reporter, Jeff Scott i Lyle Roberts nie wiedzieli, co powiedzieć. Byli zakłopotani, że Camp o nich pamiętał, i serdecznie uścisnęli mu rękę.

Emily stanęła na palce i pocałowała Campa. Potem zdyszana wyszeptwała:

- Dziękuję w imieniu wszystkich za sponsorowanie wyprawy. W swoim własnym imieniu podziękuję później. Na osobności. - Rumieniąc się, dodała głośniejszym głosem: - Nie omieszkam przejrzeć jego artykułu przed wydaniem. A teraz, kiedy pójdzie do lekarza, zbiorę po raz ostatni wasze notatki. Więc przyłóżcie się, moje panie, przyłóżcie! Nie chcemy przecież, żeby historia się powtarzała.

Camp pocałował Emily. Trwało to tak długo, że towarzystwo powoli się rozeszło. Kiedy się opamiętali i rozejrzeli, byli sami. Ze śmiechem wzięli się pod rękę i poszli do gabinetu lekarskiego.

- Przeszłość kształtuje teraźniejszość, Emily, zaś teraźniejszość określa nasze widzenie przeszłości. Lyle bardzo się myli, mówiąc, że ludzi nie interesują takie tematy. Nasz artykuł narobi trochę szumu.

- Nasz artykuł? - Emily pomyliła krok. - Więc naprawdę pozwolisz mi go zredagować?

Camp położył dłoń w zagłębieniu jej pleców.

- Czyżbym zapomniał powiedzieć, że będziemy współautorami? A poza tym mam pomysł na książkę, przy której przydałaby mi się twoja pomoc.

Emily przytuliła głowę do jego ramienia.

- Ta książka przełamie parę stereotypów i zrewiduje tak zwane fakty. A kiedy po burzy osiadzie kurz, może uda nam się wpłynąć na przyszłość.

- Myślę, że udało nam się wpłynąć na postawy kilku osób. A na pewno wpłyniemy na przyszłość naszych dzieci.

- Marka i Megan?

- No... i może paru innych.

Pocałunek opóźnił wizytę u lekarza, ale co tam! Profesor Nolan Campbell czuł się tak, jakby złapał Pana Boga za nogi.